

Rozdział pierwszy

Cynthia Baxter usiłowała podrapać się po brzuchu, przewracając się gwałtownie w wielkim mahoniowym łożu z baldachimem. Sypiały w nim i kochały się kolejne pokolenia Baxterów, nie wiadomo jednak, czy ktokolwiek z nich próbował podrapać się, mając ręce przykute kajdankami do ramy łożka

- Walter! - krzyknęła, ale nikt nie odpowiedział.

Cynthia stosowała właśnie w praktyce instrukcje z wrześnieowego numeru „Raunch Magazine” poświęconego fantazjom. Miała nadzieję tchnąć w swój wieloletni związek trochę namiętności, odgrywając „Bezbronną dziewicę zniewalaną przez mrocznego, niebezpiecznego przybysza”. Jej narzeczony, który opanowany nieposkromioną żądzą powinien robić z jej ciałem te wszystkie szokująco perwersyjne rzeczy, o których czytała w piśmie, przyrósł chyba do telefonu komórkowego, z którym wyszedł do salonu.

Pilnie nasłuchiwała, ale bez rezultatu. Może był zbyt zniechęcony jej obnażonym w blasku dnia ciałem, by wrócić do sypialni.

6 *Nancy Warren*

- Walter?

Cisza.

- Walter!

Głos Cynthii odbił się echem w całym domu. Gdzie on się podział? Wzięła głęboki wdech, ale szybko wypuściła powietrze, prawie krztusząc się zapachem nowych perfum, którymi skropiła całe ciało. W domu towarowym pachniały mocno i egzotycznie, teraz, po kilku godzinach, już tylko tanio i mdło.

- Walter! Jesteś tam?

Nic.

Bezsilność była częścią tej fantazji, zgodnie z opiniami „sekspertów” z pisma „Raunch”. Po niej miało nastąpić zaspokojenie najdzikszych pragnień każdej kobiety. Cynthia zaczynała nabierać okropnego podejrzenia. Czy to możliwe, że o niej zapomniał i po prostu wyszedł? Był maniakalnie oddany swojej pracy, dla której potrafił zapomnieć o całym bożym świecie.

Całe szczęście, że „Raunch Magazine” podzielił prezentowane scenariusze erotyczne na pomocne kategorie: „Buduarowi nowicjusze”, „Łózkowi średniacy” i „Seksualne orły”. Przejrzała, rzecz jasna, strony dla zaawansowanych, ale szczerze mówiąc, nawet gdyby mogła sobie pozwolić na całe to wyposażenie, nie sądziła, by kiedykolwiek miała ochotę zagrać w grę pod tytułem „Burdelowa domina i skulony uczeń” albo w cokolwiek innego z udziałem więcej niż dwóch osób.

Pokazanie nagiego ciała w pełnym słońcu było wystarczająco stresujące, nawet jeśli robiła to przed Walterem, który bez okularów trochę niedowidział. Nie, dział dla buduarowych nowicjuszy pobudzał ją aż nadto. Nie było scenariusza, który by do niej w jakiś sposób nie przema-

wiał, ale „Bezbronna dziewczica zniewalana przez mrocznego, niebezpiecznego przybysza” był jej ulubionym.

Kogo to obchodzi, jak w zaciszu własnej sypialni zachowuje się grzeczna dziewczynka Cynthia Baxter? Mogła wyobrażać sobie, że jest więziona przez egzotycznego przybysza, zamaskowanego Zorro albo bezwzględego pirata, w każdym wypadku śniadego, wysokiego, szczupłego i muskularnego. Była jego niewolnicą i musiała spełniać wszystkie zachcianki swego pana, a ten był bardzo pomysłowy. Oczywiście, Walter nie był mrocznym, niebezpiecznym przybyszem. O, zdecydowanie nie! Ale przecież i ona nie była dziewczicą, chociaż niektóre z opisywanych fantazji sprawiały, że tak właśnie się czuła.

Autorzy artykułu zdecydowanie odradzali więzy o bardziej umownym charakterze - na przykład luźne skrępowanie jedwabną apaszką- i zalecali prawdziwe kajdanki. Cynthia zawsze stosowała się do ustalonych reguł. Dlatego leżała teraz skuta kajdankami.

Trudno powiedzieć, co sprawiło, że zdecydowała się na realizację tego szalonego pomysłu. Teraz jednak, po tym jak prośbą i groźbą skłoniła Waltera do urzeczywistnienia fantazji, kiedy leżała naga i bezbronna jak na sklepowej wystawie, odczuwała coś, co na pewno nie było podnieceniem.

Kogo chciała oszukać? Nic dziwnego, że Walter sobie poszedł. Ani trochę nie przypominała modelek z „Raunch”, z piersiami sterczącymi jak górskie szczyty, taliami jak osy, krągłymi pośladkami i długimi nogami Barbie.

Piersi Cynthii wyglądały, jej zdaniem, jak kawałki niewyrośniętego ciasta z rodzynkami na wierzchu. Reszta

była równie mało ponętna. Nigdy więcej nie zaproponuje Walterowi nic ponad tradycyjne, szybkie zbliżenia pod kołdrą w całkowitych ciemnościach. Koniec z dawaniem sobie szans. Wystarczy prób przeistoczenia się w kobietę zmysłową. Powinna była wiedzieć, że to się nie uda.

Tymczasem musi wydostać się z kajdanek. Wrzasnęła jeszcze kilka razy, wyczuwając w swoim głosie nuty hysterii, póki nie zaczęło ją boleć gardło. Nie było sensu tu chrypnąć. Powinna się uspokoić i poczekać. W końcu Walter przypomni sobie o niej.

Oddychając wolno i ciężko, Cynthia wpatrzyła się w sufit. Dostrzegła w kącie ciemne pasmo, które wyglądało podejrzanie, jak pajęczyna. Będzie musiała wziąć szczotkę na kiju - jak tylko się uwolni. To przypomniało jej, w jak absurdalnym położeniu się znalazła. Nie miała pojęcia, jak długo to wszystko już trwało, ale bolały ją już ręce. Była zmarznięta, głodna i chciała iść do łazienki.

Gdzie do cholery jest Walter?

Obserwowała budzik tykający wolno przy łóżku. Wzbierał w niej gniew. Piątkowe popołudnie zmieniło się w piątkowy wieczór i zaczął ją ogarniać strach. Zanim Walter sobie o niej przypomni, umrze z głodu, zamarźnie na śmierć albo dostanie zapalenia pęcherza.

Wieki minęły, nim usłyszała chrzęst żwiru pod oknem. Jednak nadzieja, że Walter sobie o niej przypomni i wrócił, okazała się płonna. Dobięło ją węszenie psa i wymowny dźwięk strumyka zraszającego dalej Cynthii pod oknem sypialni. Dzięki Bogu, to na pewno pani Lawrence z domu po sąsiedzku i Gruber, jej pudel z nadwagą.

Może powinna krzyknąć?

Zażenowanie walczyło z fizyczną udręką, ale była to

walka krótka. Pęcherz zwyciężył. Jeżeli już miał ją uratować ktoś z ulicy, to niech przynajmniej będzie to kobieta.

- Pani Lawrence - wrzasnęła tak głośno, jak tylko się dało, mając nadzieję, że sąsiadka podkreśliła swój aparat słuchowy.

- Co to było?

Dobiegł ją struchlały głos staruszki. Nadpobudliwy Gruber zaczął szczekać.

- Potrzebuję pomocy - krzyczała Cynthia. - Jestem przywiązana do łóżka. Proszę użyć zapasowego klucza, błagam!

- O mój Boże... to Cynthia. Mam nadzieję, że to nie napad - słysząc było pełen trwogi głos.

Cynthia nie mogła się już doczekać, kiedy jej kochana sąsiadka skończy naradę z psem i weźmie klucz.

- Pani Lawrence? Pamięta pani, gdzie jest klucz? Pod trzecią doniczką z geranium.

Słuchając chrzęstu żwiru i pomrukiwania sąsiadki, miała nadzieję, że biedna pani Lawrence nie dostanie ataku serca, kiedy zobaczy ją nagą, w najbardziej upokarzającej pozycji wżyciu. Przynajmniej stopy miała wolne. Ale co z tego? Gdyby uniosła kolana, żeby zakryć piersi, odsłoniłaby dolną partię ciała, a dodatkowe ciśnienie na pęcherz mogłoby zamienić ją w ludzki pistolet na wodę.

Minuty wlokły się, a każdą wypełniały bolesne zmagania z pęcherzem. Cynthii wydało się, że słyszy na zewnątrz jakieś drapanie - ale pewności nie miała. Jeżeli zaraz nie pójdzie do łazienki, to niechybnie dojdzie tu do wypadku. W końcu usłyszała subtelny dźwięk dochodzący tym razem z wnętrza domu.

- Pani Lawrence, jestem tutaj, w sypialni.

Ale to nie zatroskane oblicze pani Lawrence zobaczyła w drzwiach kilka sekund później. W wielkiej i bardzo męskiej dłoni ujrzała zimny, zabójczo czarny rewolwer.

Zbyt wystraszona, by krzyczeć, wpatrywała się w ten przerażający przedmiot. Szarpnęła nerwowo kajdanki, ale pozostała bezbronna.

W progu stanęła ciemna postać. Cynthia miała wyobrażenie co do rozmiarów intruza i celu, jaki obrał, ponieważ mierzył w nią. Mężczyzna trzymał broń nieruchomo przed sobą. Zimne, skoncentrowane spojrzenie jego niebieskich oczu prześlizgnęło się po niej, lustrując pokój.

Krzyknęła, nie wytrzymując już napięcia. Intruz przetoczył się po podłodze i zniknął w łazience obok sypialni.

Za chwilę zginie od kuli jakiegoś szaleńca, bo Walter zostawił ją spętaną, zupełnie jakby miała być złożona w jakiejś ofierze. Obłąd!

Po chwili mężczyzna stanął u wezglowia łóżka i opuścił wolno broń. Spoglądał na drzwi wejściowe.

- Czy jest pani w tym domu sama? - zapytał chrapliwym szeptem.

Nagły przypływ hysterii chwycił ją za gardło.

- Byłam - odparła ochryple, nie spuszczać wzroku z pistoletu, który ciągle jeszcze był wycelowany w drzwi.

- Jego twarde spojrzenie błyskawicznie spoczęło na jej twarzy. Spojrzenie pytające, zmuszające do mówienia.

- Dopóki pan się nie zjawił.

Wyjął coś z kieszeni i podsunął jej pod nos. Skuliła się, myśląc, że to chloroform albo coś równie okropnego, ale była to po prostu odznaka identyfikacyjna.

- Ja nie...

- Jake Wheeler, FBI.

Ta lakoniczna prezentacja sprawiła, że znowu skuliła się ze strachu.

Stał nad nią jak kat. Miał krótko ostrzyżone, czarne włosy i twarz tak szczupłą i kształtną, że pewnie pękłaby przy pierwszym uśmiechu. Jego szaroniebieskie oczy okolone były zadziwiająco gęstymi, podwiniętymi do góry czarnymi rzęsami. Na buzi porcelanowej lalki wyglądałyby doskonale. Na jego bezwzględnym obliczu wyglądały przerażająco. Miał na sobie czarny sweter i džinsy. Zastanawiała się bez związku, czy w piątki wolno w FBI nosić tak swobodny strój.

Kiedy skinęła głową, wsadził z powrotem swoją służbową legitymację do kieszeni.

- Czy wie pani, kto to zrobił?

- Walter Plinkney. I mam nadzieję, że go pan znajdzie - powiedziała z goryczą. - Krzesło elektryczne to dla niego za mało.

Na tej jego smukłej, męskiej twarzy pojawił się cień wątpliwości.

- Zna pani sprawcę?

Przytaknęła z powagą.

- To mój... - Nie ma mowy, żeby opowiedziała temu przerażającemu człowiekowi, jak jej własny narzeczony opuścił ją w środku seksualnej zabawy. - Och, to moja randka.

Popatrzył na nią bardziej uważnie, jak gdyby jej ciało było sceną zbrodni, a on zbierał dowody.

- Czy w jakikolwiek sposób panią zranił?

Zrozumiała, że on po prostu wykonuje swoją pracę, i przestała się wiercić.

- Tylko moją duszę.

- I nie zrobił nic, czego by pani nie chciała?

12 *Nancy Warren*

- Zrobił - jęknęła. - Zostawił mnie tutaj, zanim w ogóle zabraliśmy się za seks.

Miała wrażenie, że z trudem zapanował nad uśmiechem. Rysy jego twarzy na moment złagodniały tak, że przybrała niemal ludzki wyraz.

- Ale pani udział był dobrowolny?

Słyszała o tym, że można pokryć się rumieńcem na całym ciele, ale nigdy nie sądziła, że doświadczy tego na własnej skórze - aż do dzisiaj. Nawet palce u stóp poczerwieniały pewnie na tyle, że pasowały teraz do szkarłatnej barwy lakieru, którego użyła do pomalowania paznokci.

- To był mój pomysł. Czy potrafi mnie pan z tego uwolnić? - Ruchem głowy wskazała kajdanki.

- Gdzie jest klucz?

Mężczyzna rozejrzał się po sypialni. Idealny porządek. Żaden klucz nie szpecił błyszczącej powierzchni mebli.

- Ostatnio miał go Walter...

- Gdzie on teraz jest?

Cynthia myślała, że szczyt upokorzenia ma już za sobą, dopóki przybysz nie zadał tego pytania.

- Musiał wyjść - wybełkotała.

- Może do niego zadzwonimy?

Spoglądał na nią z powątpiewaniem. Najwyraźniej zastanawiał się, co do licha mogło skłonić mężczyznę do tego, by przykuć nagą kobietę do łóżka, a następnie ją tak zostawić. To było dobre pytanie, Cynthia sama się nad tym zastanawiała.

- Naprawdę nie mogę dłużej czekać. Muszę iść do łazienki.

Pochylił się nad nią i zaczął majstrować przy kajdankach.

- Czy one mają regulację?
- Nie wiem, zostały kupione w sex-shope.
- Zobaczę, co się da zrobić.
- Czy mógłby się pan pospieszyć? Proszę.

Jej agonía musiała go trochę poruszyć. Wybiegł z pokoju i po paru minutach wrócił z parą nożyc, które zdaniem Cynthii pochodziły z przydomowego warsztatu. Biedny ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, do czego ich się tu używa.

Mężczyzna przyłożył narzędzie do pierwszej bransoletki kajdanek, które krępowały jej ręce.

- Proszę się nie ruszać - polecił.

Posłusznie znieruchomiała, przyglądając się jego okazałym rozmiarów bicepsom, wydatnej szczęce i czerwieniejącej szybko twarzy. Usłyszała jęk wysiłku, a potem błogosławiony odgłos, na który czekała. Ciach. Obszedł łożko i przystąpił do uwalniania drugiej dłoni.

Dopiero teraz Cynthia zadała sobie pytanie, co się stało z sąsiadką. Ostatnią rzeczą, jaka była jej teraz potrzebna, to nadejście którejs z wiekowych przyjaciółek matki.

- Gdzie jest pani Lawrence?
- Poszła do domu zadzwonić na policję.

Cynthia krzyknęła z przerażenia, wpatrując się w zimne, błękitne kawałki marmuru, które zastępowały mu oczy.

Mamrocząc jakieś przekleństwo, wsunął nożyce pod pachę, sięgnął do kieszeni i wydobył telefon komórkowy. W chwili gdy wcisnął przycisk, usłyszała syrenę, a kilka sekund później zobaczyła smugi czerwonego światła, omiatające sufit jej sypialni.

Spojrzenie, jakie posłał jej agent Wheeler, mogłoby wyrażać żal, gdyby nie to, że wątpiła, by on w ogóle coś

czuł. Ignorował zgiełk przed domem na tyle długo, aby móc *przeciąć* drugą bransoletkę kajdanek. Zbyt zdesperowana, by mu podziękować, Cynthia owinęła się prześcieradłem i bez chwili wahania pognała do łazienki, w pośpiechu o mało się nie przewracając.

Wróciła kilka minut później, w zbyt dużym szlafroku frotte, mocno przewiązana paskiem w talii. Podkraśla się do okna i wyjrzała dyskretnie. Człowiek z FBI był na dole i rozmawiał z miejscowym policjantem w mundurze. Obaj stali oparci o radiowóz, w pozie wyjątkowo nie-dbałej. Słyszała męskie śmiechy. Potem agent Wheeler klepnął policjanta w plecy i odesłał do swoich obowiązków, a sam ruszył chodnikiem z powrotem do domu.

Cynthia wyciągnęła z szuflady majtki i nałożyła je pod puszystym szlafrokiem. Kajdanki ciągle opinały jej nadgarstki, a rozcięty łańcuch zwiisał na kilka centymetrów. By go zakryć, naciągnęła rękawy i wzięła głęboki wdech.

Odważyła się spojrzeć w lustro nad toaletką i znowu zaczęła się dziwić, co ona sobie do licha myślała, próbując zrealizować tę zmysłową, seksualną fantazję. Na miłość boską, była przecież tylko niepozorną Cynthia Baxter - księgową!

Westchnęła, rozczesując swe średniej długości włosy o nieokreślonym kolorze. Kilka godzin wcześniej, dzięki termolokom, wyglądały naprawdę nieźle. Ale całe to miotanie się między filarami łóżka uczyniło z niej wątpliwej jakości mieszankę Audrey Hepburn ze „Śniadania u Tiffany'ego” i Davida Bowie w „Ziggy Stardust”.

- Dlaczego to zrobiłaś? - jęknęła pod nosem, rozczesując szczotką kolejny supeł włosów.

Dobrze jednak wiedziała dlaczego. Po prostu wkroczyła w nastoletni bunt jakieś piętnaście lat za swoimi

rówieśnikami. Była przecież dokładnie taka, jaką chcieli ją mieć rodzice do momentu, gdy okazało się, że ich zdaniem, zbyt ociąga się z zamążpójściem.

„Jeszcze chwila i zostaniesz na lodzie”, zwykła mawiać matka. Za każdym razem Cynthia czuła się wtedy jak przeterminowane masło orzechowe.

Niby jak miała zmusić mężczyzn, by zwrócili uwagę na kogoś tak niepozornego i staromodnego. To, że zauważył ją Walter, było i tak cudem, choć chwilami podejrzewała, że to typ faceta, który kursuje od jednej maselniczki z przeterminowanym masłem orzechowym do drugiej. Nie było więc specjalnych powodów do zachwyty, ale w końcu był mężczyzną, kawalerem i lekarzem. Matka nie mogła wyjść z podziwu, a Cynthia miała nadzieję na odrobinę tej fizycznej przyjemności, o której ukradkiem czytywała po nocach.

Seks z Walterem był jak zabawa w lekarza, tylko nie taki śmieszny. Cynthia zastanawiała się wielokrotnie, czy fakt, że był ginekologiem, stanowił jakiś problem - czy trochę mu się nie mieszało. Tak czy inaczej, byli ze sobą od sześciu lat. Uspokajało to jej własne sumienie i sumienie matki. Nigdy oczywiście nie spędziłyby całej nocy u Waltera, ale te długie godziny poza domem robiły dobre wrażenie. W końcu pogodziła się z myślą, że urodziła się, by być nudną księgową i wyjść za doktora Nijakiego.

Nie wyobrażała sobie nawet, jak bardzo osamotniona będzie po śmierci matki. W ciągu tego roku narastał w niej paniczny strach, że oto życie przecieka jej przez palce. Cynthia tęskniła do jakiegokolwiek odmiany, czegoś choć odrobinę szalonego i nieprzewidywalnego. Zaczęła więc od sypialni, choć w żadnej ze swoich fantazji nie marzyła o agencji FBI.

Takiego wstydu nie najadła się od szóstej klasy, kiedy Daniel Prewitt zapytał ją przy całej klasie, czy ma ochotę na coś twardego, a ona odpowiedziała że tak, myśląc, że chodzi mu o batona.

Przyjrzała się ponownie swemu odbiciu w lustrze. Makijaż był zbyt krzykliwy. I jeszcze te sutki pokryte różem, jak to sugerowano w czasopiśmie. Żenujące! Miała tylko nadzieję, że agent FBI Wheeler niczego nie zauważył.

Przypomniała sobie sposób, w jaki ją lustrował. I to zimne, twarde spojrzenie, nie wyrażające emocji. Jej nagie ciało nie rozpaliło w nim płomienia pożądania większego niż u Waltera. Nawet gdyby wymalowała na piersi gwiazdy i pasy flagi państwowej, jego maszt by nie stanął.

Fakt, że obcy mężczyzna znalazł ją przypiętą kajdanami do łóżka, był wystarczająco okropny. Ale, że w tej pozycji nie zrobiła na nim wrażenia... Zaraz, zaraz!! Przypomniał jej się ten przelotny uśmiezek, który pojawił się w jego oczach, gdy stwierdził, że nie chodzi tu o sprawę kryminalną, a o seksualne igraszki. Taak! Wywarła na nim wrażenie: rozbawiła go. Tylko się zastrzelić!

Najpierw jednak musi się pozbyć mężczyzny siedzącego w salonie. W jej salonie. W absolutnej sprzeczności z antykwarycznymi meblami i kolekcją figurek należącą kiedyś do jej matki.

- Proszę usiąść - polecił.

Cynthia nie dostrzegła broni, ale już sama świadomość, że on ma ją przy sobie, wywoływała u niej rozstrój żołądka. Usiadła. Uprzejma jak zawsze, pamiętała, by mu podziękować.

- Dziękuję za... - Chrząknęła. - Za uwolnienie mnie. Przyglądał jej się uważnie.

- O co tu chodzi? - zapytał w końcu. - Czyj to dom?

- Mój.

Parsknął śmiechem.

- Posłuchaj, skarbie, gliniarzy już odesłałem. Jesteś dziwką na telefon. Mnie to nie rusza. Nie jestem z obyczajówki. Chcę tylko wyjaśnić sytuację, zanim cię stąd wyprowadzę.

Aż otworzyła usta ze zdumienia. To był pierwszy promyk słońca, który rozjaśnił najczarniejszy dzień w jej życiu.

- Więc pan myśli, że jestem prostytutką? - Uwierzył, że mężczyźni zapłaciliby za seks z nią?

Posłał jej takie spojrzenie, jakimi jej zdaniem faceci z FBI obrzucają dziwki. Może dalej by się w to bawiła, gdyby nie fakt, że zamierzał wyprowadzić ją z jej własnego domu.

- Mój narzeczony Walter Plinkney, dostał pilne wezwanie. Do porodu, jak sądzę.

- Co?

- Jest ginekologiem-położnikiem. Pewnie musiał odebrać dziecko. A to jest naprawdę mój dom.

Posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Może to pani udowodnić?

- Sąsiadka poznała mój głos.

- Jest prawie głucha. Usłyszała po prostu kobiecy głos. Musi się pani bardziej postarać.

Cynthia westchnęła.

- Przyniosę prawo jazdy - oświadczyła. Ruszyła do sypialni po torebkę, a on nie spuszczał jej z oka. - Pozwoli pan? - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Nie chcę, żeby zginęły jakieś domowe srebra.

Rozdrażniona chwyciła swą czarną skórzaną torebkę i wydobyła z niej prawo jazdy.

- Proszę.

Spojrzał na nie.

- To nie pani.

- Oczywiście, że ja.

Wziął od niej plastikowy dokument i bardziej uważnie przyjrzał się jej, a potem zdjęciu w prawie jazdy.

- Powinna je pani zaktualizować - stwierdził.

Zdjęcie miało nie więcej niż rok. To dzięki „Raunch” tak się zmieniła. Pomijając niewątpliwie rozczarowującą reakcję Waltera, nawet polubiła swój nowy wizerunek. Dzięki niej groźny i uzbrojony po zęby agent FBI mówił jednym tchem o seksie na telefon i o niej. Przrzekła sobie, że zachowa trochę z tego stylu w swoim codziennym wizerunku, no, może z wyjątkiem uróżowanych sutków.

- Proszę wyciągnąć dłonie przed siebie.

- To mój dom. Niech mi pan przestanie rozkazywać.

Cynthia schowała ręce za plecami. Kiedy pozbędzie się już resztek kajdanek, nikt nie będzie dotykał jej rąk przez bardzo długi czas.

Wyciągnął z kieszeni dwa kluczyki i potrząsnął nimi przed nią.

- Znalazłem je w naczyniu na słodycze.

Z ulgą podsunęła mu swoje dłonie. Agent Wheeler zrecznie rozpiął najpierw jedną, a potem drugą bransoletkę.

- Jeżeli nie jest pani dziwką, to co pani robi? Mam na myśli, kim pani jest z zawodu? - dodał pospiesznie.

Cóż, było miło, ale się skończyło, pomyślała.

- Jestem księgową.

Przyglądała mu się spod rzęs, czekając, aż obrzuci ją znudzonym spojrzeniem.

Jego reakcja była jednak nietypowa. Dostrzegła wyraźne niedowierzenie w jego kamiennym spojrzeniu.

- Nabiera mnie pani.
- Mówię poważnie. Jestem księgową.
- To fantastycznie!

Nikt, ale to nikt, nie skakał z radości na widok księgowego. Chyba że...

- Tylko proszę mi nie mówić, że ma pan pałacy problem podatkowy i chciałby pan, żebym się nim zajęła.

- Nie, nic z tych rzeczy. Proszę usiąść. Może opowie mi pani coś o sobie.

- Nie mówi pan poważnie.

Jeszcze mocniej zacisnęła szlafrok. Przyszło jej do głowy, że nie ma na sobie nic oprócz jedwabnych majteczek.

- Chyba powinienem był się przedstawić jak trzeba.
- Uśmiechnął się do niej zabójczo. Zmieniło to całkowicie groźnego stróża prawa w niezwykle atrakcyjnego mężczyznę. - Jestem Jake Wheeler. Właśnie zamieszkałem w sąsiedztwie.

- Cynthia Baxter. - Machinalnie podała mu rękę, czując jak zimny pot spływa jej po całym ciele. - Powiedział pan, że jesteśmy sąsiadami?

Widział ją naga, a teraz będzie się jej kłaniał przez płot? I będą na siebie wpadać w dniu wywozu śmieci i spędzać Dzień Niepodległości na sąsiedzkim grillu?

Rozdział drugi

Cynthia Baxter spadła mu jak z nieba. Prawdziwa kocica z głową do cyferek.

Jake miał ochotę wstać i wiwatować. Dla spokoju ducha obiecał sobie, że dokładnie ją sprawdzi, ale miał przeczucie, że pani Lawrence i jej podlewający dalej pies wyświadczyli mu wielką przysługę, wzywając go, by pomógł sąsiadce.

Śledztwo w sprawie firmy Oceanic Import-Export utknęło w martwym punkcie. Nie było szans na wprowadzenie tam swojego człowieka. Neville Percivald był zbyt przebiegły i zbyt ostrożny. Miał jednak jedną słabość, co w toku dochodzenia odkrył nieustępliwy Jake. Ludzie z agencji trafili za Percivaldem do kilku podejrzanych klubów, które oferowały usługi pętania i biczowania. Gdyby Jake mógł zaufać niewątpliwie namiętnej panie Baxter i wprowadzić ją do Oceanic, mogłaby zdobyć dla niego dowody, jakich potrzebował, by wszcząć oficjalne śledztwo.

Miał przeczucie, że Neville i Cynthia pasowali do siebie, jak ćwieki do perwersyjnego skórzanego uniformu.

- Gdzie pracujesz?
- W cementowni.
- Naprawdę? - Wrócił *do* salonu, zostawiając za sobą ciężki zapach perfum i widok łóżka, które przypominało mu o jej smukłym ciele, nagim i gotowym... Odchrząknął.
- Jak długo tam pracujesz?
- Dziewięć lat. Będzie pan pisał o mnie jakiś raport czy co?
- Nie - zapewnił ją. - Po prostu gawędzę jak sąsiad z sąsiadką.

Cynthia Baxter nie była ani policjantem, ani agentem. Od dziewięciu lat pracowała jako księgowa. A w Oceanic Import-Export właśnie poszukiwano kogoś na to stanowisko. Cynthia nadawała się do tego idealnie, nie tylko ze względu na kwalifikacje zawodowe. Gdyby dostała tę pracę, byłaby jego osobistą Matą Hari. Pracowałyby tam w ciągu dnia, a wieczorem wszystkie zasłyszane informacje przekazywałyby swojemu nowemu sąsiadowi.

- Od jak dawna pracujesz dla FBI?
- Od dwunastu lat. Zdaje się, że oboje dostaniemy kiedyś po złotym zegarku.

Jeżeli naprawdę lubiła swoją pracę w cementowni, byli tu w stanie coś razem wykombinować. Miał przecucie, że wreszcie nastąpi przełom w dochodzeniu. Wyglądało to tak doskonale, że miał ochotę pocałować ją w te krwistoczerwone usta nierządniczy.

Były pełne, wydęte i pokryte mocno wyzywającym makijażem. Gdyby więcej księgowych tak wyglądało, żaden prawdziwy mężczyzna nigdy nie zalegałby z podatkami. A już na pewno nie Neville Percivald.

Jake był bardzo podekscytowany.

- Czy mogę do pani mówić po imieniu, Cynthio?

Wpatrywała się w swoje prawo jazdy, które ciągle trzymała w ręku, by po chwili unieść głowę.

- Możesz do mnie mówić Cyn!

Cynthia weszła do „Tres Chic!” przez pneumatyczne, szklane drzwi i poczuła się jak żebrak na salonach. Jej zakłopotane spojrzenie wędrowało między wzorami butów i ubrań, jakich nigdy w życiu nie widziała.

Właśnie zaczęła zastanawiać się nad ucieczką, gdy podeszła do niej młoda kobieta. Miała kruczoczarne włosy z dramatycznym białym pasemkiem w grzywce. Nosiła obcisłe, skórzane spodnie typu kowbojskiego z frędzlami u dołu, gustowną pomarańczową bluzkę i buty jak na występ w go-go.

- W czym mogę pomóc? - zapytała z powątpiewaniem, bo czyż Cynthii można było jeszcze pomóc?

Cynthia nabrała powietrza w płuca.

- Tak, może pani. - Spoglądała bezradnie na swój tweedowy kostium i mało wyjściowe buty. - Potrzebuję cudu.

- Chce pani wyglądać bardziej nowocześnie? Zdaje się, że katalog, z którego się pani ubiera, wydano dosyć dawno. - Dziewczyna wyjrzała przez okno, ponad ramieniem Cyn. - A może by pani...

- Mieszkałam w Moskwie.

- Hm?

Dziewczyna zamierzała ją zbyć, a Cynthia wiedziała, że już nigdy nie zdobędzie się na odwagę, by tu wrócić. Wóz albo przewóz! Desperacja zmusza do myślenia.

- Mieszkałam w Moskwie przez dziesięć lat, jako... jako sekretarka w amerykańskiej ambasadzie. - Wskazała

na swój kostium. - Tylko coś takiego mogłam tam dostać. Za samą spódnicę musiałam oddać trzy kartony Marlboro.

- Szkoda fajek - mruknęła dziewczyna.

- Tak bardzo brakowało mi amerykańskiej mody! - westchnęła Cynthia. - W Moskwie myślą, że Prada to

samochód. - Zaśmiała się z własnego dowcipu. Ale ubaw!

- Dziewczyna popatrzyła na nią bez wyrazu. - No wie pani, tak jak Łada. - dodała Cynthia nieco nerwowo.

Mieszkańcy Moskwy byli pewnie dziesięć razy modniej ubrani niż ona, ale jej historyjka zrobiła odpowiednie wrażenie. Dziewczyna przestała wyglądać na ulicę w poszukiwaniu innego sklepu, do którego mogłaby ją odesłać.

- To prawda. Widziałam w telewizji te futrzane czapy. Wyglądały jak... - Skrzywiła twarz w grymasie.

- Więc, jak chciałyby pani wyglądać?

Cynthia znowu wzięła głęboki wdech.

- Seksownie.

Dziewczyna zachichotała, a w jej oczach pojawiło się zainteresowanie. Skinęła powoli głową.

- Seksowne ciuchy to moja specjalność. Proszę za mną.

W dwie godziny później Cynthia miała już całą masę toreb, poważnie nadwerżoną kartę kredytową, własną imitację zwierzęcej skóry, botki, torebki, biżuterię. Wszystko co trzeba.

Nadal miała na sobie ostatnie z rzeczy, które przymierała: obcisłą, wzorzystą spódnicę, trochę za małą bawełnianą bluzkę, wyglądającą jak halka, i masywne, czarne buty.

- Wygląda pani olśniewająco - zapewniła ją dziewczyna.

- Proszę coś jeszcze dla mnie zrobić.

- Tak, słucham.

- Niech mi pani poda ten pojemnik na śmieci. - Cynthia wrzuciła do niego dwuczęściowy tweedowy kostium i dobraną pod jego kolor bluzkę, po czym ostentacyjnie otrzepała dłonie. - Dziękuję. Potrzebowałam tego. Czy kiedy wyjdę, mogłaby pani wyjąć te rzeczy z kosza i oddać potrzebującym?

Dziewczyna roześmiała się.

- Załatwione. Proszę zaglądać, kiedy tylko będzie się pani chciała poradzić. Wygląda pani świetnie, naprawdę. Kiedy tylko fryzjer zrobi coś z tymi włosami...

- Z włosami?

- Myślałam, że... hm. Jestem pewna, że w Moskwie mają niezłych fryzjerów, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat fryzury się nieco zmieniły.

Cynthia była obcięta na pazia.

- No, jasne.

- Znam doskonałego stylistę, Michaela. To geniusz, nie fryzjer. - Wyciągnęła pomietą wizytówkę z adresem miejsca zwanego „Ekstaza”. - Proszę się zdać na Michaela. On jest najlepszy. I... - Dziewczyna zrobiła pauzę, nie mając pewności, czy mówić dalej. - Nie chciałabym pani urazić, ale skoro już mówimy o kompletnie nowym wizerunku...

- Tak...

- Te okulary były modne w latach osiemdziesiątych.

- No, oczywiście, okulary. Dziękuję. Czy jeszcze coś?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Proszę się nad tym zastanowić i zajrzeć tu, kiedy już będzie pani po wszystkim. Założę się, że pani nie poznam.

Ponieważ Cynthia zawsze wyznawała zasadę, by nie odkładać do jutra tego, co można zrobić dzisiaj, bez-

zwłocznie wróciła do domu i poumawiała wizyty. U oku-
listy i, po głębszym namyśle, u Michaela w „Ekstazie”.

Michael okazał się ekscentrycznym perfekcjonistą z tem-
peramentem południowca. Kiedy Cynthia trafiła na fotel,
nie miała głowy śledzić tego, co dokładnie robi, zmuszona
nadażać za tempem jego wypowiedzi.

- O Boże, co ci Rosjanie z tobą zrobili? - jęknął
z bólem, oglądając ją ze wszystkich stron w lustrze.
- Wystarczy, żeby znowu wywołać zimną wojnę.

Uśmiechnęła się lekko.

Po umyciu głowy wróciła na fotel, a Michael wziął
nożyczki i przystąpił do dzieła.

- Julia mówiła, że mieszkałaś w Moskwie.

Cynthia dała wymijającą odpowiedź.

- W ciągu tych dziesięciu lat pobytu w Rosji twoje
włosy prawdopodobnie straciły kolor. Jestem pewien, że
kiedyś były bardziej efektowne.

- Tak - przyznała z nieodgadzionym wyrazem twa-
rzy. - Kiedyś były ładniejsze.

- Zrobimy im płukanekę. Lekki mahoń z odrobiną
burgundu. Może być?

Każdy kolor, byle nie nazbyt wyzywający.

Kiedy fryzura była wreszcie gotowa, Cyn nie mogła
uwierzyć własnym oczom. Jej włosy wyglądały atrakcyj-
nie i świeżo.

- Są cudowne! - krzyknęła.

Stylista pokiwał głową.

- Wyszedłem z założenia, że twój styl to bardziej
„Seks w wielkim mieście” niż „Rozdanie nagród MTV”.
Myślę, że miałem rację.

- Też tak myślę. - Zachichotała uradowana, pod-

skubując swe mahoniowo-burgundowe kosmyki. - Bez wątplenia miałaś rację.

- Szykuje się dzisiaj jakaś gorąca randka?

Faktycznie, miała randkę z Walterem, ale co do temperatury tego spotkania to...

- Coś ty zrobiła z włosami?

Walter aż przetarł oczy ze zdumienia, kiedy otworzyła mu drzwi.

Powitalny uśmiech Cynthii powoli zgasł.

- Nie podoba ci się?

- Są czerwone. Zbyt młodzieżowe jak dla ciebie. To, to...

Chociaż nie mógł dobrać właściwego słowa, przerażenie na jego twarzy mówiło samo za siebie.

Odwróciła się, przeszła urażona do salonu i zaczęła przestawiać figurki, lokując Chłopca z Wędką koło Dziewczyny z Chóru, zamiast koło Autostopowicza, gdzie zawsze stał. Najlepiej byłoby spakować te małe porcelanowe figurki do pudełka i zmienić wystrój pokoju. Ale figurki należały do matki, a Cynthia była sentymentalna. Z westchnieniem postawiła z powrotem Chłopca z Wędką koło Autostopowicza i zapaliła lampę.

Walter stał nieśmiało na skraju dywanu w stylu kolonialnym, najwyraźniej nie wiedząc, co dalej. Jakże pasował do tego pokoju. Staromodny mężczyzna w staromodnym wnętrzu. Przypuszczalnie nie miał nawet pojęcia, że jego krawat był zbyt wąski, a sweter, który nosił, od tak dawna wyszedł z mody.

Nie widziała Waltera od ubiegłego piątku, kiedy to zostawił ją nagą, związaną, zdaną na własne siły. Och, zadzwonił późnym wieczorem, zmęczony i przepracowany. Przepraszał, że musiał wyjść. To był trudny poród.

Przez kolejnych kilka dni miał dyżury w szpitalu, ale dlaczego nie zjedli razem kolacji u niej we wtorek? Oczywiście Cynthia wybaczyła mu, ale ciągle miała wrażenie, że po tym, co przeszła, powinien się trochę mocniej uderzyć w pierś.

Teraz stał przed nią. Żadnych kwiatów, przeprosin czy wina. Nawet nie zaproponował wyjścia do restauracji. Jak zwykle pichciła kolację dla swego doktora. Gdyby przemierzył pokój, wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka, wybaczyłaby mu całkowicie. Spojrzała na niego, jak jej się zdawało, ponętnie i uwodzicielsko.

Zataił ręce z entuzjazmem.

- To pieczeń? Umieram z głodu.

Matka Cynthii, która swoje jedyne dziecko urodziła po czterdziestce, miała w kwestii sporów przy stole taką zasadę: szkodziły trawieniu i zdradzały złe wychowanie. Cynthia, która aż do ubiegłego piątku była przez całe życie posłuszną córeczką, prowadziła więc teraz ugrzecznioną konwersację, choć w środku aż się gotowała.

Przygotowała jedzenie, a Walter w tym czasie przejrzał gazetę. Po kolacji zrobiła kawę, którą wypili w salonie jak para siedemdziesięciolatek. Cynthia spojrzała na filiżankę i spodek w swej dłoni. Porcelanę zdobiły kwiaty czerwonej róży, po trzydziestu latach trochę wyblakłej i przypominającej kolorem staromodny, różowy szlafrok. Odkryła, że nie lubi porcelany.

Nie tylko piła z filiżanek swej matki, ale prowadziła życie takie jak ona. Minał rok od śmierci matki. Kochała matkę. I ojca. Ale gdzieś się zapodziała jej młodość; przeistoczyła się z podlotka od razu w kobietę w średnim wieku. Zagubiła samą siebie i musi coś zrobić, by się odnaleźć.

Salon wypełnił szelest gazety, kiedy Walter przewrócił stronę.

Może problemem nie był ani Walter, ani jej życie seksualne.

Może to ten dom.

- Zastanawiam się nad sprzedażą domu - powiedziała Cynthia głośno, pozwalając by myśli zamieniły się w słowa.

- Hm?

Gazeta znowu zaszeleściła, kiedy Walter starannie złożył ją na czworo i położył na stole obok siebie. Popatrzył na nią beznamytnie, a potem się uśmiechnął. Rozpoznawała ten uśmiech. Ten jego protekcyjny, lekarski uśmiech, mówiący: „Uspokój się, wszystko będzie dobrze”. Uśmiech, który sprawiał, że miała ochotę go czymś dzielić.

- To zupełnie naturalne.

- Słucham? - Chyba się przesłyszała.

Podniósł się, przemierzył pokój i usiadł obok niej na złotej adamaszkowej kanapie. Spojrzał jej prosto w oczy i przemówił łagodnie:

- Jesteś w trudnym okresie życia. Wchodzisz w wiek średni...

- Mam trzydzieści jeden lat!

Kontynuował, jak gdyby w ogóle się nie odzywała.

- Twój zegar biologiczny tyka. - Musnął palcem jej nos, jakby miał do czynienia z wystraszonego dzieckiem.

- Myślę, że powinniśmy ustalić datę ślubu.

Ucisk w piersi stał się nie do zniesienia.

- Dlaczego?

Pogładził ją po kolanie. Naprawdę pogładził ją po kolanie!

- Trochę przesadzasz z reakcjami, sędzę jednak, że wysyłasz mi dość jasne sygnały.

- Przestań mówić do mnie jak do pacjentki. Jestem twoją narzeczoną.

A gdzie były słowa miłości? Gdzie romantyczne gesty, gdzie seks?

- Chcę ci pomóc, poprowadzić cię.

Kontrolować mnie, pomyślała, a ucisk w piersi wzmógł się jeszcze.

Ujął jej lewą dłoń, na której połyskiwał słabo malutki brylancik. Próbowwała wmówić sobie, że ten pierścionek był gustowny, ale on był po prostu tandetny.

- Mógłbym wygospodarować trochę czasu w kwietniu. I wtedy wzięlibyśmy ślub. - Popatrzył z powątpiewaniem na jej głowę. - Czy twoje włosy zdążą odrosnąć?

Może nie była wobec Waltera sprawiedliwa. Dla niego decydowanie o dacie ślubu na siedem miesięcy wcześniej było zachowaniem spontanicznym. Próbowwała wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu.

- Moglibyśmy wziąć trochę pieniędzy ze sprzedaży domu i wybrać się w naprawdę wspaniałą podróż poślubną.

Znowu posłał jej ten swój uśmiech.

- Masz pojęcie, jak szybko rosną ceny nieruchomości w tej okolicy? Jesteśmy oddaleni tylko czterdzieści pięć minut od Seattle. Dom leży niedaleko mojego szpitala i twojej pracy. To wspaniałe miejsca na zakładanie rodziny. A ty - ustatkujesz się.

Ich złączone dłonie zaczęły się pocić. Wizja Wenecji i Aruby rozplynęła się.

- A co z podróżą poślubną?

- Już zaplanowana. Biorę za Myrona Slavinskiego tydzień dyżuru w zamian za tydzień pobytu w Palm Desert.

- Gdzie będziesz ćwiczył golfa. Na emeryturze jak znalazł!

Ucisk w piersi nie zelżał. Cynthia zaczerpnęła oddechu. Może to atak hysterii?

Walter poprawił okulary na nosie.

- Golf jest coraz popularniejszy również wśród ludzi młodych. Zdziwiłabyś się.

Zabrała swoją dłoń.

- Nie mogę tego zrobić, Walter.

Dziwne, jak uspokoiło ją podjęcie tej decyzji. Gdyby wyszła za Waltera, nie tyle by się ustatkowała, co zapadła w podmiejskim mokradle, pogrzebana za życia. Nic dziwnego, że nie mogła oddychać.

- Ale Myron mówi, że to pole golfowe jest bardzo dobre. I każdy, kto wykupi domek, dostanie rabat na pole golfowe.

- Więc może powinieneś pojechać z Myronem, bo obaj lubicie golfa, a ja go nie cierpię. - Zerwała się.

- Od kiedy ty...

- Od zawsze. Zawsze nienawidziłam golfa. I brydża. Tylko ty nigdy mnie nie słuchałeś. Myślę, że teraz powinieneś posłuchać, i to uważnie. Nie wyjdę za ciebie, Walter. To byłby niewypał.

Do szewskiej pasji doprowadzał ją fakt, że protekcyjnalny uśmiezek ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy.

- Jesteś wzburzona, nie działasz racjonalnie.

- Jestem wściekła! - I była, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Chodziła po salonie, naładowana jak strzelba gotowa do strzału. Jej umysł stał się jasny, jak gdyby

niedrożne zakończenia nerwowe w mózgu nagle zostały oczyszczone przez ten płomień. - Jestem tak wściekła, że chcę rzucać czym popadnie, kłać i iść do łóżka z nieznajomym.

Walter chrząknął.

- Znowu wracasz do tematu współżycia? Rozumiem. Nie chcę cię urazić, Cynthio, ale może powinienem umówić cię na rozmowę z moim kolegą, który, hm, potrafi pomóc kobietom w wychodzeniu z takich stanów. Zanim zrobisz coś, czego będziesz potem żałowała.

Przystanęła na chwilę.

- Na rozmowę z kolegą? Masz na myśli psychiatrę?

- Nie ma powodu, by się unosić. Szukanie pomocy specjalisty jest zupełnie naturalne, skoro czujesz się zagubiona i zachowujesz się... nietypowo.

- Czy ty nie rozumiesz? Taka właśnie jestem. Tylko że dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. I zrozumiałam też, że bylibyśmy okropną parą, Walter. Ja... ja chcę czegoś innego: wrażeń, romansu, podróży. Nie chcę spędzić moich najlepszych lat na oszczędzaniu w trzecim filarze.

Trafiła go w najczulsze miejsce, wiedziała o tym. Walter miał obsesję na punkcie oszczędności i bezpieczeństwa. Miała wrażenie, że to zawód księgowej zwrócił na nią jego uwagę. Przez chwilę, kiedy tak siedział i wpatrywał się w nią, wyglądał na zagubionego.

- Nie rób niczego pochopnie. Daj sobie z tydzień na przemyślenie, a potem do tego wrócimy. - Wyglądał na przejętego i przez moment Cynthia pomyślała, że może jednak ją kochał. Wtedy jednak odezwał się znowu: - Obiecay mi, że nie wystawisz tego domu na sprzedaż.

- Do widzenia, Walter.

Kiedy wyszedł, Cynthia poczuła się tak, jakby wydo-
stała się z jakiegoś kanału na światło dzienne. Przepęłniała
ją potrzeba działania - chciała rozpocząć nowe życie.

Nic dziwnego, że agent FBI nie uwierzył, że to jej dom.
W ogóle nie odzwierciedlał jej osobowości. Figurki wpat-
rywały się w nią tymi swoimi niewinnymi oczkami
z wielkimi rzęsami, jakby przeczuwały swój los.

- Przykro mi - powiedziała. - Idziecie na pierwszy
ogień.

Zbiegła do piwnicy, skąd zabrała kilka pudeł i stertę
papierów, po czym szybko wróciła do salonu. Zapakowała
ostrożnie każdą małą figurkę i schowała do pudełka. Ciotce
Loise, młodszej siostrze matki, będą się bardzo podobały.

Cynthia spakowała porcelanę z różnymi wzorami,
ręcznie zdobione papierowe serwetki, kryształ, a jej
nastój pogarszał się z każdą chwilą. Muzyka, potrzebo-
wała muzyki! Włączyła Shanię Twain, i sprząając miesz-
kanie, podskakiwała i kołysała biodrami w rytm muzyki,
starając się zachowywać jak prawdziwa kobieta. Kobieta
odpowiedzialna za swoje życie.

Kiedy skończyła w salonie, miała cztery starannie
spakowane i oznakowane pudła.

Teraz przyszła kolej na sypialnię. Bezwzględnie wycią-
gała każdą sukienkę, która była starsza niż dwadzieścia
cztery miesiące, i niektóre nowsze. Jeżeli koleżankom
z cementowni nie spodoba się jej nowy image, to już ich
problem. Spoglądała na rozpaczliwą kolekcję kreacji dla
kobiet w średnim wieku. Musiała mieć nie po kolei
w głowie, kiedy je kupowała. Wrzuciła wszystko do
wielkiego zielonego worka na śmieci, by przekazać na cele
dobroczyne.

Zaciągnęła worek do salonu i postawiła obok pudeł.

Zastanawiała się właśnie, czy starczy jej energii, by zawlec je do bagażnika, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Zacisnęła usta. Kazała Walterowi przed wyjściem oddać klucz od domu - zerknęła na zegarek - niecałe dwie godziny temu. Pewnie uznał z satysfakcją, że zdążyła już zmienić zdanie. Czy on naprawdę myślał, że w ciągu dwóch godzin może się cokolwiek zmienić? Nie będzie potrzebowała nawet dwóch minut, by to ostatecznie załatwić. Pomaszrowała do drzwi i otworzyła je zamasyście.

W progu w niedbałej pozie stał Jake Wheeler - mężczyzna, silny i niebezpieczny - z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Powinnaś najpierw wyglądać przez wizjer - poradził na powitanie.

- A skąd wiesz, że nie wyrzałam?

- Szczeka ci opadła. Więc albo masz kłopoty z tą częścią twarzy, albo to mój widok tak cię zaskoczył. Po prostu zamarłaś z wrażenia.

Kiedy patrzyła w jego błękitne oczy, na jego czarne włosy, wyrazistą twarz i barczyste ciało, przyszło jej na myśl, że z powodzeniem mogłaby pozować do „Raunch Magazine”, do tego numeru z fantazjami.

Nawet jeżeli taka myśli tylko jej zaświtała, na policzkach poczuła rumieniec, który zaczął się rozprzestrzeniać. Ten mężczyzna widział ją nago. W jednej chwili zasznurowała usta.

- Masz rację, nie ciebie się spodziewałam.

- Podoba mi się twoja fryzura.

- Naprawdę? - Kolor włosów przypuszczalnie harmonizował z rumieńcem, który oblał całe jej ciało.

Zachichotał. Pomyślała, że zrobił to z wdziękiem.

- Pozwól, że zgadnę: zmieniasz kolor włosów równie często jak facetów.

Odwzajemniła jego uśmiech, zdając sobie sprawę, że miał absolutną rację. Po raz pierwszy zmieniła kolor włosów i od razu rzuciła swego jedyne go dotąd partnera. A miała dopiero trzydzieści jeden lat.

- Trafiałeś w dziesiątkę.

- Masz zamiar zaprosić mnie do środka, czy przyjmiesz gości w progu?

- Och, przepraszam. Wejdz.

Cynthia cofnęła się o krok. Jake wszedł do środka, od razu skierował się do salonu i dopiero tam wyhamował.

- Chyba się nie wyprowadzasz? - W jego głosie zabrzmiała jakaś paniczna nuta.

- Zastanawiam się nad tym. Nie, już przestałam się zastanawiać. Podjęłam decyzję: wyprowadzam się. Tak, wyprowadzam się.

- Ale to wspaniała okolica: bezpieczna, spokojna. Doskonałe miejsce na...

- ...na założenia rodziny? Wiem. Wyrosłam w tym domu. - Westchnęła. - Po prostu potrzebuję odmiany, to wszystko.

- Więc zmień wystrój domu. To znacznie łatwiejsze.

- Mówisz jak Walter.

Jego oczy zwężyły się.

- To ten lekarz, który chodzi na wizyty domowe? Mam wrażenie, że to niedobrze.

Dlaczego obchodziło go to, czy się wyprowadzi? Zamierzał ją aresztować czy co? To, co zrobiła, nie jest przecież karalne. Wyjątkowo żenujące - zgoda, ale z pewnością ona i Walter byli na tyle dorośli, żeby... żeby co? Nawet nie zaczęli nic robić. Skrzyżowała ręce na piersi i potrząsnęła głową.

- Raczej się wyprowadzę.

- Poczekaj, jeżeli to dlatego, że widziałem cię naga, to prawie nie patrzyłem.

Cynthia poczuła, że ze wstydu jej szyję i ramiona oblał zimny pot.

- Czego ty właściwie chcesz?

- Staram się zachowywać dobrosąsiedzkie stosunki.

- Jesteś tu nowy. To ja powinnam cię odwiedzić.

- Czekałem, aż staniesz w moich drzwiach z jakimś dobrym ciastem. - Poglądził się po brzuchu. - Ale zgłodniałem.

Uśmiechnęła się, wbrew sobie. Kiedy nie napędzał jej strachu, miał w sobie wiele uroku.

- Ciasto się skończyło, ale mam trochę lodów z podwójną czekoladą.

- Świetnie.

Kiedy wróciła z dwoma pucharkami lodów, znalazła go w swobodnej pozycji na złotej adamaszkowej kanapie, wpatrującego się w ostatnią figurkę. Mała Dziewczynka Karmiąca Ptaki wyglądała w jego dłoniach na absurdalnie małą i wątłą.

- Co się stało z jej towarzyszami?

Cynthia wskazała na starannie oznakowany karton.

W jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia.

- Jakże mogła przegapić taką imprezę?

Cynthia poczuła się trochę winna.

- Matka kupiła mi ją, kiedy byłam dzieckiem. Powiedziała, że przypominała mnie. Nie miałam serca się jej pozbywać.

Popatrzył na nią uważnie.

- Nie sądziłem, że jesteś taka sentymentalna. - Odstawił figurkę na zabytkowy stolik do kawy obok kanapy i wziął pucharek z lodami. - Proszę, nie wyprowadzaj się stąd.

- *Dlaczego tak ci na tym zależy?*

- Jesteś *jedyną* osobą w okolicy, która jest samotna, a jednocześnie nie odbiera od listonosza emerytury.

Jej serce zabiło mocniej. Powiedział, że oboje są samotni i że nie chciałby, aby się stąd wyprowadzała. Czy taki fajny facet mógł być nią zainteresowany? Taki przystojniak, taki twardziel. Nie. Musiał mieć jakiś problem z podatkami.

- Mieszkają tu głównie młode małżeństwa i ludzie starsi - powiedziała. - Dlaczego się sprowadziłeś do tej okolicy? W śródmieściu jest wiele bloków. Tam mieszkają ludzie samotni. Tam właśnie się przeniosę.

- Przeprowadziłem się tu, bo nie chcę mieszkać w wielkiej płycie. Odpowiada mi charakter tych domków. Mój kupiłem od ciotki, która jest teraz w domu spokojnej starości.

- W domu spokojnej starości... Pani Jorgensen to twoja ciotka?

Skinął głową.

- Ależ ona mieszkała tylko dwa domy stąd. Obok pani Lawrence.

Znowu skinął głową, coraz wyraźniej rozbawiony.

- Nie powiesz jej chyba... proszę, nie mów nikomu...

- ...że znalazłem cię naga, przypiętą kajdankami do łóżka? - Zachichotał, mając ubaw po pachy. - Żeby dostała palpacji?

Jej ręce zadrżały na samo wspomnienie tego naprawdę koszmarnego przeżycia. Za każdym razem widok agenta Wheelera będzie jej przypominał sposób, w jaki się poznali.

- Zdecydowanie wyprowadzam się.

- Znienawidzisz blok, zapewniam. - Rozejrzał się po

salonie.- Musisz tylko zmienić wystrój. Pomogę ci. Mogłbym być twoim osobistym malarzem.

- Tylko tego mi trzeba. Szpieg w drelichu krzątający się po moim mieszkaniu. A poza tym, przecież ty masz pracę. Chyba że FBI to tylko podpucha?

- Żadna podpucha. - Nagle jego twarz zmieniła wyraz i Cynthia znowu dojrzała w nim mężczyznę, który wtargnął do jej sypialni z bronią i śmiertelnie ją wystraszył. Jake odstawił lody i pochylił się do przodu, ściskając kolanami lekko swe dłonie. - W porządku. Nie chodzi mi tylko o dobrosąsiedzkie stosunki.

Z jakiegoś powodu poczuła mrowienie w kręgosłupie.

- Potrzebuję twojej pomocy, Cynthia. Rząd potrzebuje twojej pomocy.

- Co? - Otworzyła szeroko oczy, a jej serce zaczęło walić jak młotem. Kontrola z Urzędu Skarbowego nie zrobiłaby na niej większego wrażenia. - Chodzi o podatki?

- Mogłabyś pomóc FBI w operacji przeciwko przemytnikom narkotyków.

- Narkotyków? - Jej głos stał się donośniejszy. - W tej okolicy? Jedyne podejrzane medykamenty, jakie tu możesz znaleźć, to leki na nadciśnienie i na kłopoty z pęcherzem. Strasznie groźne. Ha, ha.

Co za pacan! Straszyl ją bez powodu.

- Nie mówię o tej okolicy. - Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Jake sprawdził już Cynthię Baxter. Może i jest seksualnie wyemancypowana, ale nigdy nie była karana. Jest dyplomowanym księgowym i rzeczywiście pracowała dla tego samego pracodawcy przez całe swoje zawodowe życie. Nadawała się idealnie. Teraz musiał ją tylko przekonać, by porzuciła firmę, dla której od dziewięciu lat

pracowała, zatrudniła się w innej i szpiegowała dla niego. Musiał wymyślić, co by ją do tego mogło skłonić. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Cynthia obserwowała go, a jej włosy lśniły jak pokryte miedzią.

Każdy miał jakiś słaby punkt. Pieniądze? Niebezpieczeństwo? Mocne wrażenia? Patriotyzm? Jaki był słaby punkt Cynthii Baxter?

Jej ogromne zielone oczy w blasku lampy robiły wrażenie jeszcze większych, i nie było w nich żadnego wyrachowania. Jakże silny potrafi być pociąg seksualny, skoro kobieta o tak niewinnym spojrzeniu daje się przykuć kajdankami do łóżka. Wróciło wspomnienie ich pierwszego spotkania, gdy zobaczył ją naga, bezbronna, leżącą tam jak otwarte zaproszenie na bankiet.

Tylko że on nigdy w takich bankietach nie uczestniczył. Nie, od czasu, gdy przyłapał swą fantastycznie zmysłową dziewczynę na zabawie z dwoma mężczyznami i inną kobietą. Teraz była dla niego już tylko byłą dziewczyną.

Cynthia przypomniała mu o niej. Ale to nie kajdanki działały na niego odstręczająco, lecz tłumy pod jej sypialnią. Był już drugim mężczyzną, który tu tego wieczora zachodził. Kto wie, ilu jeszcze miało taki zamiar? Nie przestawał spacerować po pokoju.

- Widziałem twojego przyjaciela, jak stąd wychodził. Cynthia zacisnęła usta.
- To nie jest mój przyjaciel.
- Dlaczego mnie to nie dziwi?

Przeżuj ich dokładnie, a potem wypluj jak skórkę winogrona. Pewnie pochłaniała ich całymi kłębami.

Westchnęła.

- Chyba Walter nie jest zamieszany w narkotyki?

- Odpowiedziała sobie na to pytanie, zanim jeszcze Jake zdążył zaprzeczyć. - Nie, nie Walter.

Musiał przestać myśleć o tym, jak bardzo go intrygowała. W jednej chwili pełna seksu jak z rozkładówki, a zaraz potem niewinna jak jedna z tych przeklętych figurek. Nie miało znaczenia, co robiła w zaciszu swojej sypialni, dopóki nie robiła tego z nim.

Jak ją podejść? Pieniądzy nie potrzebowała. Odrobił swoją pracę domową i wiedział, że oprócz tego domu odziedziczyła po rodzicach sporo grosza. Nie miała rodzeństwa, z którym musiałyby się dzielić. Poza tym sama zbierała pokaźną sumkę.

Rozglądał się po pokoju, który po spakowaniu części wystroju przypominał na wpół rozebraną kobietę. Na razie nie ruszyła jeszcze półki z książkami. Stała tam pełna kolekcja oprawnych w skórę woluminów, obejmująca nie tylko literaturę klasyczną, nabywaną pewnie za pośrednictwem jakiegoś klubu, ale i poezję, powieści współczesne, trochę wydań broszurowych oraz szereg błyszczących książek w twardych okładkach, niewiele starszych od jej najnowszej fryzury.

Podszedł bliżej i przechylił głowę. „Ja, ja i tylko ja” oraz „Jak polubić samotność” stały obok „Czas na zmianę!” i „Wprowadź zmiany, których potrzebujesz”. Bingo!

Odmiana. Ta kobieta chciała odmiany. Nie mógł zrozumieć, dlaczego przepracowała w jednej firmie aż dziewięć lat, skoro zmieniała kolor włosów i mężczyzn częściej niż on zmieniał nożyki do golenia.

Chciała odmiany, a on był człowiekiem, który taką odmianę oferował.

- Chcę ci zaproponować pracę.
- FBI potrzebuje księgowego?

40 *Nancy Warren*

Oblizła resztkę lodów z ust przesuwając wolno różowym językiem po nabłyszczonych czerwoną pomadką wargach.

Jake poczuł, że zaschło mu w gardle.

- To praca w konspiracji. Trzeba trzymać buzię na kłódkę.

Scenarzysta przygód Jamesa Bonda pewnie wyraziłby się inaczej, ale to wystarczyło, by wywołać w oczach Cynthii błysk podniecenia i zerwać ją na równe nogi.

- W konspiracji?

Teraz na pewno trafił w czuły punkt. Pokiwał głową z poważną miną, rozejrzał się wokół, jakby jej dom był na podsłuchu, i ściszył głos.

- To zadanie ściśle tajne. Trzeba będzie zdobyć pewne informacje.

Cynthia patrzyła na niego, jakby to on był agentem 007.

- Jakie informacje?

- Obserwujemy pewną firmę importowo-eksportową. Uważamy, że jest ona częścią organizacji trudniącej się przemytem narkotyków, ale nie udało nam się dotąd zainstalować tam swojego człowieka. Ostatnio odszedł z tej firmy jeden z księgowych. Czmychnął do Hongkongu, zanim zdążyliśmy go zwinąć. - Jake znowu poczuł niesmak, że Harrison im się wymknął. - Wiemy zatem, że w księgowości mają wakat.

Blask w jej oczach nieco przygasł.

- Proszę mnie o to, żebym była księgową? To mi wcale nie brzmi ekscytująco.

- Dziewięćdziesiąt procent pracy w konspiracji jest nudne - stwierdził sucho. - Będziesz miała oczy i uszy szeroko otwarte. Będziesz w środku wydarzeń.

Nie miał zupełnie szczęścia w infiltracji części spedy-

cyjnej firmy, gdzie działa się najwięcej. Z pewnością nie spodziewali się kogoś tak blisko zarządu. Sprawdzając Cynthię Baxter, nie mogą przecież niczego odkryć. Była tylko doświadczoną księgową bez powiązań z aparatem policyjnym. Na pozór wiodła samotne, wygodne, spokojne życie. Żadnych kontaktów ze światem przestępczym, którymi mogłaby zwracać na siebie uwagę. I tylko jej sypialnia była przybytkiem rozkoszy, do którego drzwi się nigdy nie zamykały. Przy odrobinie szczęścia weźmie Neville Percivalda na spytki i wyciągnie z niego co trzeba. Była idealna.

Jej praca będzie nudna jak flaki z olejem. Ale przecież, pomyślał Jake dla spokoju sumienia, jej praca w cementowni nie była ani na jotę ciekawsza.

- Kiedy operacja nabierze tempa, ty już tam będziesz, dokładnie w sercu wydarzeń.

Kłamał jak z nut. Na długo zanim przystąpią do akcji, wyciągnie ją stamtąd. W domu będzie bezpieczniejsza, ryzykując co najwyżej poparzenie w kuchni przy kotletach. Oni tymczasem zrobią nalot na Oceanic.

- Czy to będzie niebezpieczne?

Przeczucie go nie myliło. Połknęła przynętę, haczyk i żyłkę aż do spławika. Jej oczy błyszczały wyczekująco. Ta praca będzie prawie równie emocjonująca, jak stróżowanie w domu spokojnej starości.

- Bardzo niebezpieczne - odrzekł z przekonaniem.

Jej oddech przyspieszył, przypominając oddech kobiety podnieconej seksualnie. Jego ciało odpowiedziało od razu, chociaż udało mu się zachować zimną krew. Ani myślał wdawać się w przygody z nimfomankami z sąsiedztwa.

- Co mam robić?

- Bądź sobą.

Rozdział trzeci

Jake nie mógł wiedzieć, jak bezużyteczna była jego rada. „Być sobą” oznaczało dla Cynthii pozostanie niepozorną kobietą o włosach bez połysku. Kobieta bez życia prywatnego, od dziewięciu lat podliczającą słupki.

Kobieta idąca do Oceanic Import-Export była sztucznym tworem Michaela z salonu fryzjerskiego, sprzedawczyni w sklepie z ekskluzywną odzieżą i okulisty, który zaopatrzył ją w szkła kontaktowe.

Cynthia miała na sobie najbardziej konserwatywną ze swych nowych kreacji: dopasowany krótki czarny żakiet z wełny, spódnicę do kolan i parę czarnych butów ze skóry. Choć nikt oprócz niej o tym nie wiedział, buty były wyłożone imitacją lamparciej skóry, co dodawało jej pewności siebie.

Powtarzała w myślach kwestie, jakie przygotowała sobie na tę rozmowę.

Jake śmiał się z niej, kiedy je na nim ćwiczyła.

- Nie musisz udawać, że jesteś kimś innym. Mów po prostu prawdę.

Ha, ha!

Dobiegł ją przeciągły, pełen zachwytu gwizd, a kiedy się rozejrzała, okazało się, że jest jedyną kobietą w pobliżu mijanego właśnie placu budowy.

- Niezła z ciebie ślicznotka! - zawołał tęgi mężczyzna w drelichu i kasku.

- Dzięki - odpowiedziała uprzejmie, uśmiechając się do niego z niekłamana wdzięcznością.

Poczuła mrowienie w żołądku. Dlaczegoż nie miałyby dostać tej pracy czy jakiegokolwiek innej? Była przecież nową, zmodyfikowaną i ulepszoną Cynthia, to znaczy Cyn Baxter, etatową księgową i półetatowym szpiegiem.

Musiała tylko załatwić sobie pracę, którą potrafiła przecież wykonywać z zamkniętymi oczami.

Mekka przestępczości miała podwójne oszklone drzwi i przestronne foyer w marmurze i granicie. Kiedy przeszła imponującym wejściem głównym, recepcjonistka, wyjęta wprost z rozkładówki „Raunch”, zaprowadziła ją wyłożonym dywanem korytarzem do sali konferencyjnej.

Cynthia rozglądała się na prawo i lewo, lecz zamiast ogorzałych, pokiereszowanych twarzy, arsenałów broni i pospiesznie chowanych woreczków z białym proszkiem widziała takich samych ludzi jak w dziale księgowym cementowni. Siedzieli przy komputerach, rozmawiali przez telefon, robili notatki. Naprawdę nic podejrzanego. Niezmiernie rozczarowana, weszła do sali konferencyjnej.

Siedziało w niej trzech mężczyzn. Ten w środku uśmiechnął się zachęcająco i wstał, by podać jej rękę. Był zaraz po czterdziestce i przypominał jej znanego prezentera kanadyjskiej telewizji. Łysiejący, niebieskooki, o szczerym spojrzeniu kogoś, kto zająłby się każdym rannym z wypadku kolejowego, o którym właśnie donosił

na antenie. Uścisk jego dłoni był silny i neutralny. Żadnego drżenia. Żadnego niepokojącego cienia w jasnym spojrzeniu.

- Nazywam się Neville Percivald - oświadczył. Mówił z lekkim brytyjskim akcentem, zaokrąglając usta przy artykulacji samogłosek, jak gdyby przez pewien czas mieszkał po tamtej stronie Atlantyku. - A to moi współpracownicy: Doug Ormond i Lester Dart.

Ci dwaj byli zdecydowanie zbyt umięśnieni jak na biurowych gryzpiórków. Doug Ormond miał owłosione ręce. Gdy ścisnął jej dłoń, skinął głową i wymruczał parę słów powitania. Lester Dart zasługiwał na więzienie już za swoją wodę kolońską.

Uśmiechnęła się uprzejmie i usiadła na wskazanym krześle.

Zadali wiele szczegółowych pytań dotyczących dotychczasowej drogi zawodowej Cynthii. Większość z nich miała charakter rutynowy, ale co pewien czas chcieli się dowiedzieć czegoś nietypowego. Wypytywali nawet o konkretnych ludzi, którzy nigdy nie pracowali dla Goring Cement.

Ona jednak zachowała spokój, myśląc sobie w duchu, że nie mieli wystarczająco dużo oleju w głowie, by należycie prowadzić organizację przestępczą. Zastanawiała się, jak sobie radzili z oficjalną firmą, ale w sumie nie miało to znaczenia. Kiedy tylko zakończy swoje szpiegowanie, szybko się stąd wyniesie. Najważniejsze, że to jakaś odmiana w jej szarej karierze i szarym życiu.

Po załatwieniu całej sprawy zrobi sobie wakacje. Kupi bilet w pierwsze miejsce, na jakie przyjdzie jej ochota, i tam właśnie pojedzie.

- Dziękuję pani, panno Baxter. Będziemy w kontakcie

- powiedział telewizyjny prezenter. Jego oczy nadawały wiadomość, że niezależnie od ostatecznej decyzji, gdyby to tylko od niego zależało, wybrałby właśnie ją.

- Poradzę sobie. Przecież Dzielna Cyn to właśnie ja.

Ścisnęła stanowczo kij zakończony wałkiem. Nie potrafiła jednak nanieść choćby małej ilości farby na ścianę. Tymczasem wyglądało to dość ponuro. Pokój był jedną wielką purpurową plamą. Szacowne białe ściany wyglądały tak jakoś...

- Jesteście nijakie! - mruknęła Cynthia.

Rzut oka na zdjęcie z żurnala, który powiesiła na ścianie, dodało jej odwagi. To był kolor bordo, a nie purpurowy. Purpurowy był już na suficie. Kiedy spojrzała do góry, poczuła się tak, jakby stała we wnętrzu gigantycznego winogrona.

Jęknęła zniechęcona, kiedy pierwsza porcja farby trafiła na ścianę. Wyglądało to, jakby w blade ciało zanurzyło się ostrze noża, i ciało zaczęło krwawić.

- Zawsze można to pomalować jeszcze raz - mówiła sobie, zaciskając zęby i próbując malować dalej.

- Chcesz to pomalować na buraczkowo? - odezwał się tubalny męski głos.

- No, nie!

Dłonie, w których straciła już czucie, wypuściły wałek, który śmignął koło niego jak pocisk. Jake Wheeler pochwyił go tak sprawnie, że tylko kilka ciemnych kropel spadło na folię pokrywającą podłogę.

- Nie na buraczkowo, tylko na bordowo. Jak tu wszedłeś?

- Drzwi były otwarte.

- Mogłeś chyba zapukać?

Spojrzała na Jake'a i aż zaniemówiła z wrażenia. Zdaje się, że wyszedł pobiegać. Jego spocony podkoszulek przywarł do torsu i brzucha, odwzorowując fascynujące wzgórki i zagłębienia. Obszerne szorty odkrywały muskularne uda, kształtne kolana i - uśmiechnęła się do siebie - tyłek, na widok którego musiała włożyć dłonie do kieszeni, by nie ulec pokusie dotknięcia go, kiedy się odwrócił i pochylił do przodu, rozprowadzając wałkiem farbę po ścianie.

- Nie chcę, żebyś wszystko rzuciła i biegła otwierać mi drzwi.

- Jakie to miłe. - Miała na końcu języka parę ciętych uwag, ale w porę dostrzegła sprawność, z jaką błyskawicznie pomalował pół ściany. Zachowała więc sarkazm na inną okazję, rozprostowała zdrętwiałe ramiona i pozwoliła mu działać. - Nie sądzisz, że tu jest za ciemno?

- Za ciemno na co?

Przesadnie głośno wypuściła powietrze z płuc.

- Chodzi mi o kolor farby. Nie uważasz, że jest zbyt ciemny? - Zerwała ze ściany zdjęcie z czasopisma i podsunęła mu pod nos. - Miało być tak jak tu.

Przez dobrą minutę przypatrywał się zdjęciu, bordowym ścianom, bakłażanowemu sufitowi i złotym sztukateriom.

- Skrzyżowanie staroangielskiego pubu z bliskowschodnim haremem?

- Och, nieważne. Napijesz się oranżady?

- Jasne.

Kiedy w kuchni wrzucała lód do smukłych szklanek, krzyknął:

- Wiesz, sufit nie pasuje do ścian.

Westchnęła cicho i wzniosła oczy ku niebu.

- Miało być stylowo.

- Może i tak. - Nawet nie widząc go, była pewna, że on też wzniosł oczy ku niebu.

- Właśnie dostałeś fuchę - powiedziała, wnosząc napoje.

- A co będę z tego miał?

Odłożył wałek z powrotem do kuwety i wziął oszronioną szklankę. Przechylił ją, a ona z rozkoszą obserwowała pracę mięśni jego krtani podczas przełykania.

- In-for-ma-cje. - Postarała się o to, by każda sylaba emanowała pewnością siebie.

- Dostałaś tę posadę?

Uśmiechnęła się do niego szeroko z nieukrywaną satysfakcją.

- Parę godzin temu.

Dwoma susami przebył odległość, jaka ich dzieliła. Pocałował ją tak błyskawicznie, że zdążyła tylko westchnąć. Zadrzała strwożona, ledwie zdając sobie sprawę z chłodu męskich, pachnących oranżadą warg, chłodu przenikającego jej gorące, wilgotne wargi.

Chwyciła się jego ramion, chcąc ustać na nogach albo też próbując go odepchnąć - nie była pewna. Pod palcami wyczuła prężące się, rozpalone ciało, ciągle wilgotne po biegu. Pachniał taką... fizycznością. Pachniał potem i mydłem, farbą i oranżadą. Seksem...

Uniósł ją i obrócił w powietrzu, aż zakreśliło się jej w głowie.

- Dostaliśmy się do środka!

Postawił ją na ziemi i zrobił olbrzymi krok w tył. Gdyby go już trochę nie znała, gotowa była pomyśleć, że wprawiła go w zakłopotanie. Gdybyż tak było!

On w każdym razie nie wprawił w zakłopotanie, lecz

w podniecenie. Czasem potrafił i napędzić strachu, ale od kiedy się pojawił, jej nudne życie zmieniło się nie do poznania.

Tylko w ubiegłym tygodniu zrewolucjonizowała swój wygląd, przykuła uwagę całej brygady budowlanej, a dopiero co poznany mężczyzna po prostu ją pocałował. Nie tylko zmieniła swój wizerunek, ale także zaczęła zmieniać swój dom i przechodziła do innej firmy, wnikając w świat czarnych charakterów, szpiegów i niebezpieczeństw.

Na myśl o niebezpieczeństwach przeszył ją dreszcz emocji.

- Czy będę potrzebowała broni?

Jake zatrzymał wałek w środku kolejnego fragmentu ściany i rzucił jej przez ramię spojrzenie pełne zdziwienia i niepokoju.

- Po prostu uderz mnie w twarz. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- Mam na myśli akcję w firmie.

Obiecywał, że jej więcej nie pocałuje. Po jednym małym buziaku. Jej pewność siebie zaczęła gwałtownie słabnąć. Wyglądało na to, że jednak nie zmieniła się wystarczająco mocno.

Ten mały buziak był najbardziej podniecającym przeżyciem, jakiego dotąd doświadczyła, a on obiecywał nie robić tego więcej. Wcale nie chciała, żeby dotrzymywał tej obietnicy. Bardzo, bardzo chciała, żeby pocałował ją jeszcze raz.

I jeszcze raz.

- Czy kiedykolwiek posługiwałaś się bronią?

- Wiatrówka na obozie harcerskim liczy się?

- Nie.

Przesuwał wałek płynnym ruchem dłoni. Farba sunęła

po ścianie jak wytworna satynowa pościel po białym materacu.

- W książkach i w filmach każdy, kto działa w konspiracji, ma broń - przekonywała Cynthia.

Wyobraziła sobie damski rewolwer, pasujący idealnie do torebki, najlepiej z perłową rękojeścią.

- Nie. Nie każdy. Gdyby znaleźli tę broń, byłoby już po tobie. - Spojrzał na nią przez ramię. - Nie rób takiej obrażonej miny. Masz coś znacznie skuteczniejszego od pistoletów.

- Co takiego? Mam zbyt delikatne paznokcie, nożyczkami biurowymi też nie potrafiłabym nikogo dźgnąć, a moja znajomość karate jest zerowa.

Umoczył znowu wałek w kuwecie z farbą i obrócił go, wymachując w jej kierunku.

- Twoim największym atutem jest inteligencja.

- Och, jakie to ekscytujące. Będziemy rozwiązywać krzyżówki?

- Miałem na myśli przenikliwość umysłu i zdolność szybkiego kojarzenia. - Rozbawienie powoli ustąpiło miejsca nie znoszącej żartów powadze. - A jeżeli to zawiedzie, zawsze możesz użyć swojej najpotężniejszej broni.

- To znaczy?

- Seksu.

Sposób, w jaki Jake wypowiedział to proste, czteroliterowe słowo, sprawił, że zabrzmiało ono niemal pieśczośliwie.

- Seksu?

Ależ tak, proszę!

Uwodzicielski bordowy kolor farby zdawał się podnosić temperaturę w pokoju. A może to jego spojrzenie budziło jej zmysły?

50 *Nancy Warren*

- Zawsze możesz uwieść tych niegrzecznych chłopców i wyciągnąć z nich, co trzeba.

- Uwodzić niegrzecznych chłopców? To takie rzeczy wypisują w podręcznikach dla agentów FBI?

Roześmiał się.

- Przypominam, że twój udział jest nieoficjalny. Zgłosiłaś się na ochotnika, by przekazywać wszystko, co wyda ci się interesujące, a będzie miało miejsce podczas normalnego dnia pracy. - Spoważniał. - Chociaż nie aprobuję twoich seksualnych przygód, jest dość oczywiste, że lubisz takie rzeczy. Jeżeli po godzinach rozpalisz podejrzanego na tyle, że zdradzi coś, co mogłoby pomóc w naszym dochodzeniu...

- Masz na myśli...

Skinał głową.

- To, co robisz po pracy, jest twoją prywatną sprawą. Tylko nie zapomnij o prezerwatywie.

Rozdział czwarty

Coś jest nie tak, pomyślał Jake. W chwili gdy użył słowa „prezerwatywa”, Cynthia zrobiła się czerwona jak burak. Kobieta z jej doświadczeniem powinna być przyzwyczajona do rozmów o profilaktyce, a już, do licha, tym bardziej do jej stosowania. Przyszło mu do głowy nieprzyjemne podejrzenie.

- Czy ty używasz prezerwatyw? Za każdym razem?

Potrafił zrozumieć rozpustną namiętność, ale jeżeli miała to robić bez ochrony... Poczul się tak, jakby właśnie użył przekleństwa w obecności swej wiekowej ciotki. Oblana rumieńcem twarz Cynthii wykrzywiła się, a usta uformowały w podkowę.

- Myślę, że to nie twój...

- Możesz być pewna, że to mój zakichany interes. Gdybyś przypadkiem była na coś chora...

Wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby się dławiła.

- Nie, oczywiście, że nie.

Jego oczy zwęziły się i skupiły na jej twarzy. Jeżeli była czysta jak łza, to dlaczego tak dziwnie patrzyła?

- Moim zdaniem powinnaś się przebadać, zanim to wszystko się zacznie.

Chyba wzięła się już w garść. Nadal była czerwona, ale linia jej ust złagodniała.

- Agencie Wheeler, jestem zupełnie zdrowa. Nigdy nie... poddawałam się... nie przeprowadzałam... Zawsze się zabezpieczałam.

Im bardziej plątał jej się język, tym mocniej dochodził do głosu instynkt Jake'a. Nie mógł zrozumieć, dlaczego robiła tyle rabanu o tak prostą rzecz. Obserwując ją, jak się odwraca i sprawdza, czy folia malarska zakrywa podłogę do samej ściany, zaczął się zastanawiać.

I wtedy przyszła mu do głowy druga niepokojąca rzecz.

Ona całowała jak dziewczyna.

Jasne, że była zaskoczona, kiedy ją chwycił i zmusił do pocałunku - jego samego to zaskoczyło. Ale cmoknął ją jedynie z radości i nie powinno to wywoływać u nikogo skoku ciśnienia.

Sposób, w jaki zareagowała - najpierw zeszywniała z szoku, a potem się rozpałała i roznamiętniła - spotęgował tylko jego obawy. Brał udział w niezliczonej ilości kursów i seminariów na temat zachowania innych ludzi - język ciała, mimika i temu podobne dyrdymały. Miał też całkiem niezłe wyczucie. W tej chwili wszystkie te nauki i instynkt mówiły mu, że odpowiedź Cyn na jego pocałunek nie pasowała zupełnie do tego, co o niej wiedział.

Poprawka. Tego, o czym myślał, że o niej wie.

Możliwe oczywiście, że ją zaskoczył i że gdyby widziała, jak się do niej zbliża, wyczyściłaby mu migdałki językiem. Ale instynkt, który już siedem razy uratował

mu życie, informował go, że ta kobieta nie była żadnym wampem.

A jeżeli to, co widziały jego oczy, było ułudą, i Cynthia nie była bardziej rozpustna od pani Lawrence z sąsiedztwa? Był tylko jeden sposób, by się przekonać, czy była równie niewinna jak jej oczy. Czy była taką perwersyjną, seksualną zabawką, jak mu się na początku zdawało.

Musiał ją jeszcze raz pocałować - ku chwale ojczyzny.

Nie chciał analizować faktu, że kiedy ocierała się o niego jak kocica, jego ciało wpadało w drżenie. Tak czy inaczej romans z nią nic dobrego by nie przyniósł. Podczas tego śledztwa nie mógł sobie pozwolić na błędy. Gdyby nie była jego ostatnią nadzieją na pomszczenie śmierci Hanka, nie werbowałaby jej - nieprzeszkolonej wolontariuszki, która wykonując codzienne obowiązki i słuchając biurowych plotek, mogła dostarczyć poszlak.

Wrócił do swojego wąłka, zdecydowany poddać Cynthię próbie. Dokładał wszelkich starań, by ocierać się o nią przy każdej okazji, i obserwował jej reakcje.

Była niespokojna jak rekrut na linii frontu. Dzięki różnym fortelom trzymał się blisko niej. Wysłał ją po drabinie z pędzlem w jednym ręku i farbą w drugim, żeby pomalowała ściany u samej góry tam, gdzie jego wąłek nie sięgał. Kiedy już ulokowała się wysoko na drabinie, on „przypadkowo” o tę drabinę zawadził, by móc ją chwycić wpół i zestawić na podłogę. Zatrzymał ją w objęciach dłużej niż to było konieczne, a sposób, w jaki jej ciało zeszywniało pod bluzką, świadczył, że wstrzymała oddech. Czy była to oznaka zdenerwowania czy zwykłe oczekiwanie na jego następny ruch?

Kiedy zeszła po farbę, przysunął się bliżej, przyciskając ją do drabiny. Była dostatecznie blisko, by mógł widzieć

delikatną mgławicę piegów na delikatnej, kremowej skórze. Gdy na jej włosy padały smugi światła, zaczynały błyszczeć i mienić się to miedzią, to purpurą, jak ściany - zwłaszcza w jednym, konkretnym miejscu. Uśmiechnął się, sięgając ręką po umorusany w farbie kosmyk włosów.

- Ty też należysz do wystroju tego wnętrza?

Jego głos brzmiał normalnie, ale oczy były czujne. Przypatrywał się coraz mocniej pulsującej żyłce na szyi. Obserwował zielone niczym polodowcowe jezioro oczy, które powoli rozszerzały się. Oblizała nerwowo wargi - a może to było subtelne zaproszenie?

- Przepraszam - przerwała idealną ciszę, a on odsunął się, pozwalając jej przejść. Nadal nie spuszczał z niej oka.

- O rany!

Przechyliła głowę, gdy jego słowa odbiły się głośnym echem od mokrych ścian.

- Słucham?

Ostrożnie odłożył wałek z powrotem. Musiał mieć pewność.

Stała tuż obok, gmerając przy nierozpakowanym pędzlu.

- Chodź tu.

Przez chwilę się wahała. Wyglądała tak bezbrinnie, że zapragnął, by zapomniała o tym, co właśnie powiedział. Potem jednak w jej oczach rozbłysła iskra determinacji, a podbródek powędrował ku górze. Postąpiła dwa kroki do przodu tak, że niemal się dotykali.

- Czego tym razem ode mnie chcesz, agencie Wheelerś - zamruczała.

Gdyby i to nie okazało się zaproszeniem, byłby zdziwiony. Chodziło nie tylko o słowa, ale też o ich prowokacyjny ton i żar w jej spojrzeniu. Do licha, jakże ciężko tę kobietę rozszyfrować!

Ponieważ jego umysł nie był w stanie dokonać właściwej analizy, przeszedł do bardziej bezpośrednich metod.

- Tego - powiedział miękko, nachylił się i pocałował ją w usta.

Tym razem nie mogła drżeć z zaskoczenia. A jednak drżała. Drżały jej usta, które otwierała ostrożnie coraz szerzej. Drżała na całym ciele, gdy pochwycił ją w ramiona i przycisnął mocno do siebie. Nawet jej oddech był urywany, gdy westchnęła mu w usta.

Teraz był już pewien, że nie należała do kobiet, które się z tego utrzymują.

Był to ostatni przebłysk świadomości, zanim jego rozum uległ zmysłom. Nie był w stanie myśleć, mógł tylko czuć. Jakaż ona delikatna! Muskał jej jedwabiste usta, język. Czuł rozpalone, uległe ciało.

Pożądanie zawładnęło nim już niemal całkowicie, gdy zorientował się, że ona wcale nie chce tego samego. Podczas gdy on najchętniej zdarłby z nich obojga ubranie i ofiarował jej rozkosz, o jakiej nawet nie śniła, ona zachowywała się jak słodka szesnastolatka na pierwszej randce.

Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale wiedział, że żadne z nich nie udawało. Cynthia odpowiedziała na jego pocałunek z zaciśniętymi powiekami, rozkosznie rozchylonymi ustami, nie bardzo wiedząc, co dalej.

Do cholery! Dał się nabrać.

Odsunął się, a ona westchnęła rozmarzona. Jej naiwna reakcja na pojedynczy pocałunek sprawiłaby mu przyjemność, gdyby tak usilnie nie dążył do wyciągnięcia jednoznacznych wniosków. W porządku, biorąc pod uwagę okoliczności ich pierwszego spotkania, wniosek wydawał się oczywisty - ale on musiał jeszcze sprawdzić.

Teraz dopiero uzmysłowił sobie, że wszystko inne, co o niej wiedział, kłóciło się z wizerunkiem kobiety wyuzdanej. Zdjęcie w prawie jazdy, wystrój pokoju przed tym remontem, nawet dobór słów - wszystko to było ugrzecznione.

Na kryzys wieku średniego była trochę za młoda, ale wszystkie znaki na to właśnie wskazywały. A najgorsze było to, że przyjęła już pracę w Oceanic. Gdyby była twardsza, bardziej w tym środowisku obyta i seksualnie doświadczona, stanowiłaby dla niego nieocenioną pomoc. Jeżeli jednak była dziewicą orleańską, mogła im wszystkim napytać biedy.

Korciło go, żeby wyłączyć ten tykający mechanizm, póki czas. Gdyby była agentem specjalnym należącym do jego zespołu, zrobiłby to bez chwili wahania. Ale ona nie była agentem. Była wolontariuszką. Nie mógł jej nakazać wycofania się. Mógł ją do tego jedynie nakłonić.

Musiał cofnąć to, co jej naopowiadał o pełnym niebezpieczeństw zadaniu, i wyjawić prawdę.

- Wiesz - powiedział, odsuwając się od jej ponętnego, ciepłego ciała. - Chyba pomyliłem się co do Oceanic. Staraliśmy się wszelkimi sposobami znaleźć coś podejrzanego, ale nic nie mamy. Idziesz w ciemno.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego jak kret, który wypełzł na światło dzienne.

- W ciemno...?

Jej głos ciągle brzmiał melancholijnie, a usta były wilgotne od jego pocałunków.

- W Oceanic nic się chyba takiego nie dzieje. Pewnie czeka cię tam zwykła, nudna praca księgowej.

Zaśmiała się cicho, a jej senny, seksowny głos wywołał u niego kolejną falę pożądania, którą musiał zwalczyć.

- Przez dziewięć lat byłam księgową w cementowni. Nie ma drugiej równie nudnej pracy.

- Myślałem, że chodzi ci o wrażenia?

- Bo tak jest. I uważam, że w Oceanic dzieje się coś podejrzanego.

Gdyby nie chodziło o poważną sprawę przemytu narkotyków, jej zaangażowanie byłoby mu miłe.

- Spędziłaś tam pięć minut.

- Znam się trochę na ludziach. Tych dwóch mężczyzn, którzy towarzyszyli prezesowi, wyglądało bardzo podejrzanie.

- Nie ma...

- A poza tym - przerwała mu - ja naprawdę potrzebowałam zmiany. Jeżeli okaże się, że i tam nie będzie żadnych wrażeń, znajdę coś bardziej interesującego. Ważne, że odmieniam swoje życie.

- A jeśli ci powiem, że zmieniłem zdanie? I że nie powinnaś tego robić?

Mierzyła go przez chwilę wzrokiem.

- Odpowiem, że już za późno.

Jake westchnął ciężko.

- Nie przychodź do mnie, jeżeli się okaże, że ta robota jest nudna jak flaki z olejem.

Przyglądała mu się badawczo z ledwie dostrzegalnym uśmiezkiem, zmieniającym figlarnie linię jej ust.

- Nie przejmuj się - powiedziała miękko. - Po wrażenia przyjdę do ciebie.

Kobiety rzadko odbierały mu mowę, ale ta kobieta to potrafiła. Zwodziła go i komplikowała jego rozumowanie, aż w końcu nie potrafił wymyślić nic mądrzejszego, jak uciec możliwie szybko, zanim dostarczy jej wrażeń, które w tej chwili żadnemu z nich nie były potrzebne.

- Pójdę już - mruknął i ruszył ciężko do drzwi.
- Nie daj na siebie długo czekać - krzyknęła za nim, i niech go kule biją, jeżeli nie wyczuł nutki sarkazmu.

- Pałeczki.

- Pałeczki?

Cynthia starała się, by w jej głosie nie dało się wyczuć rozczarowania. Neville Percivald osobiście oprowadzał ją po firmie. Schlebiało jej to, że poświęcał swój czas. Była zdecydowana wykorzystać każdą okazję, by wypełniać swą tajną misję i zbierać informacje, które mogły mieć dla FBI jakąś wartość.

- Wszystkie te skrzynie zawierają pałeczki?

Percivald zachichotał, nie otwierając ust, w ten okropnie wyszukany, brytyjski sposób.

- Nie we wszystkich. Nie. Ale importujemy pałeczki używane w wielu restauracjach na północnym wybrzeżu Pacyfiku.

Cynthia wpatrywała się w rzędy poustawianych na sobie skrzyń w doku przeładunkowym.

- Sporo ryżu można nimi zjeść - uśmiechnęła się do Neville'a Percivalda.

Była pewna, że nie wszystkie te skrzynie zawierają pałeczki. Mogły być wyładowane paczuszkami białego proszku. Wyobraziła sobie, jak zakrada się tu z łomem, podważa wieko skrzyni, rozcina jeden z woreczków i próbuje białego proszku. Jej wizja nagle znikła. Jak właściwie smakują narkotyki? Czy mogłaby się zatruć, gdyby ich spróbowała? I kto wie, jakie zarazki się w nich kryły - bardzo wątpliwe, by przy pakowaniu był obecny inspektor sanitarny.

- Coś nie tak, panno Baxter?

- Nie, nie - zapewniła, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Po prostu nie jestem zbyt podekscytowana perspektywą liczenia tych wszystkich pałeczek. - I kontrolowania paczek, poszukiwania podwójnego dna w skrzyniach, a co pewien czas włamywania się do skrzyń dla sprawdzenia, czy nie są puste.

Znowu zachichotał.

- Proszę się nie bać, panno Baxter. Na pewno nie ubrudzi sobie pani rąk. Pani zadanie polega tylko na tym, by to, co jest w dokumentach danej partii towaru, odpowiednio zaksięgować.

Widział w niej tylko ograniczonego buchaltera, co było jej na rękę. Wśród kolegów po fachu było wielu takich, którzy podczas liczenia czasem mylili się - zawsze na swoją korzyść. Jeżeli Neville Percivald i jego ludzie uważali, że mogła należeć do tego typu księgowych, tym lepiej.

Im bardziej bossowie Oceanic ją lekceważyli, tym więcej mogło im się wymknąć, a ona zamierzała podnosić każdy okrucieństwo informacji, jaki spadnie z ich stołu. Księgowanie na pewno nie należy do najbardziej ekscytujących zajęć, ale miało swoje plusy. Powtarzała sobie, że to właśnie księgowi wsadzili Al Capone'a za kratki.

Jeżeli tylko Oceanic ma jakieś mroczne tajemnice w wydziale finansowym, ona je znajdzie. Może i późno rozpoczynała karierę pociągającej kobiety i błyskotliwego szpiega, ale była zdecydowana nadrobić stracony czas w obu tych dziedzinach.

Podczas gdy Cynthia była zajęta spiskowaniem przeciw Neville'owi Percivaldowi, on wodził za nią wzrokiem. Robił to w sposób, który w dobie powszechnych pozwów o molestowanie seksualne wydawał jej się wyjątkowo głupi. Jeżeli wydawało mu się, że jego nowa panna

Liczykrupa ma mózg wielkości orzecha laskowego, a do tego swobodnie się prowadzi, to nie będzie miała problemu z owinięciem go sobie wokół palca.

Posłała mu zniewalające spojrzenie. W każdym razie miała nadzieję, że było zniewalające. Jakiś jej sygnał musiał odebrać, skoro jego pierś wyprężyła się pod granatową dwurzędową marynarką i odpowiedział z całą pewnością nieoficjalnym uśmiechem.

Przez resztę obchodu szedł trochę bliżej Cynthii niż to było konieczne, a ona upajała się sukcesem. Nikt nigdy nie patrzył na nią jakoś szczególnie namiętnie. Tymczasem teraz robiło to aż dwóch mężczyzn naraz. Chociaż Neville Percivald był zbyt dystygowany, by okazywać przesadną namiętność, jego spojrzenie zdradzało emocje. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, że ma na nią chętkę potencjalny przemytnik narkotyków.

Za to Jake był mężczyzną pełnym namiętności. I nie chodziło tylko o spojrzenie. Jego pocałunek... do licha, robiło się jej gorąco już na samo wspomnienie. Z jakiegoś powodu zamiast przekonywać ją do tej pracy, próbował odstręczać.

Nie miał jednak szans. Zwerbował ją w chwili, gdy desperacko potrzebowała odmienić swoje życie. Nie było takiego argumentu, który mógłby ją teraz przekonać do rezygnacji z najbardziej ekscytującej rzeczy, jaką w życiu robiła - zanim jeszcze zaczęła ją robić. Chciała więc zdobyć jakąś cenną informację już pierwszego dnia, tylko po to, by musiał odwołać swoje słowa.

Poznała już większość personelu Oceanic i obeszała cały budynek. Wszystko wyglądało prawidłowo i niewinnie. Starła się nie tracić animuszu, wiedząc, że najlepiej spożytkuje swe wywiadowcze zdolności w księgowości.

Był to bardzo mały dział: ona i Agnes Beecham, specjalistka od rachunkowości.

Agnes przerażała Cynthię. Była w nieokreślonym wieku, gdzieś między pięćdziesiątką a emeryturą. Bezbarwna, poczynając od wypłowiejących, szarych włosów, spiętych starannie w kok na czubku głowy, poprzez pożółkłą twarz i zmęczone oczy, a na pończochach i czółenkach kończąc.

Cynthii wydała się postacią przeniesioną wprost z powieści Dickensa. Jej własny, osobisty Duch Przyszłości. Ta kobieta to ona sama w przyszłości - gdyby podążała tą samą drogą co dotychczas. Była tego pewna.

Cichym, monotonnym głosem Agnes wyjaśniła Cynthii programy, z jakich korzystali, i pokazała niezbędne dokumenty.

- Teraz oczywiście wszystko jest skomputeryzowane. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Od dawna tutaj pracujesz?

Agnes westchnęła smutno.

- Trzydzieści lat.

Zdjęta nagłym przerażeniem, Cynthia pomyślała o tych dziewięciu latach, z których szybko zrobiłoby się trzydzieści.

- Jesteś tu od trzydziestu lat?

- Tak - odparła Agnes. - W marcu minie trzydzieści jeden.

- Ale pan Percivald jest przecież zbyt młody, by zarządzać tą firmą tyle czasu?

Nawet śmiech tej kobiety był bezbarwny. I smętny.

- Zaczęłam pracować dla jego ojczyma, George'a Percivalda. To on założył firmę importującą chińską porcelanę z Anglii. - Westchnęła cicho. - Bardzo wytworny mężczyzna.

A teraz jego następca porzucił dzbanki do herbaty dla pałeczek. Cyn poczuła lekkie mrowienie w żołądku. To jasne, że ze Stoke on Trent nie przywożono narkotyków. Percivald Junior zmienił jednak kierunek importu na Amerykę Południową z oczywistego względu. Czy Jake o tym wiedział?

- Tu jest twoje biuro. - Agnes zaprowadziła ją do małego kantorku, spartańskiego, ale w pełni wyposażonego. - Na pewno będziesz chciała trochę zmienić wystrój.

- Wątpię. - O mało nie odpowiedziała, że wątpi, by została tu zbyt długo. Będzie musiała się pilnować, jeśli nie chce się zdemaskować już pierwszego dnia. - Wątpię, czy zmiana wystroju jest w tej chwili najlepszym pomysłem. Będę zbyt zajęta opanowaniem wszystkich twoich programów.

Rozejrzała się wokół: gładkie, beżowe ściany, wielki plakat z wyścigami samochodowymi, kalendarz od pośrednika w handlu nieruchomościami i kiepskiej jakości reprodukcja obrazu z dzikimi kaczkami na jeziorze. Za to biurko było obszerne, krzesło z ergonomicznym oparciem, a wyposażenie komputerowe najnowszej generacji.

- Zostawiam cię, żebyś się trochę zagospodarowała. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć - powiedziała Agnes stojąca w drzwiach.

- Dzięki. - Cynthia posłała jej promienny uśmiech. - Jeszcze pożałujesz, że się zaofiarowałaś. - Zastanawiała się, czego jeszcze mogłaby się od Agnes dowiedzieć, a co byłoby przydatne w śledztwie. Ta kobieta była tu od trzydziestu lat i musiała znać różne tajemnice. - Ponieważ będziemy pracować wspólnie, może wybierzemy się któregoś dnia na lunch?

Jej propozycja została przyjęta z nieśmiałym, ale

pełnym wdzięczności uśmiechem. W tej chwili Cyn czuła się jak nędzny szpicel, chociaż zaproponowała ten lunch nie tylko po to, by wyciągnąć z Agnes co się da. Prawdę mówiąc, poczuła do niej natychmiastową sympatię.

Włączyła komputer i zaczęła przeglądać pliki tak ostrożnie, jak tylko potrafiła. Jake powiedział jej, że poprzedni księgowy ulotnił się z miasta, zanim FBI zdążyło go namierzyć. Nie mieli pojęcia, czy wiedział o Oceanic coś dla nich przydatnego, ani nawet, czy w ogóle był zamieszany w przemyt narkotyków lub pranie brudnych pieniędzy. Wyczuwała w głosie Jake'a frustrację i wiedziała, że gryzł się faktem ucieczki byłego księgowego Oceanic z kraju.

Cynthia wiedziała, że jeśli pranie brudnych pieniędzy rzeczywiście miało miejsce, bystry księgowy musi to odkryć. Może poprzednik zostawił jej jakieś wskazówki.

Jednak wszystkie ślady po Harrisonie zostały zatarte. Nie mogła zlokalizować ani jednego osobistego pliku, chociaż bez problemu znalazła standardowe programy, księgi firmy i pliki systemu wynagrodzeń, którym miała administrować. Najchętniej od razu zaczęłaby myszkować w księgach, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że gdyby nie były czyste, nie miałyby ich przed nosem.

Udając, że zapełnia puste biurko materiałami z szafy, ukradkiem wsuwała palce w każdą szparę. Na dnie drugiej z trzech szuflad jej wścibskie palce natrafiły na jakąś przeszkodę i serce zabiło żywiej. Szarpała to coś, aż złamała sobie paznokiec, tylko po to, by stwierdzić, że ukrytym skarbem jest spinacz biurowy, który wcisnął się w róg szuflady.

Wpatrywała się w powyginany metalowy spinacz, ssąc zraniony palec i zastanawiając się, ile jeszcze takich

przykrych niespodzianek kryje się przed nią w branży szpiegowskiej.

Furtka zaskrzypiała, gdy Cynthia weszła do ogródka przed domem pani Jorgensen - który oczywiście nie należał już do pani Jorgensen, lecz do agenta FBI, Jake'a Wheelera. Powietrze przepełniał wczesnojesienny chłód, zbierający żniwo wśród obfitości letnich kwiatów, które teraz smętnie obwisły. Miała nadzieję, że Jake był lepszym agentem niż ogrodnikiem. Pani Jorgensen rwałaby sobie włosy z głowy, gdyby wiedziała, w jakim stanie są jej róże.

Chciała zdać Jake'owi raport z pierwszego dnia pracy w Oceanic. Mogła go już poinformować o osobach, jakie spotkała, braku dowodów w komputerze i biurku Harrisona, no, i swoich podejrzaniach na temat dostaw „pałeczek” z Kolumbii. Wiedziała, że pałeczki nie należą do najważniejszych towarów eksportowych Kolumbii, jak choćby kawa czy banany. Chciałaby mieć bardziej konkretne dowody na poparcie swej teorii, ale nawet Jake Wheeler nie mógł oczekiwać, że rozwikła tę sprawę w jeden dzień.

Zwolniła kroku. Potem przystanąła, by zerwać kilka zwiedłych chryzantem, zastanawiając się przy tym, czy powinna iść dalej, czy może zawrócić do domu. Rozmyślając nad tym, obrywała zeschłe pomarańczowe i fioletowe kwiatki, aż uzbierała się spora kupka do wyniesienia na kompost. Nie zdążyła się jednak zdecydować, czy podejść do drzwi. Zajęta wymyślaniami kolejnych argumentów, nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy czyjeś silne ramię objęło ją i pchnęło w kierunku domu. Od razu podjęła decyzję: nie chce tu zostać, chce *do* domu.

Próbowała się, co prawda, wrywać, ale Jake bezceremonialnie wepchnął ją do środka. Ani się obejrzała, a już była w holu.

- Co ty tu do diabła wyrabiasz?

Tubalny głos Jake'a odbił się echem w całym domu. Cynthia przełknęła ślinę.

- Ja tylko zatrzymałam się, żeby...

Jego spojrzenie spoczęło na suchych płatkach kwiatów, które trzymała w dłoni. Wpadła, żeby wyleć ogródek? Opanuj się! Przecież jesteś Cyn! Cyn nie przepraszałyby za to, że odwiedziła samotnego mężczyznę bez zaproszenia. Cyn sprawiłaby, że kuliłby się tu przed nią półnagi.

Wyprostowała ramiona i spojrzała mu w oczy z równą surowością. Jake był napięty jak struna. Chyba jednak nie wszyscy mężczyźni chcieli kulić się przed nią półnaczy. Na pewno nie on. A w każdym razie nie teraz.

Obrócił się powoli, odzyskując panowanie nad mięśniami twarzy, na której nadal jednak malował się gniew.

- Co ty tu robisz?

Tym razem ton jego głosu był łagodny, ale bardziej przerażający od krzyku.

Rozdział piąty

Jedynym pragnieniem Cynthii było wyjść stąd w jednym kawałku. Do cholery z rozbieraniem go!

- Przyszłam zdać raport. Ale chyba wybrałam niewłaściwą porę. - Jej rezon osłabł pod naporem jego spojrzenia. Przycisnęła zwiędłe kwiaty mocniej do piersi.
- Chyba już pójdę.

- Nie przychodź tutaj - powiedział tym samym łagodnym, przerażającym głosem.

Jej serce waliło jak młotem, gdy patrzył na nią tak bezlitośnie.

- Nigdy tu nie przychodź. Mogą cię obserwować.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. To rozkaz. Nie mogę uwierzyć, że byłaś na tyle głupia, by przechadzać się po moim ogródku.

- Nie możesz mi rozkazywać.

- Mogę. Mogę też wyciągnąć cię z Oceanic, zanim zdążysz zmienić kolor włosów.

Przerażał ją, ale zaczynała też nabierać przekonania, że

chyba mimo wszystko nie uważał jej działalności za stratę czasu.

- Jestem wolontariuszką i nie możesz mnie zwolnić.
- Mogę cię aresztować.

Szczęka jej opadła.

- Aresztować?

- Jeżeli nie będziesz współpracowała, ryzykujesz aresztowanie podczas akcji, którą planujemy od miesiący. Jeżeli będę zmuszony interweniować i ratować twój tyłek, to jak Boga kocham, aresztuję cię.

- Ale...

Uniósł palec i przystawił jej do piersi jak pistolet, którego tak się lękała.

- Nie przeginaj, Cyn.

Zakreśliło jej się lekko w głowie i osunęła się na najniższy stopień schodów.

- Ja tylko chciałam ci opowiedzieć o moim pierwszym dniu.

Jej głos brzmiał jak głos małego dziecka, co doprowadzało ją do pasji, niemniej z ulgą zauważyła, że jego twarz stopniowo łagodnieje.

- Wiem, że jesteś nowa w tej branży, ale to nie zabawa. Pracujesz w Oceanic jako księgowa. I tyle. Gdyby chodziło o mnie lub innego agenta, byłaby to zwykła przykrywka. Ale piękno tej sytuacji polega na tym, że ty naprawdę pracujesz w Oceanic jako księgowa. - Spojrzał na nią z góry. - Wiesz, do czego zmierzam?

Pokiwała smutno głową.

- Jeżeli będę potrzebował informacji, znajdę sposób, żeby się z tobą skontaktować. - Odetchnął głęboko, wyraźnie próbując się uspokoić. - Napijesz się piwa?

- Myślałam, że mnie wyrzucisz.

Na wypadek gdyby musiała się pośpiesznie ewakuować, nie ruszała się ze schodów, skąd miała dobry widok na drzwi wejściowe. Musiała przez chwilę ochłonać - w niecałe dwie minuty burza zmieniła się piękną pogodę.

Wzruszył ramionami.

- Skoro już tu jesteś, będziesz musiała poczekać do zapadnięcia zmroku. A na przyszłość, nie przechadzaj się przed moim domem, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota.

- Nie chcesz, żeby ci składać meldunki?

Spojrzał na nią ze spokojem.

- Mówiłem już, że znajdę sposób, żeby się z tobą skontaktować. Nie zbliżaj się do mnie, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Jasne?

Przytaknęła.

- Chętnie napiję się tego piwa.

Poszła za nim do kuchni, obserwując zmiany, jakich dokonał w tym domu. Zatrzymał sporo mebli, lecz mimo to dom wyglądał inaczej. Przede wszystkim nie był taki zagracony. Pani Jorgensen nigdy nie zapomniała o swoich duńsko-holenderskich korzeniach i z entuzjazmem zapełniała swój dom meblami z drzewa tekowego, a każdą wolną powierzchnię pokrywała krochmalonymi płóciennymi serwetami i holenderską kamionką.

Jake poszedł do lodówki, a Cynthia usiadła przy prostokątnym tekowym stoliku, który wyglądał jakoś dziwnie bez ręcznie wyszywanego niebiesko-białego obrusu oraz solniczki i pieprzniczki w kształcie małej Holenderki i małego Holendra, ustawionych na środku. Jego solniczka i pieprzniczka miały dziwny, obły kształt, jakby zaprojektowano je w NASA.

- Gotujesz - zauważyła ze zdziwieniem, widząc, że

patelnie wiszące na ścianie mają przypalone spody, lodówka jest dobrze zaopatrzona, a na półce stoi pokaźna kolekcja książek kucharskich.

Podał jej butelkę piwa i szklankę.

- Mężczyźni też gotują. - Uniósł brwi i uśmiechnął się jedną stroną twarzy.

- Chodziło mi o to...

- Jeżeli w dzisiejszych czasach mężczyzna zatrzyma wzrok na kobiecie naprawiającej silnik w samochodzie albo dach własnego domu, to jest szowinistą. Ale kobiety nadal uważają, że mężczyzna w kuchni wygląda...

- ...groteskowo? - podsunęła z wdziękiem.

Pogroził jej palcem.

- Właśnie o tym mówię, o tym waszym feministycznym kompleksie wyższości. Jest mnóstwo rzeczy do których wy, kobiety, potrzebujecie nas, mężczyzn, na przykład... - ich spojrzenia spotkały się - ...mówię o gotowaniu.

Jak on to robił? Potrafił napędzić jej niezłego stracha, a za chwilę posłać spojrzenie, od którego ugiwały się pod nią nogi. Ale ona nie da się na to złapać. Tak łatwo mu nie pójdzie.

- Przyznaję, że potrzebowałybyśmy paru galonów zamrożonej spermy i jakiegoś sposobu na zabijanie indyków, ale wtedy mężczyźni nie byłiby nam już zupełnie potrzebni.

Aż jęknęła, gdy okazało się, że wypowiedziała te słowa na głos. Zwykle podobne komentarze zatrzymywała dla siebie, ale od kiedy zmieniła wygląd, cała jej osobowość zdawała się przeobrażać w kierunku sztucznego futra i fryzury funky. Może farba do włosów przeniknęła jej do mózgu i zaatakowała neurony? Spodobało jej się, że ten cięty komentarz wykrzesał iskry w oczach Wheelera.

- Nie chcę umniejszać roli seksu, ale oprócz patroszenia indyka oferujemy wiele innych oczywistych korzyści - mruknął. - Przypomnę ci tylko, że jest jedna rzecz, której naukowcom nigdy nie uda się zastąpić.

- Męskie ego?

- Pocałunek.

Spuściła wzrok, zła, że to jedno słowo wywołało u niej taki skok ciśnienia. Wizje ich krótkich pocałunków zaczęły kłębić się w jej umyśle.

Przechylił butelkę i pociągnął łyk.

- Chcesz sprawdzić, jaki jestem utalentowany? - zapytał.

- Słucham?

Spojrzała mu w oczy. Czyżby czytał w jej myślach?

- W gotowaniu. Może przygotuję kolację, bo utknęłaś tu na parę ładnych godzin.

- Kolację? - Chodziło więc o talenty kulinarne. - Tak, dziękuję. Z przyjemnością zostanę.

Nastawił wodę. wyciągnął z zamrażarki warzywa i mały kawałek opakowanego w brązowy papier mięsa.

- Masz szczęście, spędziłem cały ranek w Pike Place Market. Lubisz eskalopki?

- Mhm. Kiedy je przyrządzam, zawsze wychodzą mi jakieś takie gumowe.

- Za długo gotujesz.

Spojrzała na niego rozbawiona i wstała.

- W czym mogę ci pomóc?

- Posiekaj kolendrę.

- Świeże zioła - powiedziała cicho.

- Mówiłem ci, że masz szczęście. Byłem dzisiaj na zakupach.

W fartuchu w paski mógł spokojnie uchodzić za

wyjatkowo seksownego szefa kuchni w stylowej restauracji.

- Gdzie się nauczyłeś gotować?

- Kiedy poszedłem do szkoły, mama wróciła do pełnoetatowej pracy. Mówiła nam, jak gotować, a my musieliśmy na zmianę przyrządzać jedzenie dla całej rodziny. Jestem jej za to bardzo wdzięczny.

Gawędzili sobie dalej. Cynthia kroić, siekała albo obierała zgodnie z instrukcjami to, co Jake przed nią położył.

- Czym zajmowała się twoja mama?

- Była prawnikiem. Teraz jest już właściwie na emeryturze.

- A ojciec?

- Też prawnik. W prywatnej kancelarii. Mama pracowała w Biurze Prokuratora Okręgowego. Rozmowy przy stole były... wyjątkowo interesujące.

- Wyobrażam sobie. - Cynthia uśmiechnęła się na myśl o dyskusjach przy posiłkach w domu Wheelerów. Mogła się założyć, że były o wiele bardziej stymulujące niż te w jej domu, gdzie zasada nierozmawiania gasiła każdą próbę nawiązania kontaktu. - A co z rodzeństwem? Powiedziałaś „my”.

- Jest nas czworo. Molly jest prawnikiem i specjalizuje się w ochronie środowiska, Clay jest prawnikiem procesowym, a Pete jeszcze się nie zdecydował. Na razie studiuje prawo.

Nóż Cynthii utknął w krojonej właśnie cytrynie.

- Cała twoja rodzina to prawnicy?

Uśmiechnął się znad skwierczącej patelni.

- Wszyscy oprócz mnie. Jestem czarną owcą.

- I nigdy nie chciałeś zostać prawnikiem?

Wrzucił cebulę i czosnek na patelnię i przystąpił do mieszania. Pachniało tak apetycznie, że aż jej ślinka leciała.

- Może przez pierwsze dwa lata studiów prawniczych. Ale to nie dla mnie. Nie cierpię tych ciągłych dyskusji. Lubię akcję.

Zabrzmiało to jak wyrzut sumienia.

- Czy twoi rodzice byli zawiedzeni?

- Pogodzili się z tym.

Jake uśmiechnął się pod nosem i otworzył butelkę białego sauvignon, które kupił dzisiaj pod wpływem impulsu. Cyn siedziała przy stole i wpatrywała się w parujący talerz. Czy aby na pewno jego rodzina pogodziła się z tą dezercją? Wszyscy bezwstydnie wypytywali go o procedurę dochodzeniową. Oczywiście i on równie bezwstydnie wyciągał od nich informacje z różnych dziedzin wiedzy prawniczej, zwłaszcza gdy działał na granicy prawa.

Korek wyskoczył z cichym westchnieniem. Nie bez powodu nie zapytał ani rodzeństwa, ani rodziców o opinię na temat swojej ostatniej sprawy. Gdyby się dowiedzieli, że działał sam, zaraz podnieśliby wrzawę. Wątpliwe, czy potrafiliby ich przekonać do swoich racji. Ale też nikt z nich nigdy nie spowodował śmierci przyjaciela.

- Wyśmienite - oceniła Cyn, oblizując się.

Popatrzył na nią przez stół. Zaraz, zaraz! Nie był zupełnie sam. Miał za pomocnika nieprzeszkolonego wolontariusza, lubieżną, ochoczą kocicę. No, dzięki niej jego rodzina na pewno spałaby spokojnie.

- Opowiedz mi o pierwszym dniu w Oceanic - odezwał się.

Chociaż bezmyślność, jaką okazała, paradyjąc przed jego domem, ciągle burzyła w nim krew, był ciekaw tego, co miała mu do powiedzenia. I tak chciał dowiedzieć się o jej pierwsze wrażenia, ale zamierzał zajrzeć do niej dopiero po zmierzchu.

Gdy to powiedział, jej oczy rozbłysły.

- Zgadnij, co przyszło w nowej dostawie, ubiegłej nocy?
- Nie mam bladego pojęcia.
- Pałeczki!

Udał zdumienie.

- Nie!
- Zgadnij, skąd?
- Z Chin?

Pochyliła się do przodu i szepnęła.

- Z Kolumbii.

Zachował kamienny wyraz twarzy, ale naprawdę go zaintrygowała. Gdyby to była kawa albo rybia mączka, byłby bardziej zadowolony - dla zmylenia psów szmuglerzy ukrywają zazwyczaj kokainę w towarach o silnym zapachu. Pałeczki to coś nowego.

- To ciekawe.
- Jak myślisz, co jest w tych skrzyniach?
- Moim zdaniem pałeczki.
- Nie sądzisz, że tam mogą być narkotyki?
- Wszystko, co wpływa do portu, jest sprawdzane.

Psy, wrywkowe kontrole celne... Nie pakuje się tak po prostu torebek z narkotykami do skrzynek i nie przywozi do USA. Zwłaszcza jeśli transport płynie z Kolumbii.

- Nie pomyślałam o tym.

Napełnił jej kieliszek winem.

Jedli przy stole kuchennym, ale i tak atmosfera była intymna. Jake pluł sobie w brodę za to, że otworzył tę

butelkę. Za bardzo przypominało mu to randkę, a powinno przypominać odprawę. Chciał, żeby Cyn się odprężyła, ale też nie chciał, aby któremuś z nich przyszło coś głupiego do głowy.

- Opowiedz mi o swoich współpracownikach.

Podawała nazwiska i rysopisy, aż Jake stwierdził, że musi mieć fotograficzną pamięć. Zasypywała go coraz większą ilością nazwisk i fragmentów biurowych rozmów, aż wreszcie stracił orientację i pozwolił jej mówić, po raz kolejny zastanawiając się, jak ją odwieść od całej tej szpiegowskiej maskarady.

Nie powiedziała mu niczego, o czym by wcześniej nie wiedział, oprócz tego, że Oceanic z jakiegoś niepojętego powodu importuje pałeczki z Kolumbii.

- Myślałem, że pałeczki robi się gdzieś tutaj, z nieprzydatnych kawałków rozłupanego drewna albo z czegoś w tym rodzaju - wtrącił, kiedy tylko zrobiła pauzę.

- Neville mówi, że to część nowego programu współpracy handlowej z Kolumbią, aby ograniczyć zależność tego kraju od eksportu narkotyków. Południowoamerykański klimat sprawia, że ich drzewa rosną znacznie szybciej od naszych. Czy wiesz, że kokaina jest najważniejszym towarem eksportowym Kolumbii? Eksportuje się jej prawie dwukrotnie więcej niż kawy, tylko że oficjalnie to kawa jest najważniejszym towarem.

- Tak, wiem o tym. - W zamyśleniu obracał kieliszek z winem. - I tego wszystkiego dowiedziałaś się od Percivalda?

- Tak.

Dlaczego ten goguś jej o tym opowiadał? Czy uczciwy biznesmen dyskutuje o takich sprawach? Czyżby był aż tak przebiegły? Jake spochmurniał.

- Powiedział ci coś jeszcze?
 - Dużo rzeczy. Osobiście oprowadził mnie po firmie.
 - Jake wyczuł w jej głosie lekką dumę.
 - Gratuluję. Dobierał się do ciebie?
- Poczerwieniała.
- Niezupełnie.

Ścisnęło go w żołądku. Była zbyt blisko Percivalda. Gdyby jej stosunki z tym zboczeńcem stały się zbyt intymne, mogłoby się to dla niej skończyć jakimiś obrażeniami albo urazem psychicznym.

- Jak to "niezupełnie"?
- No więc... wydaje mi się, że ze mną flirtował.

Jake rozluźnił napięte mięśnie brzucha. Jeżeli drobny flirt nad ekspresem do kawy wywoływał u niej takie podniecenie, to kiedy Percivald pójdzie na całość, będzie uciekała stamtąd w takim popłochu, że pogubi te swoje szpilki.

No, jasne! Nagle go olśniło. Strategia wywabienia jej z Oceanic był oczywista.

- Co sądzisz o tym, żeby dla zdobycia informacji trochę z Nevillem Percivaldem... no wiesz...?

Zmarszczyła brwi.

- Nie mówisz chyba o...
- Mówię o seksie.

W jednej chwili jej pąsowa twarz zrobiła się biała jak ściana.

- Nie sądzę. - Bezwiednie wodziła palcami po nóżce kieliszka. - Nie jest w moim typie.

Doskonale. Strategia Jake'a naprawdę działała. Będzie drażył dalej, przekonany o konieczności wyciągnięcia jej z Oceanic. Dlaczego był tak głupi, by mieszać niewinną kobietę do swych osobistych porachunków!

- To nie jest zabawa, to poważne dochodzenie. Albo w nim uczestniczysz, albo nie. Jeżeli tak, to z pełnym poświęceniem.

Czekał, aż chluśnie mu w twarz winem i wybiegnie. Przy odrobinie szczęścia będzie miał szansę wyjaśnić swoje zachowanie, kiedy to wszystko się skończy, może nawet nadal będą utrzymywać tak przyjemne stosunki. Teraz jednak musiał je postawić na szali i wywabić ją z Oceanic.

Jednak zamiast oblać go winem albo wpaść w szal, Cynthia podniosła się z uprzejmym wyrazem twarzy.

- Powinam była przynieść to powitalne ciasto, wtedy mielibyśmy deser.

- Zrozum, Cyn...

- Zrobiło się ciemno, agencie Wheeler. Mogę już iść?

Kiedy przemykali ścieżką na tyłach domu, niebo było pogrążone w mroku - nie tak jednak posępnym, jak jego nastrój.

Zanim wślizgnęła się do swego domu, chwyciła go za ramię.

- Nie jestem mięczakiem - szepnęła.

Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by ją jednak zmiękczyć. Jeżeli Neville Percivald jej nie powstrzyma, Jake sam to zrobi.

Tydzień później nadal próbował coś wymyślić, by skłonić ją do rezygnacji. Uparcie unikał kontaktów z nią przez cały ten tydzień, a mimo że miał bez przerwy włączony telefon komórkowy i wszędzie z nim chodził, nie dostał od Cynthii żadnej wiadomości.

Nie cierpiał upartych kobiet.

Gdyby nie dołączył do reszty towarzystwa sąsia-

dów-podglądaczy i nie zaczął obserwować każdego jej ruchu przy wykorzystaniu najmniej złożonych technologii, zamartwiłby się chyba na śmierć. Wyglądał więc przez okno, kiedy wychodziła do pracy, i nauczył się bezbłędnie rozpoznawać dźwięk silnika jej samochodu, by zająć miejsce na swoim posterunku, kiedy wracała. Przejeżdżała z wysoko uniesioną brodą, nawet nie patrząc w tę stronę.

Musiał coś zrobić. Odciągała go od jego zajęć. Był zmuszony tak umawiać spotkania i prowadzić dochodzenie, aby być w domu, kiedy wychodziła do pracy, i kiedy bezpiecznie wracała.

To jej wina. Po co udawała kogoś innego? Nigdy nie poprosiłby, żeby została jego nieformalnym szpiegiem, gdyby nie miał przekonania, że była twardą dziewczyną z ulicy i do tego wyuzdaną bardziej niż markiz de Sade.

Ależ z niego bałwan! A najgorsze było to, że myślał o niej po nocach - przypominając sobie ją nagą, jej smukłe ciało, bez chirurgicznych korekt, z delikatnymi kragłosciami we właściwych miejscach. I to uczucie, jakiego doznawał, gdy się obejmowali. Myślenie o niej irytowało go i drażniło, kiedy kręcił się koło okna jak jakaś cholerna niania, co chwila zerkając na zegarek i nasłuchując, czy nie zabuczał jej silnik. Szósta trzydzieści. Zawsze była w domu najpóźniej o szóstej.

Sprawdził baterię na swoim telefonie komórkowym i zaczął krążyć po pokoju. Krew się w nim zagotowała, kiedy wyobraził sobie Cynthię w niebezpieczeństwie.

- Nie! - powiedział głośno, odsuwając od siebie tę ponurą wizję.

Usłyszał samochód skręcający w Rodonda Drive, ale od razu się zorientował, że to nie Cyn. Uchylił zasłonę

i zobaczył żółtą taksówkę, która zatrzymała się przed domem pani Lawrence. Złapał klucze i portfel, zarzucił kurtkę i sprintem ruszył do drzwi wejściowych.

Jego starsza sąsiadka weszła właśnie na podjazd przed swym domem.

- Przyjemny wieczór - powiedział na powitanie.

Uśmiechnęła się.

- Tak. - Dobrze, że miała włączony aparat słuchowy.

- Pomagałem Cynthii w malowaniu.

- Tak, wiem - odparła pani Lawrence, bez zająknięcia przyznając się do tego, że jest wścibska.

- Powiedziałem, że pomogę jej dzisiaj, ale jeszcze nie wróciła.

- Dzisiaj mamy wtorek, prawda?

Pokiwał głową, a pani Lawrence uśmiechnęła się, jakby wygrała w toto-lotka.

- Jest na podwodnym aerobiku. Do wpół do ósmej będzie z powrotem.

Ulżyło mu, a dręczące go obawy przemieniły się w irytację. Ta kobieta zmarnowała już wystarczająco dużo jego czasu i energii. Jeszcze dzisiejszego wieczoru miał zamiar się upewnić, że odejdzie z Oceanic raz na zawsze.

- Dała mi klucz do swojego domu - oświadczył, wymachując przed starszą kobietą kluczem do własnego domu. - Więc chyba zacznę bez niej.

Pani Lawrence uśmiechnęła się promiennie.

- Dziewczyna ma naprawdę szczęście.

Poczuł się niezręcznie. Ta staruszka potrzebowała jego pomocy dużo bardziej niż młoda dziewczyna.

- Gdybym mógł pani w czymś pomóc, pani Lawrence, proszę dać mi znać.

- Dziękuję ci, mój drogi. Będę o tym pamiętała. Dobranoc.

- Dobranoc.

Poszedł spacerkiem do domu Cynthii na oczach całej sąsiedzkiej społeczności, wiedząc, że właśnie dostał od niej błogosławieństwo. Jeżeli czegokolwiek dowiedział się w ciągu tego tygodnia, to tyle, że nikt nie obserwował domu Cyn - oprócz niego i reszty mieszkańców osiedla.

Pięć minut później był już w środku. Miał dobre czterdzieści pięć minut do jej powrotu. Chciał się przygotować do rozmowy i spokojnie poczekać.

Zapalił lampę i, musiał przyznać, spodobał mu się kolor ścian - kolor ciemnych winogron, przypominający wytrawne chateauf du pape lub coś w tym rodzaju. Pokój stanowił intrygującą mieszankę starego i nowego stylu. Niektóre rzeczy pamiętał sprzed remontu - w większości niewiele warte sprzęty i bibeloty ze sklepu pamiątkarskiego - ale były i nowe nabytki, jak poduszki o ultranowoczesnym wyglądzie, abstrakcyjny obraz na ścianie i coś w rodzaju kamiennej figury na kominku. Może to miała być rzeźba. Wzruszył ramionami. Wyglądała jak kawał świeżo odłupanej skały.

Były też nowe pozycje w biblioteczce. Przewodnik „Wewnątrz FBI” i książka o praniu brudnych pieniędzy. Świetnie. Tylko tego brakowało, żeby zaczęła się uważać za eksperta po przeczytaniu rewelacji jakiegoś faceta, który nigdy nie pracował w FBI, i akademickiej rozprawki o praniu pieniędzy.

Westchnął gniewnie, rozsiadł się na kanapie i wziął jakieś czasopismo ze stosu na podłodze. Magazyn stowarzyszenia księgowych. Przewrócił trzy strony i poczuł, że oczy mu się same zamykają.

Wstał i pochylił się, by przewertować resztę czasopism w poszukiwaniu „Gourmet” albo „Bon Appetit”. Znalazł „Miesięcznik Księgowego”, „Time”, „Newsweek”, „Raunch”...

„Raunch”?

Opadł z powrotem na kanapę. Pierwsze, co go zaintrygowało, to fakt, że „Raunch” był o wiele bardziej wygnieciony niż gazeta o rachunkowości. Drugą rzeczą, jaka przykuła jego uwagę, była seksowna kobieta na okładce, ubrana w skórę, z piersiami jak balony. Mógłbyś się uchwycić jej stóp i poszybować do Australii.

Wrześniowy numer magazynu „Raunch” poświęcony fantazjom prezentował, z tego co widział, całą ich gamę - od tradycyjnych do, no cóż, bardziej wyszukanych. Nigdy nie podobały mu się kosmitki, no, ale w końcu był bardzo przyziemnym facetem.

„Buduarowi nowicjusze”? Parsknął śmiechem. Kto to wypisywał?

Ktoś, bez wątpienia Cyn, podkreślił kilka z tych fantazji na żółto. Większość z nich znajdowała się w rozdziale dla początkujących.

Zatrzymał się, by przeczytać jeden z zaznaczonych fragmentów, i aż przewrócił oczami ze zdumienia. O co tu chodziło z tą kobietą i szejkami? W żadnym wypadku nie owinie sobie głowy turbanem i nie zamieni swojej sypialni w jedwabny namiot. Rany!

Przekartkował pismo do następnej fantazji. Ta była nie tylko podkreślona, ale również zaznaczona gwiazdką - a właściwie trzema gwiazdkami. „Bezbronna dziewica zniewalana przez mrocznego, niebezpiecznego przybysza”. Wrócił myślami do sposobu, w jaki ją poznał. A więc tak się sprawy miały! Odgrywała rolę z fantazji w gazecie.

Musiała być bliska zawału serca, kiedy uzbrojony w pistolet obcy facet wtargnął na prywatną imprezę. Miała fantazję, w porządku. On wprawdzie nikogo nie zniewalał, ale oczywiście w jej oczach musiał wyglądać wyjątkowo niebezpiecznie. Robiła wrażenie przerażonej i ani trochę nie podnieconej całą tą sytuacją. Co tylko dowodzi, że fantazje powinny pozostać fantazjami.

Ciężko wzdychając, Cyn weszła do przedpokoju i zamarła. Upuściła na podłogę torbę z kostiumem kąpielowym i ręcznikiem. W salonie paliło się światło, którego rano z pewnością nie zostawiła. Jeszcze jeden ostrożny krok i jej oczom ukazał się szczupły, groźnie wyglądający mężczyzna, rozłożony wygodnie na jej wzorzystej kanapie, którego rano też tu nie było.

- Co ty tu robisz, Jake?

- Czekam na ciebie.

Jego nieziemsko błękitne oczy, przysłonięte niewiarygodnie ciemnymi, łukowato wygiętymi rzęsami, i kamienny wyraz twarzy jak zwykle sprawiły, że zadrżała - z lęku i z pożądania.

- Mój system alarmowy miał tak działać, żeby byle kto tu nie wchodził.

- Nie jestem byle kim - oświadczył, a w jego oczach było tyleż pewności siebie co rozbawienia.

Odłożył na mahoniowy stolik do kawy czasopismo o rachunkowości, które właśnie czytał. Z przerażeniem przypomniała sobie, że „Raunch Magazine” też tam gdzieś jest. Bała się wynieść te pisma na makulaturę na oczach sąsiadów, więc planowała je spalić, ale wobec nowych obowiązków - co musiał chyba przyznać każdy szpieg na świecie - nie miała czasu. Kupka czasopism

wydawała się nieporuszona, a, jak się domyślała, Jake nie czytałby „Miesięcznika Księgowego”, gdyby znalazł „Raunch”.

- Czego chcesz?

- Meldunku.

- To będzie krótki meldunek - odparła, siadając na krześle z wysokim oparciem naprzeciwko Jake'a i obciągając swą nieprzyzwoicie kusą skórzaną spódniczkę.

- Żadnych postępów. Jedyna podejrzana rzecz, jaką zauważyłam w rachunkach, to brak ośmiu centów, przez co nie wychodzi nam bilans. Rano przyjedzie jeszcze jedna dostawa pałeczek. Kto by pomyślał, że chińskie jedzenie jest tak popularne.

Jake skrzyżował ręce i odchylił się do tyłu. W chwili gdy jego bicepsy się napięły, serce Cyn przyspieszyło. Był tak niewiarygodnie męski, z tą aurą niebezpieczeństwa, która ją pociągała, nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać. Pod granatową koszulką polo miał szeroką, muskularną pierś i płaski brzuch. Jej wzrok przesuwiał się coraz niżej, i nagle... przeniosła go na kolorowy bukiet tulipanów stojący na stoliku.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego przy biurowym wodopoju?

- Od czasu naszej ostatniej rozmowy? Niech się zastanowię...

Lepiej nie mówić, że myszkowała w komputerze Neville'a, jak również Lestera Darta i Douga Ormonda, gdy któregoś popołudnia poszli na spotkanie. Jake trochę by się wkurzył. Poza tym, nie znalazła tam nic podejrzanego, a już na pewno nie lewe księgi.

- I co?

- Marilyn, recepcjonistka z biura przy wejściu, we

wrześniu wychodzi za swego osobistego trenera. Za dwa tygodnie robimy jej imprezę. Eddie z doku przeładunkowego spotyka się na boku z Suze, sekretarką Neville'a. To jest niby tajemnica, ale i tak wszyscy wiedzą, oprócz męża Suze, mam nadzieję. A jeśli chodzi o Dolores...

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Dobrze, dobrze, to była tylko luźna uwaga.

- W taki to właśnie sposób personel plotkuje przy baniaku z wodą o praniu pieniędzy z handlu narkotykami. - Cynthia nie mogła się powstrzymać od sarkazmu. - Już teraz wiem, dlaczego to ty odpowiadasz za całą operację.

Jej przytyki zdawały się nie robić na nim większego wrażenia. Jake poprawił się na kanapie i spojrzał na nią z takim błyskiem w oku, że zaraz zaczęła żałować, że się w ogóle odzywała.

- Zdziwiłabyś się, co ludzie potrafią wypaplać, kiedy są zupełnie rozluźnieni. - Jego niebieskie oczy emanowały niewinnością, której nauczyła się już nie ufać.

- Naprawdę?

- Ktoś cię już uwodził, Cyn?

- Czy ktoś mnie uwodził... - Jej głos był wysoki i brzmiał dziwnie. Już sama myśl o tym, że miałyby być uwiedziona przez kogoś ze współpracowników, przyprowadziła ją o mdłości. Jedyne mężczyzna, dla którego popuszczała wodze erotycznej wyobraźni, siedział teraz przed nią. - A więc, nie. Ja...

Spojrzenie Jake'a wolno przesunęło się w dół, po jej czerwonej skórzaney spódnicy.

- Marketing niezły... - naigrawał się - ...ale czy ty cokolwiek sprzedajesz?

Jej policzki oblały się rumieńcem. Może i takie udawanie było zabawne, ale w żadnym razie nie powinna

kontynuować tej przebieranki. Nie była żadną seksowną syreną w rodzaju Maty Han, jak mu się zdawało. Była nudną księżową, Cynthią Baxter.

- Oczywiście, że nie - westchnęła.

- Dlaczego nie? - Swobodny ton jego głosu łagodził wymowę słów.

- Ponieważ ja nie... to znaczy... ja jestem... - Ale nie mogła znaleźć słów, by wyrazić, jak beznadziejna jest w łóżku, i że nawet najbardziej wyszukane fantazje z "Raunch Magazine" nie były w stanie uratować jej ostatniego związku. Nie mogła patrzeć w te jego groźne, jasnoniebieskie oczy, bo to ją upokarzało. - Ja... zwykle nie uwodzę - oświadczyła w końcu, robiąc przy tym wszystko, by wyglądać na obytą i lekko znudzoną.

Słyszając to. Jake wykrzywił usta w uśmiechu. Jego surowa twarz wypogodziła się, a wokół anielskich oczu pojawiły się owalne zmarszczki.

- To może zacznij ćwiczyć?

- Co mam ćwiczyć?

- Uwodzenie mężczyzn. Mogę iść na pierwszy ogień.

- Chcesz, żebym cię uwodziła?

Uśmiechał się szeroko, i ten uśmiech spowodował, że tętno Cynthii stało się groźne dla zdrowia.

- Nazwijmy to szkoleniem pracowniczym.

- Ale ja już przepracowałam dzisiaj osiem godzin - powiedziała z wyrzutem, desperacko próbując zachować spokój.

- Płacę jak za nadgodziny.

Zerwała się z miejsca. Dość tego. Była głupia, że dobrowolnie w to weszła. Nie miała pojęcia o narkotykach, szpiegowaniu ani praniu brudnych pieniędzy. A już najmniejszego o uwodzeniu mężczyzn. Powinna po pros-

tu pokazać mu drzwi i oznajmić, że rezygnuje. Żadnego Oceanic. Żadnego FBI. Żadnego Jake'a Wheelera, przez którego jej serce biło jak szalone.

- I co? - zapytał z przekąsem.

Wpatrywała się w niego. Otworzyła usta, by wyrzucić to z siebie, ale zamknęła je bez słowa, bo nagle zrozumiała. Teraz albo nigdy. Los dał jej szansę przeżycia tych wszystkich rzeczy, o których dotąd tylko czytała i fantazjowała. Mężczyzna przed nią był szejkiem, piratem, każdym z tych niegrzecznych chłopców, o których marzyła. I ona mogła go mieć. Musiała tylko uwieść go.

Jake rozsiadł się wygodniej na kanapie i z blaskiem w oczach obserwował, jak Cyn się do niego zbliża. Ostrożnie usiadła obok, nerwowo zerkając na jego usta. Powinna go najpierw pocałować, czy od kobiety z jej doświadczeniem oczekiwał, że najpierw zacznie go rozierać?

Sekundy mijały.

- Jeżeli boisz się, że oskarżę cię o seksualne molestowanie, to niniejszym oświadczam, że robię to z własnej i nieprzymuszonej woli. Jak chcesz, mogę ci to dać na piśmie.

- Nie, ja... To zbyt ciężkie. Wierzę ci.

- No, to do dzieła, pocałuj mnie!

Z wdzięcznością przyjęła pierwszą wskazówkę. Wzięła głęboki wdech i pochyliła się, oszołomiona jego męskim zapachem, ciepłym, piżmowym, z odrobiną mięty - pewnie zjadł cukierka z jej kryształowej patery. Oblizała suche wargi i spojrzała przez chwilę na jego twarz. Wpatrywał się niecierpliwie w jej usta. Iskrzyło między nimi i już przestała dbać o to, czy nie popełnia błędu. Musiała go pocałować.

Przywarła do jego ust i niemal jęknęła, kiedy żar tego delikatnego dotyku wygiął jej ciało w łuk. Jej język zaczął powoli wędrować po jego dolnej wardze, aż poczuła, jak Jake drży. Czy to naprawdę była ona? Władza, jaką zdobyła, przydała jej tyle zuchwałości, że odważyła się zrobić to jeszcze raz. I jeszcze raz. Wreszcie zebrała się na odwagę i wsunęła mu język między wargi. A kiedy coraz bardziej zagłębiał się w jego ustach, coś w niej eksplodowało. To tak, jakby przestały obowiązywać wszelkie zasady, którymi się dotąd w życiu kierowała. Zmiażdżyła je ustami, zmiotła zachłannym językiem.

Jak głodomór przy suto zastawionym stole, chciała wszystkiego posmakować i wszystkim się delectować. Jej usta osunęły się na jego szczękę, szyję pulsującą równomiernie, ale - jak na kogoś tak wysportowanego - trochę za szybko.

Jej palce tarłosiły jego granatowe polo, uwijając się przy nim tak długo, aż wyciągnęły je z džinsów i mogły poczuć gorące, jędrne ciało. Kiedy jej dłonie wędrowały ku górze, gładka powierzchnia ustąpiła miejsca gęstemu zarostowi. Przez kilka minut pozwalał jej mruzczyć, dotykać i całować swoje ciało, aż wreszcie zaoponował.

- Zdaje się, że nieźle się bawisz. A może byśmy tak razem wystąpili topless?

Kubeł zimnej wody nie ugasiłby skuteczniej jej pragnienia.

- Och. - Popatrzyła w dół na swoje piersi. - To naprawdę nie będzie wcale podniecające.

Jego głos brzmiał zachęcająco.

- Z mojej perspektywy wyglądają jak trzeba.

- To efekt zastosowania nowoczesnej myśli technicznej i usztywniony stanik. Na dodatek niewygodny.

- Więc bądźmy humanitarni i pomóżmy ci się go pozbyć. Nie mogę się dobrze bawić, wiedząc, że tak się męczysz.

- Ale tu jest tak jasno... - wyszeptała.

- Dlaczego więc nie przeniesiemy się do sypialni?

Pocałował ją w kawałek odsłoniętej szyi i nawet ta drobna pieszczota pobudziła wszystkie zakończenia nerwowe, które odbierały jej seksualne wrażenia.

- Nie, naprawdę nie mogę...

- Hej, zdaje się, że to ja mam być uwodzony. Zgadza się? Czuję się bardziej zrelaksowany w łóżku. - Zerknął na nią z ukosa. - Przy wyłączonym świetle.

- Naprawdę wolałbyś po ciemku?

- Oczywiście. Jest bardziej... cóż, po prostu wolałbym.

Nie uwierzyła mu tak całkiem. Ale wiele mówiąca wypukłość w jego spodniach mogła świadczyć o tym, że jej życie seksualne jednak ulegnie zmianie.

- Zgoda.

- Przygotuj się w łazience i spotkamy się w sypialni.

Skinęła głową i wślizgnęła się do łazienki obok sypialni. O co mu właściwie chodziło z tym „przygotuj się”? Wzięła pigułkę, ale mimo to spodziewała się, że Jake użyje prezerwatywy. Wyczyściła zęby szczoteczką. Potem żyłką dentystyczną. Łyknęła dwie tabletki z witaminą B na uspokojenie. Miała się rozebrać? Oszczędziłaby sobie później tej całej krępującej szamotaniny. Och, a jeśli w sypialni nie będzie jeszcze dość ciemno, kiedy wyjdzie z łazienki? Zdjęła żakiet, spódnice i te wyrafinowane pończochy. Została tylko w staniku i majtkach. Wyłączyła światło w łazience i otworzyła drzwi.

Nie żartował, kiedy mówił, że lubi to robić po ciemku. W jej sypialni było ciemno, że oko wykol. Przeraziłwie

ciemno. Zasłony były zaciągnięte, a drzwi zamknięte. Nic nie widziała.

Czuła jednak, że on tam jest. Czuła to przez skórę, a poza tym w powietrzu unosił się jego zapach.

- Jake?

W ciemności jakaś ręka dotknęła jej obnażonego brzucha. Zamarła z przerażenia.

Gładził jej brzuch, plecy, piersi pod koronkowym stanikiem, który po chwili rozpiął. Całe jej ciało napięło się w gotowości, wszystkie nerwy pragnęły jego dotyku. Czuła każdą opuszkę każdego z palców, którymi muskał i pieścił jej wyprężone piersi.

Dotykały ją tylko jego palce. Nic innego. Nie usta. Zwłaszcza nie usta. A ona tak bardzo pragnęła smaku jego ust. Za każdym razem, gdy robiła krok w kierunku, gdzie spodziewała się Jake'a, trafiała w próżnię. Kiedy unosiła ramiona, on je z powrotem opuszczał.

- Myślałam, że to ja uwodzę ciebie - jęknęła.

- Uwodziłaś - szepnął ochryple. - I uwodzisz.

Jego palce tak wprawnie rozebrały ją ze stanika i majtek, że prawie tego nie zauważyła. Ujął ją za rękę i poprowadził do łóżka. Tam położył ją na plecach i w końcu pocałował, sięgając głęboko, aż zaczęła się zatracać w przyjemności. Ujął jej ręce i podniósł nad głowę. Czuła się wspaniale.

Mglistość uswiadomiła sobie chłód metalu na swych rozgrzanych rękach, ale całował ją tak zapamiętale, że nie mogła się skupić na tym nowym doznaniu. Dopiero kiedy usłyszała złowróźbne, metaliczne szczęknięcie, zdała sobie sprawę, co zrobił.

- Nie! - krzyknęła, szarpiąc się gwałtownie, ale była już solidnie przypięta do łóżka. Z goryczą zrozumiała beznadziejność swego położenia. - Jake! Puść mnie!

Nie było innej odpowiedzi niż jęknięcie sprężyn łóżka, kiedy z niego schodził.

Potem usłyszała trzask pocieranej zapałki. Dostrzegła słaby, migotliwy płomień, kiedy zapalał świecę. Potem drugą. Rozpoznała swój zestaw świec, który trzymała na wypadek braku prądu. Po chwili drżący płomień rozjaśnił pokój, ukazując mężczyznę, w którego rękach się znalazła.

Wpatrywała się w niego.

- Przeglądałeś ten magazyn.

Nachylił się do światła jednej ze świec obok jej łóżka. Spojrzał na nią i zobaczyła dwa diabelskie ogniki rozświetlające jego oczy.

- Tak. Mnie osobiście najbardziej podobała się fantazja "Niewolnica podczas ablucji fallusa swego pana". Ale ty podkreśliłaś na żółto "Bezbronną dziewicę zniewalaną przez mrocznego, niebezpiecznego przybysza", więc postanowiłem ci ustąpić.

- Mylisz się.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

Może i była bezbronna, ale, bez przesady, nie da się zastraszyć.

- Cóż, z pewnością jesteś zniewolona, a ponieważ jestem dżentelmenem, przyjmuję też, że jesteś dziewicą. Ciągłe jednak brakuje odpowiednio groźnego nastroju. Zamierzam zatem opowiedzieć ci, co zrobię, krok po kroku.

- A nie możesz mnie po prostu uwolnić?

Potrząsnął głową.

- Nie, dopóki cię nie zgwałcę.

Ta wypowiedź była mało rozsądna. Przeszył ją wstrząs od stóp do głów. Mógł sobie odgrywać tę swoją rolę mrocznego, niebezpiecznego przybysza, ale była pewna,

że ani jej nie skrzywdzi, ani już bardziej nie przerazi. No, prawie pewna.

- Wiedząc, że to twój pierwszy raz, potraktowałem cię delikatnie. Nie masz skrępowanych nóg. Ale jeżeli sprawisz mi choćby najmniejszy kłopot, będziesz leżała tu rozciągnięta jak szybujący orzeł. Jasne?

Przełknęła głośno ślinę i kiwnęła głową.

- Najpierw będę dotykał twoich ślicznych piersi.
- Mówiąc to, podchodził coraz bliżej. Nadal miał na sobie dzinsy, a jego odsłonięty tors połyskiwał w blasku świec.
- Pewnie też trochę pobawię się sutkami.

Na te słowa jej piersi, a zwłaszcza sutki, zaczęły drżeć z podniecenia, wyczekując spełnienia obietnicy. Po chwili poczuła to samo drżenie między nogami.

Położył swe duże, zręczne dłonie na jej piersiach, ściskając je i ugniatając, a potem ciągnąc za sutki, aż zaczęła tracić oddech.

- Teraz uchwycę twoje małe wisienki zębami.
- oświadczył cicho. - Przygotuj się!

Niemal szlochała z podniecenia, kiedy po chwili podniósł się, zdjął spodnie i nasunął prezerwatywę. Na widok dumnie prężącego się członka straciła resztki kontroli nad sobą. Jęczała rozpalona do białości, a kajdanki pobrzękiwały o mahoniowe podpory łóżka.

- Nie obawiaj się - powiedział łagodnie, doskonale wiedząc, że wcale się nie obawiała. - Wejść powoli i spróbuję nie sprawić ci bólu.

- Nie, tylko nie powoli, nie. Proszę.

- Rozumiem, chcesz mieć to szybko za sobą. Ale wpuszczanie mężczyzny do swego ciała może być za pierwszym razem bolesne. A teraz chcę, żebyś rozłożyła nogi tak, żebym mógł zobaczyć, czy jesteś gotowa.

Zrobiła, co polecił. Boże, dopomóż - rozchyliła przed nim ochoczo nogi, widząc i czując, jak usadawia się przed nią, by... patrzeć.

Był zbyt podniecony, by czuć zakłopotanie zaglądaniem w nią w sposób tak bezceremonialny.

- Teraz włożę ci palec do środka, żeby sprawdzić, czy jesteś tam gotowa.

Wierzyła przed nim, gdyby nie była pewna, że wówczas pobudzałby ją jeszcze przez wiele godzin. Patrzyła więc, konając z niecierpliwości, kiedy jego palce powoli się w nią wsuwały. Nie mogąc sobie ulżyć, krzyknęła i zaczęła ocierać się o jego dłoń. Palec po chwili wyszedł, a Jake, udając żal, oświadczył:

- Przepraszam, kochanie. Myślałem, że cię to zabolało.
- Nie, nie!
- Cśś. Wiem, że cię zabolało. Lepiej cię pocałuję.

I dotknął językiem jej łona, w sam środek rozedrganego, małego guzika nieziemskiej rozkoszy.

Odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła, trzęsąc się jak galareta. Zamknęła oczy i zobaczyła gwiazdy. Krew w niej kipiała, kiedy wodził językiem po najbardziej czułej części jej ciała, ofiarując długi lot ku światłości.

Może gra się skończyła, a może zapomniał o jej regułach, ale tym razem nie powiedział jej, co zamierza zrobić. Po prostu wyrósł przed nią i nakrył sobą. Ciągle jeszcze dygotała w ekstazie dobiegającego końca orgazmu, kiedy wdarł się w nią, wypełniając, jak nikt nigdy przed nim.

- Jesteś taka ciasna, taka miękka, taka słodka - mruknął, trzymając jej głowę w dłoniach i patrząc prosto w oczy, a jednocześnie poruszając się w niej, długimi, równomiernymi pchnięciami, dzięki którym znowu zaczęła szybować ku szczytowi.

Mając skute ręce, mogła używać jedynie nóg, by owijać się wokół niego i wyginać w łuk nawet wówczas, gdy się z niej wysuwał. Tym razem, gdy opadała ze szczytu, nie była sama.

Parę godzin później Jake obudził się nagle. Jego wyostrome zmysły ostrzegły go o niebezpieczeństwie. Instynktownie chciał sięgnąć po swój pistolet kaliber 9 mm, ale nie mógł ruszyć ręką. Na dobre rozbudziło go pobrzękiwanie metalu o drewno i cichy kobiecy śmiech.

Tym razem to on był przypięty kajdankami do łóżka.

- Jak będziesz grzeczny, to poćwiczymy „Niewolnicę podczas ablucji fallusa swego pana” - obiecała Cynthia.

Jęknął. Jego plan skłonienia Cyn do odejścia z firmy spalił na panewce. Bez wątpienia. Musiał obmyślić coś nowego. Tymczasem jej język wędrował po jego piersi, co nie ułatwiało mu myślenia. Potem jej usta zjechały niżej, i myślenie stało się niemożliwe.

Rozdział szósty

- Ależ jesteś dziś rozpromieniona. Nocne igraszki?

Eddie z doku przeładunkowego szedł za Cynthią korytarzem. Jego kaprawe oczka błysnęły podejrzliwie.

- Co za... - zatrzymała się, nie rozwijając pogardliwej tyrady, bo przecież Dzielna Cyn tego rodzaju mocne wrażenia miewa praktycznie co noc i w jej uśmiechu następnego radosnego poranka nie ma ani krzty zażenowania. - Co za dziewczyna najpierw całuje, a potem to rozgłasza?

Spojrzała na Eddiego, który zarechotał sprośnie. Była coraz lepsza!

- Dzień dobry, panie Percivaid - powiedział Eddie, oddalając się.

- Dzień dobry, Eddie.

Głos Neville'a Percivalda dobiegał z tyłu. Cynthia poczuła, że się rumieni. Do licha, ile zdążył usłyszeć?

- Dzień dobry, Cynthio.

Była zmuszona się odwrócić, mając jednak nadzieję, że nie zaszokowała go. Patrzył na nią... z zainteresowaniem.

Nie chciała, żeby Neville interesował się jej życiem seksualnym. Ubiegłej nocy odkryła, że potrafi uprawiać seks w sposób tak zdumiewający i fantastyczny, że chichotała już na samą myśl o tym. Chciała zachować tę wiedzę dla siebie i nie dzielić się nią w biurze.

Tak mało spała ostatniej nocy, że powinna być wyczerpana, ale - o dziwo - tryskała energią. „Pewna siebie” było jej ulubionym określeniem z poradników, które czytywała - i tak właśnie się teraz czuła. Pewna siebie. Dzisiaj mogłaby przenosić góry!

To przypomniało jej, że ma sporo do zrobienia. W tajemnicy. Stosując zasady Jake'a i wykonując tylko obowiązki księgowej, nie zbliżyła się ani o krok do rozwiązania zagadki: byli zamieszani w przemyt narkotyków czy nie? A jeżeli byli, to w jaki sposób?

Dzisiaj poszłaby na każde ryzyko. Była Dzielną Cyn! Tak dzielną jak wczoraj w łóżku, i śmiała do tego stopnia, że dzisiejszego ranka powinna się czerwienić. Ona jednak czuła na policzkach tylko lekki rumieniec, zmysłowy i uskrzydający.

Uśmiechnęła się pod nosem. Mając u swoich stóp bezbronnego i dosłownie błagającego o spełnienie mężczyznę - mężczyznę takiego jak Jake - mogłaby się doktoryzować z kobiecej pewności siebie. Trzeba by tylko znaleźć jakiś sympatyczny, tolerancyjny uniwersytet.

A może lepiej kontynuować badania prywatnie, nikomu innemu poza Jake'em nie przedstawiając swoich naukowych dokonań. Zamiast tradycyjnej obrony pracy doktorskiej mogłaby zaprezentować jej bardziej praktyczną wersję: jeden na jeden. Aż się oblizała na myśl o takim scenariuszu.

Nie wiedzieć kiedy wróciła do swego gabinetu z pus-

tym kubkiem do kawy. Jak to możliwe, że poszła do pokoju, gdzie stał tylko ekspres do kawy, i zapomniała o kawie? Pomijając pusty kubek, na jej biurku nie czekało na nią nic ekscytującego, poza standardową stertą dokumentów przewozowych. Spojrzała na pierwszy z nich. Dotyczył kolejnego transportu pałeczek.

Oceanic importuje chyba straszne ilości tych pałeczek, pomyślała leniwie, wertując pozostałe papiery. Zatrzymała się i wzięła do ręki ołówki. Zgodnie z dokumentami te pałeczki też przyjechały z Kolumbii. Ożywiła się. A może to bossowie z karteli kokainowych tak się ostatnio zajadali chińszczyzną?

Ta sama łódź dostarczyła też duży ładunek kawy. Jake wspominał o praktyce szmuglowania koki w workach z kawą tak, żeby intensywny zapach ziaren kawy maskował woń narkotyków.

Spojrzała na plakat z Grand Prix wyścigów samochodowych, który zostawił po sobie jej poprzednik, i pomyślała, że ona tak pasuje do tej firmy, jak ten plakat do jej biura. Albo wykaże w tym śledztwie więcej aktywności, albo zanudzi się tu na śmierć. Wyciągnęła przed siebie nogi i zaczęła podziwiać nowiutkie czarne szpilki na pasczkach. Były to najbardziej frywolne i najdroższe buty, jakie kiedykolwiek miała. Bardzo się jej podobały. Kobieta w takich butach zawsze sobie poradzi.

Rosła w siłę.

Kobieta w takich butach sama ustala zasady.

Przeszła korytarzem i przez podwójne drzwi ewakuacyjne dostała się do magazynu. Tak, jak się spodziewała, wszyscy byli zajęci przenoszeniem skrzyń, worków i pudeł z doku wyładunkowego do magazynu. Podeszła do Eddiego, który pilnował sapiącej, spoconej

załogi, i obdarowała go najbardziej wdzięcznym ze swych uśmiechów. Oparła się o ścianę worków z kawą.

- Hej, Cyn - pozdrowił ją Eddie.

- Eddie, nie wiem, co dać Marilyn na prezent ślubny. Widuję was niekiedy razem i pomyślałam, że może ty mi coś doradzisz.

- Prezent dla Marilyn, hm...

Eddie oparł się o worki obok niej i założył pokryte piegami ręce na masywnej piersi. Na przedramionach zebrały mu się krople potu.

Kiedy się nad tym zastanawiał, a nie był to szybki proces, Cynthia zaczęła kopać i dłubać w płóciennym worku nowiutkimi, bardzo drogimi, cieniutkimi jak ołówek szpilkami, próbując zrobić w nim dziurę na tyle dużą, by wysypały się przez nią ziarna kawy, czy cokolwiek tam było. Serce jej krwawiło na myśl, że uszkodzi sobie buty, ale dla dobra FBI gotowa była ponieść i tę osobistą ofiarę.

Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, jak mocne potrafią być płócienne worki.

- Obrus na stół byłby w sam raz - powiedział Eddie.

- A jakie wymiary ma jej stół? - wbijała swoją szpilkę mocniej, starając się nie jęknąć.

- Nie wiem. - Jego uwagę przykuł wózek widłowy, który trzymał w powietrzu paletę worków z kawą, z których jeden wyraźnie się zsuwał. - Patrz, co robisz - wrzasnął w chwili, gdy worek runął, rozrywając się, na ziemię.

Cynthia była wniebowzięta, gdy ziarna kawy wylatywały w powietrze i podskakiwały, aż ziemia pokryła się grubą warstwą pachnących granulek.

Ruszyli oboje w tym kierunku, lecz Eddie dostał poślizgu, jakby jechał na rolkach, i z jękiem wylądował na tyłku.

Cyn tymczasem pewnie stawiała swoje szpilki, by jako pierwsza dotrzeć do płóciennego worka. Udając, że się potyka, odwróciła go, zanim ostatnie ziarnko opadło na cement. Tupnęła gniewnie nowymi butami, gdy okazało się, że po podłodze nie walają się żadne podejrzone pakunki.

Nic poza kawą.

Kiedy pomogła Eddiemu się pozbierać, stwierdziła:

- Chyba to nie najlepszy moment, żeby cię wypytywać o ślubne prezenty. Później do ciebie zajrzę.

Pomachała mu na pożegnanie i wróciła do swego biura. Jej kubek był nadal pusty, ale straciła ochotę na kawę. Jeżeli narkotyków nie było w kawie, musiały być ukryte w skrzyniach z pałeczkami.

Przez resztę przedpołudnia księgowowała faktury i biedziła się z kolumnami cyferek, ale w jej głowie zaczął powstawać pewien plan. Skoro Jake tak lubił jej przypominać, że nie była prawdziwym agentem FBI, a tylko wolontariuszką, to przecież wolontariusze nie muszą przestrzegać tych samych reguł co prawdziwi agenci. A zatem, tak jak w jej przypadku, nie trzeba było się trzymać żadnych innych zasad, tylko własnych.

Postanowiła sprawdzić te „pałeczki”.

- Jesteś wolna dzisiaj w czasie lunchu, Cynthia?
- zagadnęła ją Agnes tuż przed południem.

Zaprzyjaźniły się i Cyn nie chciała jej odmawiać, ale nie miała wyjścia.

- Przykro mi, Agnes. Muszę dzisiaj zrobić zakupy.

- Rozumiem - powiedziała Agnes zrezygnowanym tonem osoby przyzwyczajonej do odmowy.

Cyn miała wyrzuty sumienia.

- A może jutro?

- W porządku, ja...

- Nie, nie, poczekaj. W czasie przerwy na lunch idę ufarbować włosy.

- Ależ ty jesteś dzielna - stwierdziła z podziwem Agnes. - Chciałabym mieć tyle odwagi, by zmienić kolor moich włosów. Zawsze były szarobure, a teraz stały się mysioszare.

- Ja też jestem naturalną szatynką. Chodź ze mną. Będzie fajnie.

Agnes naprawdę była sympatyczną kobietą i Cynthia z przyjemnością pomogłaby jej wybrać właściwą drogę.

- Nie mogę wrócić do pracy z lunchu ufarbowana na inny kolor...

Agnes pogładziła swoje włosy z tak tęsknym wyrazem twarzy, że Cyn nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Wiesz co, zmienię swoje plany i pójdziemy tam razem w sobotę rano. Będiesz wtedy miała cały weekend, żeby się przyzwyczaić do nowego wizerunku.

Chciała też zaproponować, żeby kupiły parę ciuchów, ale dla Agnes byłoby tego już pewnie za wiele.

- Sama nie wiem. Nigdy nic takiego nie robiłam.

- W uśmiechu Agnes ochota mieszała się z obawami.

- Myślisz, że powinnam?

- I to jak najbardziej.

Starsza kobieta westchnęła.

- Chciałabym mieć tak odważną i awanturniczą naturę jak ty, Cynthio. Podziwiam cię.

- Nie ma powodu. Tylko mi zaufaj.

- Pomyślę o tym.

Kiedy już uspokoiła swoje sumienie i pozbyła się Agnes, mogła wyjść kilka minut wcześniej na lunch. Poszła prosto do najbliższego sklepu z artykułami metalo-

wymi. Kupiła łom, przemysłową latarkę, ciemne rękawiczki i czarną wełnianą kominiarkę. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że zajęło jej to niemal godzinę.

O kurczę! Miała nadzieję, że zdąży jeszcze coś zjeść, ale nie było już czasu. Wracała do biura obok sklepu z butami i wyrobami ze skóry. Na wystawie zobaczyła czarną skórzaną torbę podróżną na ramię. Doskonała! Pasowała jej do skórzanej minispódniczki i można w niej było schować rzeczy, które kupiła. A skoro już weszła do sklepu, kupiła też parę czarnych butów sportowych, bardziej przydatnych w tajnych akcjach po zmroku niż szpilki na paseczkach.

Potem pobiegła z powrotem do pracy, zatrzymując się tylko przy jakimś straganie, by złapać dwa czekoladowe batoniki. Musiały spełnić rolę pożywczego lunchu. Dobrze, że pamiętała rano o multiwitaminie. Obiecała sobie dodatkową porcję warzyw, gdy będzie już w domu.

Wróciła do gabinetu bez tchu, ale bardzo z siebie zadowolona. Rozpakowała jeden z batoników i zjadła go przy biurku, próbując skoncentrować się na pracy.

Czy Jake o niej myślał? Czy przywoływał w pamięci obrazy z ostatniej nocy równie często jak ona? Dotknęła palcem obolałego nadgarstka. „Raunch Magazine” spisał się na medal. Stworzyła „swoją własny erotyczny scenariusz prowadzący do orgii niewyobrażalnych orgazmów”. Była gotowa na kolejny jego akt. I na kolejny.

Teraz, kiedy przełamali pierwsze lody, zastanawiała się, czy nie powinni spróbować czegoś z działu dla „Łóżkowych średniaków”.

- Cynthio, Cynthio!

- Hmm? - Odwróciła się, a jej wizja rozpułyła się jak lody po ciele Jake'a. - Przepraszam, Agnes, byłam myślami gdzie indziej. - Rzuciła starszej księgowej wstydlive

spojrzenie, rozprostowała plecy i obciągnęła trochę spódnice. - Co mówiłaś?

- Zdecydowałam przyjąć twoją miłą propozycję.
- Agnes stała w drzwiach jak krzyżowiec przed wyprawą do Ziemi Świętej. - Jestem gotowa ufarbować włosy.

- To wspaniale! Zaraz nas umówię.

Zanim Agnes zdążyła zmienić zdanie, Cyn wygrzebała z torebki wizytówkę Michaela i umówiła je na sobotę rano.

Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie i nuda stawała się wszechobecna. Trąciła nogą wypchaną torbę, żeby przypomnieć sobie o przygodach, które czekały na nią jeszcze tego dnia.

Wreszcie zegar pokazał, że do piątej pozostało tylko parę minut. Personel biurowy zaczął się pakować. Cynthia wyłączyła komputer, uprzątnęła biurko, podniosła torbę i wsunęła do niej podręczną torebkę.

- Przed wyjściem zajrzę jeszcze do toalety - powiedziała energicznie do Agnes.

Wyszła z księgowości i ruszyła w kierunku biur zarządu. Nie wspomniała, że toaleta, którą miała na myśli, znajdowała się w magazynie. Kiedy weszła, na drugim końcu hali zobaczyła Eddiego i kilku sezonowych robotników. Szybko zorientowała się, gdzie ustawiali ładunek pałeczek. Skrzynie wydawały się nietknięte.

Niedbałym krokiem, na wypadek gdyby ktoś patrzył, zmierzała do damskiej toalety. Nigdy nie widziała w tej części firmy żadnego kobiecego personelu, więc pewnie ta toaleta była tu tylko dla formalności.

Była wdzięczna, że ładowacze byli zbyt męscy, by przejść przez drzwi oznaczone kółkiem. Niewielka toaleta była utrzymana w nieskazitelnej czystości. W powietrzu unosiła się lekka woń środków odkażających.

Korzystając ze światła, które wpadało przez otwarte drzwi, zrobiła szybkie rozpoznanie. Ponieważ łazienka była naprawdę malutka, raz dwa zapamiętała jej układ. Jedna kabina, jedna biała umywalka z lustrem, podajnik papierowych ręczników, pusty pojemnik na śmieci, na podłodze schludne linoleum, żadnego okna.

Pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi. Nie zapalała światła, na wypadek gdyby przez podłogę było coś widać.

Po raz pierwszy od podjęcia tu pracy działała wbrew jasnym instrukcjom Jake'a, zgodnie z którymi miała się zajmować tylko księgowaniem i nie robić nic podejrzanego. Gdyby się dowiedział, że tutaj myszkuje, chyba by ją zabił! Oczywiście gdyby w magazynie były narkotyki i ktoś by ją przyłapał w ciemnej łazience z workiem pełnym narzędzi, Jake nie musiałby się już trudzić.

W otaczającej ją ciemności zaczęła powoli zdradzać objawy paniki. Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać. Ciagle mogła po prostu wyjść z łazienki i spacerkiem wrócić do domu. Nikt nie dowiedziałby się o tym niepowodzeniu. Obgryzała paznokiec, słuchając łomotu własnego serca.

Musi przestać zachowywać się jak tchórz. Jake zaferował jej niebezpieczeństwo i mocne wrażenia, a ona, mając teraz możliwość zakosztować tych wrażeń, chciała czmychnąć.

Tymczasem postanowiła nie siadać na sedesie, lecz na podłodze. Osunęła się na ziemię. Jaka szkoda, że nie nałożyła rano czarnych skórzanych spodni zamiast spódniczki mini. Przynajmniej czarna kurtka była ciepła.

Jak ten czas się włókł! Żałowała, że nie udało jej się zjeść obiadu. Była już głodna. Zjadła powolutku, co do okruszka, drugi czekoladowy batonik.

Minęła chyba wieczność, ale Cynthia straciła poczucie czasu. Jeżeli poważnie myślała o karierze szpiega, powinna zainwestować w jeden z tych wymyślnych zegarków z podświetlaną tarczą, co to można w nich na dziesięć metrów zejść pod wodę.

Przez chwilę zajęły ją fantazje o nieprzyzwoitych rzeczach, jakie mogłaby robić z Jake'em dziesięć metrów pod wodą. W sposób naturalny przywiodły też wspomnienia z ostatniej nocy. Oto nowa Cynthia! Najpierw bezwolna, a potem silna na tyle, by mężczyznę takiego jak Jake doprowadzić do jęku. Uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

Jake wyszedł, zanim się rano obudziła - co było do przewidzenia, biorąc pod uwagę jego paranoiczną ostrożność. Rozczarowana zaczęła nerwowo szukać jakiejś wiadomości. Nie znalazła żadnej. Ale pewnie nie chciał, żeby wpadła w ręce tych gangsterów, gdyby postanowili włamać się do jej domu. Jakie to słodkie, że tak się o nią troszczył.

Siedząc nad kawą i płatkami śniadaniowymi doszła do wniosku, że gdyby jacyś gangsterzy włamali się do jej domu, ostatnią rzeczą, o jaką by się martwiła, była wiadomość od Jake'a. Euforia szybko opadła, i wróciły wszystkie lęki. Może wcale nie poszło jej tak dobrze. Może uznał to za pomyłkę.

Z ciężkim sercem zbierała się do pracy, wciskając się w wyzywającą czarną spódniczkę mini i czarne rajstopy. Czuła się w tych seksownych ciuchach jeszcze większą oszustką niż zazwyczaj.

Pociągając nosem, chwyciła torebkę, nastawiła alarm - obiecała sobie, że wymieni go na najbardziej nowoczesny, modny i niezawodny system, jaki istnieje - i wydoby-

ła klucze, by zamknąć drzwi. Przy kółku z kluczami był jeden, mały, którego nie potrafiła rozpoznać. Zaintrygowana wpatrywała się w niego przez chwilę - i nagle poczuła niewysłowioną radość.

Był to kluczyk od kajdanek.

To lepsze od staroświeckich liścików czy tuzina czerwonych róż. Zapewniał ją niniejszym, że spędził tu wspaniałe chwile, a umieszczenie kluczyka przy breloku oznaczało, że będzie potrzebowała go regularnie.

Gdyby nie obawa, że narobi hałasu, zabrałaby ten pęk kluczy teraz ze sobą tylko po to, aby poczuć się pewniej; miałaby coś, co kojarzyło się z Jake'em.

Zaczęła powtarzać w pamięci przepisy prawa podatkowego, by nie zasnąć. Wiedziała, że brygada przeładunkowa pracuje do ósmej. Zamierzała poczekać gdzieś do północy i dopiero wtedy przystąpić do działania. Problem polegał na tym, że nie pomyślała o tym, jak w ciemności korzystać z zegarka. Musiała zaryzykować użycie latarki. Powoli i możliwie jak najciszej wyjęła ją z torby i pstryknęła przełącznikiem.

Nic.

Pstryknęła jeszcze kilkakrotnie przełącznikiem, coraz bardziej zdenerwowana. Nadal nic. Powinna była ją sprawdzić jeszcze w sklepie. Zepsuta? Potrząsnęła latarką.

Nagle zacisnęła zęby. Zapomniała o bateriach.

Musiała siedzieć tam przez wiele godzin. Gdyby się nie kontrolowała, znaleziono by ją rano smacznie śpiącą na podłodze łazienki, a to już nie wyglądałoby dobrze. Ściągnęła szpilki i nałożyła obuwie sportowe.

W końcu podniosła się powoli. Przystawiła ucho do drzwi.

Cisza.

Wyczuła w ciemności klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi. Słaby blask lamp systemu bezpieczeństwa oświetlał magazyn, ale było zupełnie inaczej niż w ciągu dnia. Delikatne smugi światła rzucały przerażające cienie i zamieniały paki i skrzynie w podejrzane objekty.

Przynajmniej była sama. Mimo to miała przemożną ochotę, dać z powrotem nura do łazienki i skulić się w kłębek. Jestem Dzielna Cyn, powtarzała sobie nieustannie, wypełzając z łazienki i zamykając za sobą bezszelestnie drzwi.

Co teraz?

Zdecydowała powęszyć trochę dokoła i wycofać się stąd jak najszybciej. Skradała się w kierunku stosu skrzyń na drewnianej palecie.

Na palcach przemknęła wzdłuż murku, szukając przejścia. Potem obok wózków i hydraulicznego podnośnika. Minęła nową dostawę skrzyń z Anglii i Irlandii - był to kierunek importowy Percivalda seniora.

Wreszcie dotarła do kontenerów z pałeczkami. Ustawiono je przed skrzyniami z kawą, zostawiając między rzędami wolną przestrzeń.

Wpatrywała się w ułożone pionowo worki z kawą. Ten, który pękł na jej oczach, nie zawierał nic prócz kawy, ale być może inne były wypełnione narkotykami. Z niepewności ogryzała paznokieć kciuka. Wreszcie postanowiła dać sobie spokój z pierwotnym planem działania. Zawsze mogła sprawdzić resztę kawy, jeśli zostanie trochę czasu.

Postawiła torbę na ziemi koło siebie i wydobyła z niej łom. Z oczywistych powodów kupiła najmniejszy, ale kiedy przystąpiła do podważania wieka pierwszej drewnianej skrzyni, zaczęła żałować, że nie wzięła jakiegoś olbrzyma.

Chociaż była szczęśliwa, że jest pierwszą osobą za-

glądającą do tej skrzyni, irytował ją ten mozół. I hałas. Pot wystąpił jej na czoło i kark, kiedy możliwie dyskretnie próbowała podważyć łomem wieko.

Przerwała, a jej serce zaczęło bić ze zdwojoną szybkością. Co to było? Jej oczy penetrowały ciemne zaułki magazynu, ale dostrzegała tylko groźne cienie. Opuściła łom.

Zamarła w bezruchu, wyostrzyła wszystkie zmysły na mniej więcej minutę, by uznać wreszcie, że się prześlyszała, i wrócić do pracy. Zaczynały ją boleć ręce, ale w końcu wieko skrzyni odskoczyło z głośnym zgrzytem.

Nachyliła się i zajrzała do środka, jak dziecko pod choinkę pełną prezentów.

Co kazało jej unieść głowę? Znowu jakiś dźwięk? Wrażenie, że nie jest sama?

Odwróciła się w samą porę, by zobaczyć czarną postać przemykającą w jej kierunku. Otworzyła usta, ale nie zdążyła już krzyknąć. Zasłoniła je dłoń w czarnej rękawiczce. Ktoś zaczął ją ciągnąć do tyłu. Przeciskali się między stertami worków z kawą. Nadal miała w ręku łom, ale kiedy spróbowała zrobić z niego użytek, zrozumiała, że ten ktoś trzyma go wraz z jej dłonią w żelaznym uścisku.

Sparaliżowana strachem, czuła tylko zapach skórzanej rękawiczki i silny chwyt. Próbowała rozchylić szczęki i napastnika ugryźć, ale jego ręka kneblowała ją tak skutecznie, że nie mogła nawet poruszyć językiem. Zaczęła się miotać, by móc kopnąć go w krocze. Krew huczała jej w uszach, i gdyby tylko mogła wydostać się przez nos, trysnęłaby jak nic.

- Spokojnie. Na razie nie mam zamiaru cię zabić - syknął jej do ucha zawzięty głos.

Ciało Cynthii znieruchomiało i osunęło się bezwładnie na płócienne worki. Po chwili miała również wolne usta.

- Jake! - wyszeptała z ulgą, czując, że słabnie.

- Na twoim miejscu nie cieszyłbym się tak na mój widok. Już po tobie. Mówię poważnie.

- Co ty tu robisz?

- To samo co ty.

- Pałeczki?

- Pałeczki. Skoro tu jesteś, to masz pewnie latarkę. Pamiętałaś o bateriach?

- Co?

- Do latarki. - Mogłaby przysiąc, że usłyszała jego zdławiony chichot. - Tylko mi nie mów, że Mata Hari zapomniała baterii do swojej latarki?

Uznała, że nie warto zniżać się do odpowiadania na to pytanie. Nie przeszkadzało jej, że się z niej naśmiewał; przynajmniej minęła mu złość.

Wzięła latarkę, którą jej podał, i zajrzała do skrzyni. Zobaczyła tam mnóstwo pałeczek ułożonych w rzędach.

- Może to jakiś wybieg. A narkotyki ukryto gdzieś pod spodem - szepnęła.

Rzucił jej spojrzenie, którego nawet w takim półmroku nie mogła nie zrozumieć. Zamknij się!

Przyglądała się, jak Jake wyjmuje z pudła jedną warstwę pałeczek za drugą - każda warstwa zabezpieczona była przezroczystym opakowaniem. Cierpliwie wyłożył wszystkie pałeczki na cementową posadzkę. Potem wszedł do skrzyni, wziął od Cyn latarkę i przez minutę badał drewnianą konstrukcję.

Kiedy ukazał się ponownie, potrząsnął głową. Następnie zwrócił swą uwagę ponownie ku pałeczkom. Wysunął z papierowej otuliny jeden komplet, oddzielił pałeczki od siebie, a potem jedną z nich połamał na kawałki. Po

obwąchaniu dotknął jej językiem. Skrzywił się i wytarł język w rękawiczkę.

- Prochy?

- Drzazga.

Zapakował kawałki pałeczki w strzęp papieru i wsunął zawiniątko do kieszeni. Kiedy wkładał pałeczki z powrotem do skrzyni, starając się zachować ten sam porządek, przyjrzał się dokładnie każdej warstwie.

Nagle wyprostował się, nasłuchując.

Ona też to usłyszała. Niski, męski głos, najpierw stłumiony, potem z każdą chwilą donośniejszy. Podczas gdy jej oczy rozszerzały się coraz bardziej, a serce przyspieszało bicie, Jake spokojnie układał ostatnie warstwy pałeczek w skrzyni.

Jake zasunął wieko z powrotem, chwycił latarkę, wyłączył i wziął Cynthię za rękę, by zaciągnąć ją za ostatnią skrzynię, koło worków.

Kiedy tam przycupnęli, odchylił czarny mankiet, by odsłonić fluorescencyjną tarczę zegarka. To na pewno jeden z tych do nurkowania pod wodą. Cynthia miała nadzieję, że jako tajny agent miał jeszcze jakieś inne wynalazki, dzięki którym uda im się stąd wymknąć, zanim zostaną zdemaskowani. Błyszczące cyferki pokazywały, że parę minut temu minęła północ.

Jake nachylił się do niej i przyłożył usta do ucha.

- Stróż nocny - szepnął.

Odwróciła się do niego przerażona. Nie widziała żadnego stróża nocnego na liście płac. Ale oczywiście zatrudniali firmę ochroniarską. Ten strażnik, albo strażnicy, musiał być jej pracownikiem.

Wreszcie dobiegł ją dźwięk, którego się spodziewała i przed którym truchlała. Usłyszała otwieranie ciężkich drzwi do magazynu. Wyjrzała ostrożnie zza skrzyni

i zobaczyła dwóch umundurowanych strażników. Byli postawni i uzbrojeni - niedobrze. Ale nieśli też pojemniki z jedzeniem i termosy, dzięki czemu wyglądali już trochę mniej groźnie.

Kierowali się prosto do odrapanego stołu, gdzie ludzie z ekipy przeładunkowej grywali w karty podczas przerw obiadowych. Postawili swoje pakunki, i jeden powiedział do drugiego:

- Zrobię obchód po biurach w dyrekcji, a ty rozejrzyj się tutaj.

Wykonał szeroki zamach ręką, a stargane nerwy Cyn napięły się jeszcze mocniej.

Agent Wheeler, którego najwyraźniej nic nie było w stanie poruszyć, przyłożył palec do ust i odwrócił latarkę drugim końcem. Dziwiła się tylko przez chwilę, aż przypomniała sobie, jaka była ciężka. Prawdopodobnie posłużyła jako dodatkowa broń. Wolną ręką Jake sięgnął pod kurtkę i wydobył swój pistolet.

Zmienił pozycję tak, że zasłaniał Cynthii cały widok. Wpatrywała się w ciemny zarys jego pleców, aż obraz zaczął jej się zamazywać. Zmysły odmawiały posłuszeństwa. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś nocnym koszmarze. Usłyszała powolne stąpanie strażnika po cementowej posadzce. Miał nadwagę i trochę dyszał. Ziarna kawy pachniały jak potrójna kawa z ekspresu. Przełknęła ślinę i poczuła smak czekoladowego batonika, który zjadła parę godzin wcześniej.

Ciężkie kroki zbliżały się coraz bardziej. Czuła, że mięśnie Jake'a sprężają się w oczekiwaniu. Jej własny system obronny był również w gotowości bojowej. Sięgnęła po łom. Może to niewiele, ale był ciężki i potrafiłaby nim walnąć strażnika, gdyby musiała.

Czy on ich widział? Zdawało się, że idzie prosto do kryjówki Jake'a i Cyn, w ogóle nie interesując się innymi częściami magazynu. Jeżeli ich zobaczył, czemu nie wezwał partnera? Cynthia oblizła zaschłe wargi, próbując znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie faktu, że oto ona, zwykła księgowa, kucała w ciemności między skrzyniami. Nic rozsądnego nie przyszło jej do głowy.

- Wiem, że tam jesteś! Wychodź! - powiedział nagle strażnik głosem, jakim ojciec przywołuje niegrzeczne dziecko.

Nie musiała czekać na sygnał Jake'a, żeby znieruchomieć. Strach ją sparaliżował.

- No, już. Mam coś dla ciebie - odezwał się ten sam głos, tym razem bliżej.

Jake zastygł, gotowy do skoku.

Coś owłosionego otarło się o rękę Cyn. Pisnęła przerażona, zanim zdążyła ugryźć się w język. Gwałtownie cofnęła dłoń, obserwując ciemny kształt przemykający obok. Miał długi, wijący się ogon.

O Boże! Szczur!

- Hej, Wally. Jak się masz, stary - mruknął strażnik w chwili, gdy Cyn usłyszała ponowne otwieranie ciężkich drzwi.

- Powinieneś skończyć z dokarmianiem tego gryzonia. To obrzydliwe - narzekał gderliwie starszy z mężczyzn.

- Ranisz jego uczucia, Harry. To bardzo mądry szczur. Wygląda tak, jakby wiedział, co dla niego przyniosłem.

Głos brzmiał już słabiej, a kroki zaczęły się oddalać. Usłyszeli trzask otwieranego pojemnika z jedzeniem.

- To szkodnik. Mam tu gdzieś trutkę na szczury.

- Och, nie zrobiłbyś tego. Wally jest jak rodzina, no nie, mały kumplu?

- Muszę natychmiast stąd wyjść - szepnęła Cynthia, szarpiając drżącą ręką Jake'a za kurtkę. - Mają tu szczury.

Jake spojrzał na nią srogo i przyłożył palec do ust.

- Naprawdę muszę wyjść - szepnęła.

- A jak chcesz to zrobić? - zapytał również szeptem.

- Przeczolgam się koło nich. Grają w karty czy coś takiego.

- Tam jest szcur. - Miała wrażenie, że się z niej śmieje.

Kiepski wieczór: nie dowiedziała się, zapomniała baterii, a ostatnim posiłkiem w tym wcieleniu mógł być czekoladowy baton. Poza tym, Jake, jej świeżo upieczony kochanek, nawet się nie pofatygował, żeby ją uprzedzić o dzisiejszej wizycie. I, jakby tego było mało, szcur przebiegł po jej ręce. A Jake uważał, że to zabawne?

- Przepraszam - powiedziała gniewnie, próbując się koło niego precyzyjnie.

Jednym ruchem zakneblował jej usta i pociągnął do tyłu. Posadził ją sobie na kolanach i przycisnął do piersi, opierając się o worki. Cynthia poczuła znowu przemożny zapach kawy. Jake nie puszczał jej. Zaczął łagodnie szeptać:

- Odpręż się. Prawdopodobnie co kilka godzin robią obchód. Wymkniemy się, kiedy ruszą na następny. Jasne?

Zadrzała, ale rozsądek wrócił. Kiedy Jake ją kołysał i dodawał otuchy ciepłymi słowami, napięcie zaczęło ustępować.

- Spróbuj się odprężyć.

Czuła jego unoszącą się i opadającą pierś, gdy do niej szeptał. Wydawało jej się nawet, że słyszy miarowe bicie

jego serca. Mimowolnie zaczęła przypominać go sobie nagiego w łóżku i było to wyjątkowo podniecające.

Jego dłoń w naturalny sposób spoczywała pod jej piersiami. I nagle odeszła jej ochota opuszczania tego miejsca.

Słyszała odgłos rzuconych kart i pomruk męskich głosów, nie dalej niż piętnaście metrów od nich. Powinna dygotać ze strachu, ale drżała jedynie z podniecenia. Odprężyć się? Nie da rady.

Wszystkie obawy związane z gryzoniami znikły. Może nie było to w tych warunkach najrozsądniejsze, ale nie była już w stanie powstrzymać pożądania.

Dłoń pod jej piersiami naprężyła się, uciskając żebra, co miało powstrzymać jej odruchy. Jednak vibracje jej pragnącego zaspokojenia ciała narastały i nie był już w stanie ich zdusić. Usłyszała stłumione przekleństwo, a potem oddech agenta Wheelera zmienił rytm.

- Co ci chodzi po głowie, Cyn?

Jego urywany szept nie brzmiał już kojąco. Ponieważ nie zdejmował dłoni z ust Cynthii, jedynym sposobem, by mu odpowiedzieć, był język ciała. Sugestywnie zakołysała się, ocierając o uwierający ją wzgórek w jego spodniach.

Jake ugryzł ją delikatnie w koniuszek ucha.

- Zdaje się, że przez następnych parę godzin i tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Nadal nie odrywał ręki od jej ust. Jednak druga ręka wślizgnęła się jej pod kurtkę i zaczęła wędrować po obrysie piersi, gdy tymczasem jego wargi wodziły po szyi Cynthii.

Wypreżyła się ku niemu, gładząc rękami zewnętrzną stronę jego ud aż do bioder, tak wysoko, jak tylko mogła dosięgnąć. Cały jej strach przeistoczył się w podniecenie

tak gwałtowne, że aż ją paliło. Powoli przestawała kontrolować koliste ruchy własnego tułowia. Zaczęła się więc na jego kolanach.

- Czy możesz być cicho? - szepnął.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Czy mogła? Jego lewa dłoń wyczyniała z jej sutkiem tak cudowne rzeczy, że jęk podchodził jej do gardła. Jego prawa dłoń była tak utalentowana... Używanie jej tylko jako knebla to nieporozumienie. Były na jej ciele miejsca, które potrzebowały jego rąk bardziej niż usta. Uznając, że obecność strażników powinna być wystarczająco skutecznym kneblem, spróbowała wyzwolić usta. Nareszcie!

Dłoń Jake'a zsunęła się teraz między nogi Cynthii, jakby czytał w jej myślach. Rozchyliła je, jak żaba przed skokiem, i jęknęła cicho, kiedy włożył rękę między jej rozpalone uda.

- Nie cierpię rajstop - szepnął niezadowolony i zaczął szukać czegoś w kieszeni.

Spojrzała w dół, zobaczyła nóż i zdrętwiała.

- Co ty...

Jego druga dłoń puściła jej pierś. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Następne, co poczuła, to chłodne powietrze owiewające jej intymne części ciała przez dziurę w rajstopach. Nigdy się tak nie czuła. Była rozpalona z podniecenia, bezwstydna i rozochociona, a jej jedynym pragnieniem było wziąć go i być wziętą. W duchu musiała przyznać, że tak ogromne podniecenie wynika częściowo z faktu obecności strażników zaledwie kilkanaście metrów od nich i że ich gra była taka niebezpieczna.

Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć, kiedy znowu poczuła jego palce.

- A teraz tak, jak lubię - szepnął i wsunął jej rękę

w jedwabne figi, które nałożyła rano w przypływie brawury. Czuła, że jest wilgotna, kiedy jego palce myszkowały po jej podbrzuszu w poszukiwaniu pulsującej łechtaczki.

Zaskoczył ją zupełnie, ponownie zakrywając jej usta ręką. Zanim zdążyła się zorientować, po co, wsunął w nią dwa palce, głęboko i mocno.

Raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Cynthia napięta silne mięśnie ud, ale nic nie mogło już powstrzymać wstrząsających ją spazmów. Ale na tym nie koniec. W żadnym razie. Udało mu się na razie tylko pobudzić jej apetyt - a była naprawdę bardzo głodna.

Możliwie bezgłośnie obróciła się i wspięła na Jake'a. Czuła kolanami chłód cementu, podczas gdy całe jej ciało płonęło. Jej drżące dłonie nie od razu odnalazły zamek w jego spodniach. Rozsuwała go powoli i, och, tak cichutko. Jego oczy zmieniły się w zionące ogniem szpary, hipnotyzujące ją, kiedy dostała się wreszcie do jego twardego, gorącego członka i wzięła go w rękę.

- Pewnie nie masz...

- W kieszeni. - Nawet przy tak słabym oświetleniu musiał dostrzec jej zdumienie, bo dodał: - Zamierzałem później cię odwiedzić.

Poczekwała, aż założy prezerwatywę, a potem, unosząc pośladki, poprowadziła jego penisa przez postrzępioną dziurę w rajstopach i odsunęła na bok figi.

Przez chwilę patrzyła Jake'owi w twarz: kamienna, nie zdradzająca napięcia; szczęki zaciśnięte, oczy na wpół otwarte. Bardzo wolno położyła dłoń na jego ustach i uniosła jego rękę, by ulokować ją ponownie na swojej

twarzy. Potem osunęła się niżej, czując cudowne pchnięcie, dosiegające jej głęboko.

To ona dyktowała tempo. Chciała robić to powoli, by zminimalizować hałasy i móc obserwować jego bezsilność i podniecenie, kiedy osiągał jej najgłębszy punkt. Pot wystąpił mu na czoło. Oddech stał się ciężki, a nozdrza rozszerzyły się, wydmuchując w jej dłoń gorące powietrze.

Jej własny oddech był równie ciężki, a pożądanie równie silne. Wciągając łapczywie powietrze w płuca, czuła zapach ziaren kawy, pyłu i cementu, skóry i potu. Z każdym ruchem swego ciała w jego kierunku ich jedność stawała się coraz trwalsza. Aż przestała się powstrzymywać. Ich spojrzenia skrzyżowały się, wyrażając to wszystko, czego nie wolno im było wyartykułować. Kiedy tempo stało się dla niej zbyt wolne, zaczęła szybciej wypychać biodra. Podczas gdy jej ciało poruszało się spazmatycznie, zalewane coraz częstszymi falami rozkoszy, jego dłoń tłumiła wszelkie krzyki. Nadal patrzyła Jake'owi w oczy, raz szeroko rozwarte, raz zamglone, aż wreszcie zaczął dochodzić. Straciła nad sobą resztki kontroli, kiedy pchnął raz, drugi, trzeci - i poczuła w sobie cudowny zastrzyk namiętności.

Osunęła się do przodu, zdziwiona, że ich ciężkie oddechy nie postawiły strażników na nogi. Po chwili nasłuchiwania w napięciu dobiegł ją gardłowy okrzyk triumfu.

- Ful bije twojego strita!

- Rany, ale ty masz dzisiaj szczęście! - mruknął dobrodusznie miłośnik szczurów.

Jake pocałował dłoń Cyn, którą zabierała właśnie z jego ust.

- Myli się - szepnął. - To ja mam dzisiaj szczęście.

Chciała go jeszcze dotknąć, przytulić się, przez chwilę poszeptać jak to robią senni kochankowie. W tych okolicznościach jednak zadowolili się pocałunkiem. Pochyliła się i pocałowała go powoli. Jake przystał na pocałunek, ale nie mogła powiedzieć, by włożył w niego serce.

- Co się stało? - szepnęła mu do ucha.

- Nie chcę, żeby mnie tu przyskrzynili z gołym tyłkiem - mruknął, zdejmując ją z kolan.

- Aha, racja.

Poprawili ubrania, chociaż rozcięcie w rajstopach Cynthii nadal działało na jej wyobraźnię. Kiedy z powrotem zajęli się czekaniem, sięgnęła po dłoń Jake'a. Dobiegały ich stłumione odgłosy gry w pokera. Starła się nie myśleć, gdzie teraz może być ten szczur. I czy był samotnikiem. Jake zerkał wprawdzie co pewien czas na zegarek, ale siedział cicho jak mysz pod miotłą.

Teraz, kiedy miłe chwile minęły, przyszła nuda. Nie znaleźli niczego poza pałeczkami. Posadzka była zimna i twarda. Cyn czuła się zmęczona i chciała jak najszybciej wrócić do domu.

Może Jake odgadł jej nastrój, bo objął ją i przytulił, całując subtelnie włosy.

Przytuliła się do niego i oparła głowę na szerokiej piersi. Przez chwilę słuchała spokojnego bicia jego serca. Myślała o tym, jakie to szczęście, że Jake się tu zjawił. Myślała o tym, co właśnie zrobili i jak bardzo chciała to powtórzyć, w domu, w łóżku. Potem zaczął ją ogarniać sen...

Obudziła się nagle. Ktoś nią potrząsał.

- Czas się zbierać - oświadczył Jake, miękko, ale już nie szeptem.

Spojrzała na niego i przeciągnęła się, chcąc się zupełnie ocknąć. Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy nie

przeżyta właśnie najdziwniejszej w życiu mieszanki nocnego koszmaru z erotyczną fantazją. Zimna posadzka i głód były jednak realne, podobnie jak Jake, pomagający jej stanąć na nogi.

- Nie mogę uwierzyć, że zasnęłam - narzekała ziewając.
- Dobrze, że nie chrapałaś.

Gra w karty najwyraźniej dobiegła końca. Nie słyszała strażników.

- Gdzie oni są? - wybełkotała sennym jeszcze głosem.
- Na obchodzie. Idziemy.

Chwytał ją za rękę i zaczęli się przemykać między skrzyniami. Minęli stanowiska załadunku ciężarówek i pobiegli w róg magazynu, gdzie znajdowały się drzwi. Jake stanął przy panelu bezpieczeństwa plecami do Cyn tak, że nie mogła dostrzec, co robił, ale już po chwili drzwi stanęły otworem - ani nie włączył się alarm, ani nie zapaliły się światła. Przypomniało jej się, z jaką łatwością poradził sobie ubiegłej nocy z jej alarmem, więc specjalnie się nie zdziwiła.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie pomyślała o odwrocie. Gdyby nie Jake, musiałyby spędzić w Oceanic całą noc, kryjąc się wraz ze szczurami między skrzyniami, albo truchlejąc w maleńkiej łazieneczce, by rano udawać, że przyszła do pracy. We wczorajszym ubraniu.

Aż się wzdrygnęła.

- Rany, jak ja się cieszę, że już po wszystkim!

Wyszli w chłód nocy i Cyn naprawdę myślała, że jest po wszystkim.

Dopóki nie zobaczyła ogrodzenia.

Rozdział siódmy

- Jake, ja mam lęk wysokości - szepnęła nerwowo.

Cały teren terminala był ogrodzony, a brama opatrzona ciężkimi kłódkami. Jake odciągnął Cyn od bramy, kierując się w cienisty zaułek. Im bliżej płotu podchodzili, tym zdawał się większy. Musiał mieć ze dwa i pół metra.

- Ty pierwsza.

Gdzie się podziała jej brawura? Czy w zachęcających do działania książkach wspominali coś o wspinaniu się w spódnicę na dwuipółmetrowe ogrodzenie?

- Ja się tam nie wdrapię. Powiedziałam ci już, że mam lęk wysokości.

- To jak zamierzasz się stąd wydostać?

- Ja, no...

Wykonał niecierpliwy gest kciukiem.

- Do góry.

- O Boże, mam na sobie spódnicę. Rajstopy...

- Już podarte. No, ruszaj.

Uniosła stopę, gdy coś ją zastanowiło.

- Czy to ogrodzenie nie jest pod napięciem?

- Nie w tej chwili.

Chwycił ją za pośladki i podsadził, niezbyt delikatnie, tak, że nie miała innego wyjścia, jak poszukać sobie w płocie miejsca na stopy i zacząć się wspinać.

Nigdy nie była w tym za dobra jako dziecko, a i z wiekiem nie przybyło jej zwinności ani odwagi. Zimne metalowe ogrodzenie wpijało jej się w palce, ocierało kolana, a sportowe buty z trudem znajdowały jakiś punkt zaczepienia. Najchętniej dałaby za wygraną i przeczekała gdzieś na tym placu do rana, ale Jake nie dał jej wyboru. Był tuż za nią - na tyle blisko, że gdyby się obsunęła, spadłaby na niego - i dopingował.

- Nie patrz w dół. Po prostu wchodź. Doskonale ci idzie.

Zimne powietrze owiewało jej nogi, przypominając o dziurze w rajstopach. Kiedy już wdrapała się niemal na szczyt, spojrzała w dół, nie pamiętając o strachu, który ta wysokość powinna u niej wywołać.

- Co robisz? - szepnęła gniewnie, widząc, że Jake zagląda jej pod spódnicę.

- Podziwiam widoki.

- To będziesz miał teraz okazję podziwiać je trochę dłużej, bo utknęłam.

Nie miała pojęcia, jak sforsować drut kolczasty, który miała na wysokości twarzy. Z dołu dobiegło ją stłumione przekleństwo, a potem odgłos szamotaniny. Jake podał jej swoją kurtkę ze skóry.

- Połóż ją na drucie kolczastym i postaraj się nie rozedrzeć.

Starając się nie myśleć i nie zerkać w dół, Cynthia delikatnie odebrała kurtkę i położyła ją na wystających kolcach.

- I co teraz?

- Wchodź. Przełóż górą jedną nogę, znajdź dla niej oparcie, a potem przełóż drugą. I nie patrz w dół.

Zaczęła szcząkać zębami. Przełknęła ślinę, przełożyła jedną nogę i zamarła.

- Dasz radę.

Jego głos był na tyle spokojny i rozważny, że lęk częściowo ją opuścił. Nie odrywając od niego wzroku i prosząc Boga o pomoc, prześlizgnęła się na drugą stronę. Trochę schodziła, trochę się zsuwała, by jak najszybciej znaleźć się na ziemi. Wreszcie zeskoczyła z łoskotem. Kiedy już poczuła grunt pod nogami, zrobiło jej się niedobrze. Pochyliła się do przodu, obolałe ramiona trzymając przy sobie i głośno dysząc.

Chwilę po niej obok skoczyła ciemna postać.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział i otulił jej ramiona swoją kurtką. - Wracajmy do domu.

- Nigdy więcej nie rób nic podobnie głupiego!
- grzmiał Jake. - Mogłaś schrzanić całą akcję! Zniszczyć miesiące pracy! Mogłaś zginąć!

- Ty też - przypomniała mu.

Teraz, kiedy byli bezpieczni, a nocna przygoda dobiegła końca, chciała się w spokoju napawać pierwszym osiągnięciem w branży szpiegowskiej. Włamała się do skrzyń w poszukiwaniu narkotyków, kryła się przed strażnikami, wspinała na wysokie ogrodzenie. Nie mówiąc już o seksie. Nic dziwnego, że była pod wrażeniem swych nocnych dokonań. Nawet wrzaski Jake'a nie były w stanie zepsuć jej tego nastroju. Popijała gorącą herbatę zaprawioną rumem, podczas gdy Jake nerwowo przemierzał pokój. Była trzecia nad ranem, ale Cynthia ani myślała iść spać.

Im bardziej Jake moralizował, tym większa rosła w niej złość. Wreszcie nie wytrzymała.

- To po co mam tam pracować, skoro nie pozwalasz mi robić nic poza księgowaniem faktur?

- Masz przeglądać księgi i szukać w nich niezgodności. Masz...

- Księgi są czyste, Jake. Już ci to mówiłam. Trzeba szukać gdzie indziej. Tylko nie wiem gdzie. Gdybym znalazła narkotyki, moglibyśmy...

- My nie szukamy narkotyków. - Jego twarz była czerwona, gdy wyrósł tuż przed nią. - Ja szukam narkotyków. A ty siedzisz w swoim biurze i nie mieszasz się.

Gdyby nie to, że w jego głosie wyczuła niekłamana troskę, walnęłaby go w nos.

Zwróciła jednak uwagę na coś innego. Uderzyła ją myśl, która od dłuższego już czasu musiała kołatać się w podświadomości: Jake zawsze mówił w liczbie pojedynczej. Nigdy też nie widziała innych pracowników FBI. Coś było nie tak.

Obserwując go uważnie, powiedziała:

- Zawsze myślałam, że FBI pracuje zespołowo.

- O czym ty mówisz?

- O tobie. Powiedziałeś „ja szukam narkotyków, ja się tym zajmuję”. W telewizji agenci FBI zawsze pracują parami albo zespołowo.

Teraz zrobił się purpurowy, a jego spojrzenie uciekło w bok.

- Nie wierz we wszystko, co mówią w telewizji.

Może była amatorką, ale nie była głupia. Mogła przysiąc, że coś ukrywa.

- Ty działasz sam?

W mgnieniu oka zainteresował się swoim kciukiem.

- To tajne.

Odczekała chwilę.

- A może powinnam zadzwonić do FBI i poprosić do telefonu twoją szefową? Może ona mi powie?

- On - poprawił Jake machinalnie, podnosząc wysoko głowę. - Ani mi się waż tam dzwonić!

- Dlaczego nie?

- Bo to nie twój interes.

- Jestem podatnikiem. I to jest jak najbardziej mój interes.

Skrzywił twarz w grymasie.

- Daj temu spokój, Cyn.

- Ani mi się śni. - Potrząsnęła głową.

Zapadła cisza.

- Z kim zamierzasz rozmawiać o trzeciej rano?

- Zostawię wiadomość.

Podniosła się i poszła do kuchni po książkę telefoniczną. Wracając kartkowała ją już pod „F”. Zerknęła na Jake'a, by się upewnić, czy ją obserwuje. Wpatrywał się w nią uważnie.

- Zobaczmy, Farnsworth, Finkleman, och, za daleko...

- Jestem na urlopie - jęknął znużony.

Wpatrywała się w numer Finklemana, kiedy dotarło do niej ciche wyznanie Jake'a. Książka telefoniczna z łoskotem upadła na podłogę.

- Co?

Nigdy nie widziała, by Jake Wheeler choćby w najmniejszym stopniu stracił nad sobą kontrolę - chyba że w łóżku, ale o tym nie chciała myśleć. Wyglądał teraz jak człowiek, który przestał panować nad sytuacją. Krążył po pokoju, mierzwiąc włosy, aż zmieniły się w kruczoczarne kołtuny.

- To coś w rodzaju urlopu.

- Na urlopie to się gra w golfa, wędkuje, nurkuje albo wyleguje w hamaku, pisząc pamiętniki. Na urlopie nie pracuje się nad żadną sprawą. Nie wierzę ci.

Cynthia schyliła się, podniosła znowu pękatą książkę telefoniczną i usadowiła na kanapie, pokazując, że naprawdę nie żartuje. Podszedł wolno i usiadł obok niej.

- Dobrze, to nie jest typowy urlop. Jestem na zwolnieniu lekarskim dla odciążenia stresu.

- Stresu?

Wspaniale! Najpierw Walter, mięczak bez popędu, a teraz Jake, doskonały w łóżku, tyle że oszust albo wariat. Ukryła twarz w dłoniach.

Położył swą ciężką, ciepłą dłoń na jej stopie, wspartej na kanapie. Była bardzo wzburzona, ale ten kontakt uzmysłowił jej ponownie, że nawet jeśli miał nie po kolei w głowie, był doskonałym kochankiem. I ufała mu.

Była zaszokowana tą ostatnią myślą, ale to prawda. Ufała mu. Wystarczająco mocno, by porzucić długoletnią pracę i postawić na szali swoją przyszłość, choć zaczynała wątpić, czy rzeczywiście aż tak wiele ryzykowała. Może ten cały przemyt to jego urojenia. Może nie tylko ona ma wybujałą wyobraźnię.

- Może lepiej wytłumaczę - powiedział to tak, jakby wolał raczej zjeść potłuczone szkło.

- W porządku.

Tak naprawdę, to wcale nie chciała rozmawiać, widziała jednak, że chce jej coś powiedzieć, a ponieważ zwykle nie był zbyt rozmowny, postanowiła go wysłuchać.

- Jeden z naszych agentów został zabity - oświadczył wreszcie, a jego słowa zgasiły zapał Cynthii jak kubek lodowatej wody.

- Zabity?

- Dostał się do załogi kutra rybackiego, na którego pokładzie naszym zdaniem szmuglowano kokainę. - Jake wziął głęboki wdech, a potem powoli wypuścił powietrze. Cyn przyglądała mu się. - Hank był moim przyjacielem.

- Co się stało?

Zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić po pokoju.

- Znaleźli go zaplątanego w sieć rybacką. Utonął. Wyglądało na wypadek.

Na jego twarzy malowały się złość i niedowierzenie.

- Twoim zdaniem to nie był wypadek?

- Nie był taki głupi ani lekkomyślny. Został zamordowany.

Dreszcz wstrząsnął jej piersią.

- A co Oceanic ma wspólnego z twoim przyjacielem?

- Możliwe, że nic. - Wzruszył ramionami. - Przypadki zdarzają się również i w moim fachu. Ale po przeszukaniu jego mieszkania wiedziałem, że to nie był wypadek.

- Wyglądało na splądrowane?

- Nie, było czyściutko.

- Czyściutko?

O Boże, jemu naprawdę odbiło! Jeszcze trochę i skończy w talk show „Kobieta żadna seksu z psychologami”, albo coś w tym rodzaju.

Jake przemierzył pokój i poprawił obraz Picassa, który powiesił na bordowej ścianie. Podobała jej się ekspresja chaotycznych linii i zdeformowane kształty kobiety, ale pewnie nawet nie zauważył, co zawierała rama obrazu, który bezwiednie wyprostował.

- Zbyt czysto. Hank był bałaganiarzem. Jednak jego mieszkanie było wysprzątane. Tak dokładnie, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Może ma dziewczynę lubiącą porządek.

Jake delikatnie przesunął łokciem obraz w prawo.

- Sprawdziłem dwa razy. Nie miał dziewczyny. Ani służącej.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego...

- Ponownie przeszukałem jego rzeczy. I wtedy znalazłem wizytówkę Oceanic.

I cała ta operacja szpiegowska była prowadzona na podstawie jednej wizytówki?

- W mojej torebce jest pełno wizytówek Oceanic. I co z tego?

Dał spokój obrazowi i znowu zaczął chodzić po pokoju.

- Ty tam pracujesz. Ale dlaczego Hank miał taką wizytówkę? Znalazłem ją w podszewce torby turystycznej. Która zresztą też była czysta i schludna. - Wypowiedział to tak, jakby się z nią sprzeczał. - Skarpetki zrolowane, portfel w idealnym porządku. Mówię ci, ktoś tam grzebał. Ale przeoczyli tę wizytówkę, ponieważ nie chcieli wzbudzać podejrzeń i ciąć po kawałku tej torby tak, jak ja.

Cynthia poczuła mrowienie w żołądku

- Czy na tej wizytówce było coś napisane?

Potrząsnął głową.

- Był profesjonalistą i nie nosiłby przy sobie niczego podejrzanego na wypadek, gdyby został złapany. Mogło być milion powodów, dla których trzymał tę wizytówkę w torbie. Większość zupełnie niewinnych.

- Ale twoim zdaniem miał jakiś poważny powód?

- Nie wiem. - Usłyszała, jak bardzo denerwowała go ta niewiedza. - Ta wizytówka jest jedyną poszlaką, jaką mam. Oficjalnie śmierć Hanka potraktowano jak wypadek. Mieliśmy pewne informacje o handlu narkotykami,

ale żadna się nie potwierdziła. Mój szef zgadza się z tobą, że jedna wizytówka nie może być podstawą do wszczęcia dochodzenia przeciwko Oceanic. - Jake odwrócił się do niej z ponurym wyrazem twarzy. - Oficjalnie nie mam żadnego wsparcia.

- A nieoficjalnie?

Skrzywił się w uśmiechu.

- Moje zwolnienie lekarskie może w każdej chwili dobiec końca. Wszyscy chcemy ich dopaść, Cyn. Gdybym znalazł niezbite dowody, załatwilibyśmy Oceanic na cacy.

- I do tego potrzebujesz mnie.

Czuła, że mówi prawdę. Jedna osoba już nie żyła. To nie zabawa. Jake wybrał ją do pomocy. Nigdy nie miała w sobie więcej energii. Żyła pełnią życia.

- Posłuchaj, moim zdaniem powinniśmy o tym porozmawiać... - powiedział bardzo cicho.

- Nie odtrącaj mnie, Jake. Jestem jedynym członkiem twojego zespołu. I jestem po twojej stronie.

Stanowili wspaniały zespół, zarówno zawodowo jak i prywatnie. Tylko że on jeszcze o tym nie wiedział. Potarł dłonią po twarzy. Ból, który próbował ukryć, rozdzierał jej serce.

- To ja zwerbowałem Hanka do tego zadania. Zginął przeze mnie. Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się tobie.

- To przecież nie ty go zabiłeś. Miał wybór, podobnie jak ja. I nic mi się nie stanie. Nie będę więcej węszyć, przyrzekam.

Podeszła i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia. Odsunął się.

- Już późno. Prześpij się trochę. Przyjdę jutro.

Ruszył w kierunku drzwi.

- Nie odchodź. - Serce bolało ją od żalu, który przepełniał Jake'a, którym nie chciał lub nie mógł się podzielić. Przystanął, ale nie odwrócił się do niej. - Przykro mi z powodu twojego przyjaciela - powiedziała ciepło, podchodząc bliżej.

Objęła go w pół. Ani drgnął, sztywny i nieruchomy w jej ramionach.

- Muszę iść.

- Nie, nie musisz.

Położyła dłoń na jego policzku, pokrytym szorstkim, ciemnym zarostem. Mięśnie twarzy ani drgnęły, za to kiedy przesunęła kciukiem po jego szczęce, poczuła jak rośnie jej własny puls. Potrzebował jej, a ona potrzebowała jego! Ta myśl dodała jej odwagi - wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Zostań u mnie na noc - wyszeptała w jego nieruchome wargi.

- Nie.

- Tak - powiedziała miękko i przesunęła językiem po jego dolnej wardze.

Jego usta zadrżały. Była pełna czułości, wiedząc, że pod tą żelazną maską kryje się potrzeba otuchy. Jak to możliwe, że ona bała się tego człowieka? Był silny i szlachetny, i walczył o szczytne cele.

- Przestań!

Nie da rady. Fakt, że tego wieczoru nie znaleźli nic podejrzanego, tylko potęgował frustrację, która trawiła Jake'a od chwili, gdy wspomniał o Hanku. Jeżeli szybko nie znajdzie paru mocnych dowodów, śmierć Hanka pozostanie nierozwiązana, a mordercy na wolności. Nie pozwoli Żądnej Wrażeń Cyn wykorzystać się do fantazji seksualnej numer pięćdziesiąt trzy.

- Nie będę dzisiaj odgrywał roli z jakiegoś zбочzonego pisma. Mógłbym cię skrzywdzić.

- Nie skrzywdziłbyś mnie.

Wpatrywał się w nią. Jej zielone oczy były tak duże i ufne. Jej policzki oblewał rumieniec, a oddech rwał się. Zawisło nad nimi coś potężnego, aura złości, namiętności, winy i pożądania. Powinien pójść do domu i wziąć zimny prysznic, dopóki mógł. Wykonał taki ruch, jakby chciał ją odepchnąć, po czym wydał z siebie ni to westchnienie, ni to jęk, i zamiast odepchnąć, przytulił ją do siebie. Jego wargi szczelnie przywarły do jej warg, chwytając ją w pułapkę gniewnej namiętności. Wpił się w jej usta bardziej z pasją niż z czułością. Robił, co w jego mocy, by ją zniechęcić. Chwytał ją za uda i przycisnął do siebie tak, by mogła poczuć jego wzwód.

Jeżeli chciała go powstrzymać, powinna to zrobić jak najszybciej. Zamiast jednak się wyrwać, zdawała się dopasowywać do jego nastroju. Obejmowała go mocno, ocierając się o jego pobudzonego penisa.

- Potrzebuję cię - jęknął.

- O, tak.

Nie wdając się w żadne dyskusje, po prostu porwał ją w ramiona i zaniósł do sypialni, gdzie rzucił na łóżko. Potem zabrał się za rozpinanie paska.

- Dzisiejszej nocy nie będę dżentelmenem - jeszcze raz ją ostrzegł.

- Wiem.

Targające nim emocje były tak gwałtowne, że potrzeba zagłębienia się w jej miękkim, gorącym ciele była równie silna jak potrzeba złapania oddechu. Przyglądał się jej, niewinnej lisicy, jak drżącymi palcami sięga do zapięcia bluzki.

- Daj spokój. Zdejmij majtki.

Pomyślał, że może mu odmówić i posłać do diabła. Ona jednak tylko jęknęła cicho. Wytrzymała jego spojrzenie, wkładając ręce pod spódnicę i unosząc biodra, by ściągnąć podarte majtki i odrzucić je jednym płynnym, pełnym erotyzmu ruchem.

Jego czarne dżinsy wyleciały w powietrze i już po chwili był na niej.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - wymamrotał, chwytając jej kolana i podciągając do swej piersi tak, by jej spódnica znalazła się między udami a talią.

Potem wepchnął się w nią, tracąc zupełnie kontrolę nad umysłem. Czuł tylko rozkosz.

Oddawała mu wszystko, co miała. Ofiarowała mu się, scałowując z niego cierpienie za każdym razem, gdy ich usta się spotykały, głaszcząc i dotykając go wszędzie, gdy wciskał się w nią głęboko. Krzyczała, jej ciało prężyło się ku niemu, a głowa miotła się na poduszce. Doszedł. Odpłynął w czarnym wirze, który wessał go w głębiny.

I stało się coś niezwykłego. Kiedy wytrysnął w nią, kiedy patrzył na jej ciężko falującą pierś, nadal ubraną - bo za bardzo się spieszył, by ją rozebrać - poczuł, jak uchodzi z niego wzburzenie. Pocałowała go delikatnie i strumień czułości rozlał się po jego ciele. Wyglądała tak krucho, ale była silna i zdecydowana, i tak niewiarygodnie wyrozumiała.

Chciał podziękować, ale osunął się bezwładnie obok niej. Chciał powiedzieć... ale zanim zdążył w myślach dobrać słowa, zasnął.

Rozdział ósmy

Jake obudził się nagle i definitywnie. Z jałowego snu wyrwał go donośny, nieznany mu hałas. Zaniepokojony otworzył oczy i odwrócił głowę. Usłyszał stęknęcie i jakaś dłoń przesunęła się po jego ciele. Rozstawione palce gmerały daremnie w okolicach brzęczącego budzika.

Było jasne, że Cyn nie należy do rannych ptaszków. Wyglądała jak leśne zwierzę, które wychodzi z zimowego snu, ale uważa, że jeszcze za wcześnie na wiosnę.

Z litości unieruchomił budzik za nią, obserwując z uśmiechem, jak z powrotem zakopuje się w pościeli. Wierciła się, aż znalazła odpowiednie miejsce, i zwinęła się w kłębek.

Odetchnął głęboko. Było mu lżej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy i wiedział, że powinien za to podziękować Cynthii. Nie chciał rozmawiać o Hanku i o winie, której się nie pozbędzie. Najlepszą terapią, jaką mógł sobie wyobrazić, było schwywanie drani, którzy zabili mu przyjaciela. Ale Cyn była również ukojeniem. Więcej niż ukojeniem - całkowitym spokojem.

Chętnie pozwoliłby jej pospać dłużej - nie spała więcej niż trzy godziny - ale nie powinna zwracać na siebie uwagi, wracając do Oceanic. Dopóki będzie wierna obietnicy i nie przeprowadzi żadnej akcji na własną rękę, nic jej nie grozi - nadal będzie jego informatorem wewnątrz firmy.

Ostatniej nocy nie znaleźli dosłownie nic, więc być może to miejsce było jednak czyste. Nie miał już za wiele czasu na tę operację. Wiedział o tym. Adam dał mu więcej swobody, niż się spodziewał. Ale nie mogło się to ciągnąć w nieskończoność. Będzie musiał przyznać się do porażki.

Może nadszedł czas, by zaakceptować fakt, że Hanka już nie ma.

Obudził Cynthię pocałunkiem.

- Przepraszam, kochanie, ale przespałaś budzik. - Otworzyła oczy, półprzytomna, zaspana. Dopiero po chwili go zauważyła, a jej uśmiech rozweselił i jego oblicze.

- Dzień dobry.

Pocałował ją jeszcze raz, bez pośpiechu, delektując się dotykiem jej rozgrzanej skóry. Jego ciało podpowiadało mu mnóstwo różnych pomysłów na przyjemny początek dnia.

- Dzień dobry - odpowiedziała, obejmując go i ocierając się jak kotka.

Budzik podjął jeszcze jedną próbę, i Cyn z okrzykiem przerażenia usiadła na łóżku.

Oderwała jego dłonie od swoich piersi i wyskoczyła z betów.

- Przestań. Spóźnię się.

Niewysłowioną przyjemność sprawiało mu obserwowanie Cyn, wykonującej w ekspresowym tempie poranne

czynności, nadal z półprzytomnym, sennym wyrazem twarzy. Pobiegła pod prysznic, wróciła co tchu, naga i wilgotna. Znowu jej pożałał.

Seks był jednak ostatnią rzeczą, jaka jej była teraz w głowie.

- Zrobię kawy - mruknął i uciekł do kuchni, zanim zdążył narobić obojgu kłopotów.

- Mmm - powiedziała Cynthia rozmarzonym głosem, wypijając pierwszy łyk kawy. - Masz stałe zaproszenia do parzenia mi porannej kawy.

Podobało mu się, że z picia kawy potrafiła zrobić czynność naprawdę specjalną. Szczerze mówiąc, było wiele rzeczy, które mu się w tej kobiecie podobały.

- Może przyjmę tę ofertę, jeśli w pakiecie będzie również noc podobna do ostatniej.

Nie otwierała oczu, a jej policzki się zaróżowiły.

- Umowa stoi. - Teraz otworzyła oczy i wsadziła dwa kawałki ziarnistego chleba do tosterka. - Co będziesz dzisiaj robił?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Wheeler.

- Jake, tu Adam.

Dobry nastrój Jake'a wyparował jak aromatyczna mgiełka z kawy. Jeżeli dzwonił szef, to pewnie nie po to, żeby mu powiedzieć „dzień dobry”.

- Jakies postępy w sprawie Oceanic? - zapytał Adam.

Jake zamknął oczy i oparł się o bufet kuchenny, wiedząc, że będzie musiał okłamać człowieka, którego darzył szacunkiem.

- Znalazłem coś. - Wyjął fragmenty pałeczek z kieszeni.

Przy świetle dziennym wyglądały jeszcze mniej okazale niż wczoraj. - Wyślę dzisiaj próbkę do analizy.

Dzięki temu powinien zyskać kilka dodatkowych dni, ale wtedy byłoby lepiej, żeby się pokazał w biurze z czymś konkretnym. Inaczej, kiedy tam wróci, zasypie go lawina dowcipów o chińskim żarciu.

- Adam, nie mogę teraz rozmawiać.

- Nie jesteś sam?

- Nie.

Szef wydał gniewny pomruk.

- Lepiej, żeby była ładna.

- Jest ładna. - odparł Jake, obserwując jak Cynthia się czerwieni.

- Będziesz musiał wracać do swoich obowiązków, Jake. Dłużej nie dam rady cię kryć. Masz jeszcze tydzień.

- W porządku.

Kiedy skończył rozmowę, był zły, ale przecież on na miejscu Adam postąpiłby tak samo. Gdyby jeszcze powiedział mu, że tym dowodem są połamane pałeczki... Cóż, przynajmniej dawało mu to jeszcze tydzień. Będzie musiał te siedem dni jak najlepiej spożytkować.

- Złamana pałeczka ma być nową poszlaką?

Cyn znowu zaczynała podejrzewać, że coś z nim nie tak.

Jake westchnął przeciągle, zastanawiając się, czy od razu nie wyrzucić tych pałeczek do śmieci i nie przyznać się do porażki. Ale był uparty. Może tydzień wystarczy.

- Zdziwiłabyś się, ile laboratoria kryminalistyczne mogą z czegoś takiego wycisnąć. - Wpatrywał się w mały wymowny dowód. - Rodzaj drewna, pewnie też miejsce wykonania pałeczek. - Wzruszył z irytacją ramionami. - Niech to szlag. Szkoda, że nic nie znaleźliśmy.

- Masz jeszcze tydzień. Powinieneś spróbować czegoś

innego. Możesz ponownie sprawdzić to, co już raz sprawdzałeś.

- Kluczem jest Harrison. Ja to wiem. Nie mogę uwierzyć, że ten piskorz tak nam się wywinął.

- Może jest na wakacjach i wróci?

Jake pokręcił głową.

- Gdyby jego paszport został gdziekolwiek użyty, zaraz byśmy się o tym dowiedzieli. Interpol i gliniarze z Hongkongu mają go wypatrywać. Ale on zniknął.

Na miejscu Harrisona też wybrałby Hongkong. To doskonałe miejsce do załatwienia nowego paszportu i nowej tożsamości. Do licha, mając wystarczająco dużo forsy, można sobie zrobić operację plastyczną, a wtedy rodzona matka człowieka nie pozna. Teraz mógł być wszędzie.

- A co z jego domem?

- Poszedłem tam zaraz, jak opuścił miasto. Wyglądało to tak, jakby miał zaraz wrócić. Świeże mleko w lodówce, wszędzie jego rzeczy. Ciągłe działająca bateria telefonu komórkowego.

Stukała w swój kubek do kawy, czarno-białe naczynie w zygzakowate wzorki.

- Ma własne mieszkanie, czy wynajmuje?

- Wynajmuje, w śródmieściu. Słuchaj, doceniam twoją pomoc, ale...

- Jest drugi dzień miesiąca - powiedziała, spoglądając dla pewności na kalendarz.

- Powiedziałem ci, że kiedy wróci, zostaniemy powiadomieni...

- A co z czynszem? Powinien zapłacić wczoraj. Przyśłał pieniądze? Kontaktował się z właścicielem? Może w ten sposób uda nam się go namierzyć.

Przez chwilę Jake po prostu patrzył na nią, zastanawiając się, jak mógł przeoczyć tak oczywistą rzecz. Potem pochylił się, ujął jej głowę w dłonie i pocałował ją.

- Jesteś nie tylko piękna, ale i genialna.

Jej oczy błyszczały.

- Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

- Śliczna. A teraz biegnij, bo spóźnisz się do pracy.

Tost wyskoczył jak na zawołanie.

- Idę z tobą - oświadczyła Cynthia, łapiąc za masło orzechowe, które kupowała w sklepie ze zdrową żywnością, i smarując nim oba kawałki tosta.

- To zbyt niebezpieczne - odparł, ale natychmiast pożałował swych słów. Niebezpieczeństwo było jej narkotykiem z wyboru i powinien o tym pamiętać. - Niebezpiecznie nudne - sprostował pospiesznie.

Podawała mu kawałek grzanki.

- Kto z tobą idzie?

- Nikt.

- A jeśli Harrison tam będzie?

- Zadam mu kilka pytań. I tyle.

Posłała mu karzące spojrzenie, potem złapała płaszcz i torbę, i skierowała się do drzwi.

- Hej! - Zatrzymał ją w progu. - A co do ostatniej nocy...

W jej zielonych oczach pojawiło się wyczekiwanie. Spodziewała się, że znowu będzie ją pouczał, by nie napytała sobie biedy. Ale jemu nie o to chodziło. Pamiętał, jak go objęła, kiedy potrzebował pocieszenia, jak trzymała go w ramionach i jak się z nim kochała, kiedy był przepełniony bólem i żalem. Chciał ją pocałować, ale jej usta były zajęte przeżuwaniami tosta. Uniósł więc jej dłoń i pocałował.

- Dziękuję.

Wrócił do siebie, by wziąć szybki prysznic i przebrać się, po czym pojechał do budynku, w którym Harrison wynajmował mieszkanie. Po drodze zadzwonił z samochodu do biura.

- Co jest?! - warknęła słuchawka.

Jake uśmiechnął się.

- Za często chodzisz na te kursy komunikacji, Carl.

- Wheeler! Lepiej, żebyś dzwonił z informacją, kiedy wreszcie przywleciesz tu swoją ciężką dupę!

- Już niedługo. Potrzebuję cię, żeby potwierdzić, czy były księgowy Oceanic, Harrison, wrócił do USA.

Carl zaklął siarczyście.

- Mam zgłoszenie o ataku terrorystycznym, co wygląda mi na głupi żart, ale muszę je sprawdzić. Mam dwa napady na bank podobne do tamtych z Teksasu, mam sztywnego dealera narkotyków i wrzody. A ty chcesz, żebym pilnował ci jakiegoś urzędasza na wakacjach. - Jake usłyszał szelest papieru. Krzesło Carla zapiszczało, kiedy podjechał do szuflady z aktami. - Zdaje się, że wszyscy są na wakacjach - narzekał. - Poczekaj.

Przełączył linię. Jake musiał chwilę poczekać.

Przed nim wjechał w tę samą uliczkę mikrobus wyładowany po brzegi dziećmi. Pewnie jakaś wycieczka za miasto, pomyślał. Albo szkolny przewóz. Chociaż na jego doświadczone oko dzieci nie były jeszcze chyba w wieku szkolnym. Mama albo nauczycielka wyglądała dość radośnie jak na kobietę mającą na głowie całe auto maluchów. Miała krótkie rude włosy, ale nie tak błyszczące jak włosy Cyn. Wyobraził sobie Cyn z dziećmi.

Poczuł się tak, jakby właśnie dostał między oczy. Dzieci, które sobie wyobraził, były jego. Jego i Cynthii.

Musiał się zgodzić z Carlem, że za długo był na urlopie. Potrzebował mocnej dawki realizmu.

Na linii zatrzeszczało i Jake przywarł do słuchawki, tracąc z oczu mikrobus z maluchami.

- Nic. Ani śladu Harrisona. Jeżeli ponownie przekroczył granice Stanów Zjednoczonych, to użył innego paszportu.

- Dzięki, stary.

- Bez wazeliny. Wpadnij do mnie któregoś wieczora na kolację.

Telefon odezwał się znowu. Myśląc, że to Carl odzwania, wcisnął ponownie słuchawkę do ucha i jeszcze raz powiedział w kierunku mikrofonu:

- Wheeler.

- Nie jesteś zbyt wylewny. Ostrożnie, bo zjedziesz z drogi.

- Cyn? Gdzie ty jesteś?

Od razu się zorientował. Zacisnął zęby i spojrzał w lusterko wsteczne. Nietrudno ją było zlokalizować, bo jechała tuż za nim i machała radośnie. To niebieskie malutkie autko zupełnie do niej nie pasowało. Powinna mieć coś szybkiego, sportowego - jak wszystkie niegrzeczne dziewczynki, które potrafią doprowadzić człowieka do szaleństwa.

- Nie jesteś w pracy?

- Jestem. Pomagam ci. Nie mogę pozwolić ci pójść do mieszkania podejrzanego bez wsparcia.

Był poruszony i lekko rozbawiony faktem, że myślała o tym, jak go chronić.

- A więc stanowisz moje wsparcie.

- Zgadza się. - Coś w jej głosie podpowiadało mu, żeby nie wdawał się w dyskusje, więc posłuchał. - Powie-

działam Agnes, że mam wizytę u dentysty i że przyjdę później.

Mógłby się z nią kłócić, mógł na nią nawrzeszczyć, mógł kazać jej zawrócić. Jednak wiedział, że nie byłoby to wcale najlepsze rozwiązanie.

- Mógłbym cię zgubić w pięć minut.

- Nie zrobiłbyś tego.

Nie. Niestety, nie zrobiłby. Zbyt wiele jej zawdzięczał. W ciągu ostatniej nocy coś się między nimi zmieniło. Poza tym, i tak była już spóźniona. Dodatkowa godzina nie robi różnicy.

Myśl o Cyn i o wolnej godzinie w naturalny sposób skojarzyła mu się z pewną przyjemną czynnością. Wahał się przez chwilę. Jego pas był pusty, jej też. Ruch na drodze senny. A oboje byli pełnoletni. Obejrzał się - posłała mu buziaka.

- Co właściwie zamierzasz robić jako moje wsparcie? Zdaje się, że odgadła jego nastrój.

- Co ja mam zamiar robić? - To ty jesteś ekspertem. Daj mi znać, gdybyś czegokolwiek ode mnie potrzebował, bo przecież jestem tu, żeby ci służyć pomocą.

- A czego ty oczekujesz ode mnie, twojego... partnera?

Poprawił lusterko wsteczne tak, by móc ją stale obserwować.

Rozsiadła się wygodnie i posłała mu prowokujące spojrzenie, rozpalające zmysły, mimo że dzieliły ich dwie szyby.

- Chcę jeszcze jednej takiej nocy jak ta ostatnia. A właściwie, chcę ich wiele.

Dlaczego nie dziwiło go, że ta kobieta nawet słuchawkę telefoniczną traktuje jak erotyczną zabawkę?

- Świetnie. Męska obsługa nocna. Coś jeszcze?

- No, i dzienna... - Jej lubieżne westchnienie wywołało w nim spazm śmiechu.

Ruch zatrzymał się z powodu robót drogowych. Cynthia poprawiła się na fotelu, żeby przez kilka minut kontynuować tę grę.

- Jak to dzienna?

- Mam potrzeby... pragnienia... Nie zawsze można je wyregulować według zegara.

Jake mógłby przysiąc, że dyszała podniecona. Podniósł się na fotelu, próbując sam nie tracić kontroli nad oddechem.

- Panno Baxter, czy to możliwe, że próbuje pani seksu przez telefon z agentem federalnym?

- Nie jestem pewna... Tak, to prawda.

- Muszę panią ostrzec, że na służbie nie wolno nam uprawiać seksu przez telefon.

- Pomijając fakt, że jesteś na zwolnieniu, czy nie powinieneś zrobić sobie przerwy na kawę?

- Myślę, że mógłbym się na chwilę odprężyć - przyznał, ostrożnie przystępując do jej gry.

Spojrzał ponownie w lusterko, zastanawiając się, czy ona w ogóle ma pojęcie, jak bardzo był w tej chwili spięty. Zamilkła i Jake zaczął sobie wyobrażać różne mniej lub bardziej wyuzdane scenariusze, które rodziły się w jej głowie, ale w słuchawce panowała absolutna cisza.

- Jesteś tam? - zapytał wreszcie.

- Tak - odparła z wahaniem. - Chodzi po prostu o to, że ja nigdy nie zabawiałam się przez telefon i nie wiem za bardzo, jak zacząć.

Cholera, znowu to samo! W jednej chwili lisica, w następnej łania. Chciałby się wreszcie przekonać, która z tych ról jest udawana.

- Moim zdaniem, nieźle ci idzie.

- Masz na myśli, że...?

- Gdybyś przy mnie teraz siedziała, wiedziałabyś, co mam na myśli.

- To znaczy, że... mhm.

- Mam wzwód, jeśli o to chciałaś zapytać.

Westchnęła, jakby wyszeptał jej właśnie do ucha miłosne wyznanie. Brzmiało aż tak niewinnie? Jeżeli pragnęła mocniejszych słów, to je dostanie!

- A wiesz, co zamierzam zrobić z tym wzwodem?

- zapytał.

W lusterku wstecznym widział, jak kręci głową, zanim zdążyła powiedzieć:

- Nie.

- Powiem ci, co zrobię.

I w czasie, gdy dziewczyna kierująca ruchem zdążyła wypalić papierosa, Jake przystąpił do swej opowieści, używając dosadnego słownictwa i wymyślając scenariusze, których realizacja byłaby możliwa chyba tylko wówczas, gdyby człowiek był z gumy.

- Och, przestań - roześmiała się Cyn, ale w jej śmiechu było niecierpliwie wyczekiwanie na ciąg dalszy.

- Nie możesz robić takich rzeczy w szybowcu, bo zginiesz.

- Ale zginę z uśmiechem na ustach.

- Ja też - szepnęła.

Ich spojrzenia krzyżowały się na dłuższą chwilę i nie mógł się nadziwić, że dzielące ich szyby nie stopiły się.

Samochody ruszyły. Jake był na tyle przytomny, by zjechać następnym zjazdem. Cyn podążyła za nim. Trzymała się go, aż podjechał na parking i zgasił silnik. Zaparkowała obok i wysiadła, rozglądając się

z zagadkową miną. Opuścił szybę, a ona pochyliła się nad nią.

- To jakieś centrum handlowe.

- Naprawdę? Tak mną zakręciłaś, że zapomniałem, dokąd jadę. - Uśmiechnął się, unosząc brwi. - Wskakuj. Nie ma sensu tłuc się dwoma autami.

Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera, a ona szybko usadowiła się obok niego.

- No więc, dokąd...

Nigdy nie skończyła tego zdania. Wziął ją w ramiona i pocałował tak błyskawicznie, że nie zdążyła nawet zamknąć oczu. On też nie zamykał, obserwując w jej spojrzeniu to, co się z nią działo. Jej szeroko rozwarte i nieruchome źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej - delikatne i uległe. Pachniała jak trzeba, smakowała jak trzeba, reagowała jak trzeba. Zatracił się, kiedy lekka przystawka zamieniła się w sutą ucztę.

Ocknął się na dźwięk klaksonu. To w końcu podmiejskie centrum handlowe przed południem a nie jakiś zakątek rozkoszy. Dobrze byłoby się w takim miejscu teraz znaleźć, pomyślał wycofując samochód.

- Co to właściwie miało znaczyć? - zapytała niepewnie.

- Działanie maskujące.

- Działanie maskujące?

Gdzieś głęboko na dnie jej zdumiewająco zielonych oczu zabłysła grzeszna myśl.

- Powiedziałaś, że wybierasz się do dentysty. Teraz możesz powiedzieć z absolutnym przekonaniem, że twoje usta są przebadane.

- A czy jakiś ząb potrzebuje leczenia?

- O, tak. Jeden będąc musiał później wypełnić. - Par-

sknęła śmiechem, a on uśmiechnął się szeroko, usiadł na swoim fotelu i uruchomił silnik. - Chyba użyję do tego mojego wiertła.

- Nie mam czasu na zabawę w dentystę.

- Wyglądało mi na to, że stan tego zęba wymaga szybkiego działania - powiedział, gdy jego palce wspinały się po jej udzie.

Cyn odepchnęła dłoń Jake'a i założyła nogę na nogę. Co tylko poprawiło mu widok.

- Myślę, że powinieneś na chwilę wyłączyć swoje wiertło. Bo ci się zużyje.

Próbowała zachować powagę, ale szło jej to z trudem. Wreszcie się poddała i uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Dokąd jedziemy?

- Do Buena Vista Garden Apartments. To kosztowny apartament w stylu kalifornijskim, w którym ostatnio zamieszkiwał niejaki Harrison.

- Spodziewasz się go tam zastać?

- Sprawdziłem dziś rano. Z pewnością nie wrócił do USA na własny paszport.

- Wiem, ale musiał zapłacić czynsz. Może wrócił pod innym nazwiskiem.

- Cóż - westchnął ciężko, kiedy wjechali na parking dla gości przed Buena Vista Garden Apartments - to będzie strata czasu. Wiesz, co ci powiem? Ty tu na mnie poczekał, a ja spróbuję tę sprawę błyskawicznie załatwić. Potem odwiozę cię do biura.

- Nawet o tym nie myśl - oświadczyła, otwierając drzwi samochodu.

A więc żadne chwytły nie działają. Przyłączył się do niej i oboje ruszyli do budynku.

- W porządku, idziemy razem, ale ja będę gadał. Jasne?
- Mhm. Jestem tylko twoim wsparciem.

Przewrócił oczami.

- Co ty powiesz?! - Postukał palcem w miejsce pod węzłem krawata, który uciskał go w grdykę. - Cholerny krawat. Nienawidzę takich rzeczy.

- To po co je nosisz?

- Ze względu na dozorcę budynku. To starszy jego-
mość.

Po upewnieniu się, że odznaka wisi u klamry pasa w sposób widoczny, a kabura z bronią jest na swoim miejscu, zadzwonił do drzwi i przedstawił się.

Dozorca pojawił się od razu. Kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia, otarł z ust jakieś okruchy i wyprostował się.

- Przepraszam pana za kłopot - powiedział Jake.

- Byłem tu wcześniej w związku z panem Harrisonem, w apartamencie 408.

Mężczyzna pokiwał energicznie głową.

- Tak, pamiętam. Przyszedł pan po jego nowy adres?

- Nowy adres?

- Tak. Wyprowadził się.

Jake wziął głęboki oddech, z trudem zachowując spokój na twarzy.

- Z tego co pamiętam, obiecał pan zadzwonić, jak tylko Harrison się pojawi.

- Nie pojawił się. Przysłał kilku przyjaciół z pisemnym upoważnieniem.

Jake z trudem powstrzymał się od wybuchu gniewu. Zaklął w duchu. Wystarczył jeden telefon od tego ciecica i pewnie już dawno namierzyliby Harrisona, śledząc tych jego „przyjaciół”. Wrzeszczenie na takiego tetryka nie miało jednak sensu.

- Czy nadal ma pan to pismo? - odezwał się z wymuszonym spokojem.

- Oczywiście. - Stary człowiek wyprężył pierś, jakby spodziewał się medalu za zachowanie listu, gdy tymczasem pozwolił uciec kluczowemu podejrzanemu. - Proszę wejść.

Jake cofnął się, by przepuścić Cyn.

- Pani też jest z FBI?

- To moja współpracownica, pani Smith - powiedziała szybko Jake, zanim Cyn zdążyła podać swoje prawdziwe nazwisko.

- Miło mi. - Podała dozorczy dłoń. - Panna Smith.

- Czy ma pan coś jeszcze? Ich nazwiska? Pokazali jakieś dowody tożsamości? - zapytał Jake.

- Nie. Pismo od pana Harrisona wyglądało jak trzeba, porównałem tylko jego podpis z umową najmu. Zapłacili gotówką za następny miesiąc, ze względu na jedno-miesięczne wypowiedzenie. Udokumentowałem tę transakcję i mogę panu pokazać potwierdzenie. Wszystko zgodnie z przepisami. - tłumaczył mężczyzna nerwowo.

- Nie wątpię. Czy możemy rzucić okiem na to mieszkanie? - zapytał Jake.

- Jest zajęte. Wynająłem je młodej, sympatycznej parze.

I już po odciskach, które „przyjaciele” mogli zostawić! Winda na korytarzu ruszyła z gniewnym pomrukiem.

- Czy Harrison zostawił nowy adres do korespondencji?

Mężczyzna skwapliwie zaprzeczył.

- Ta sama skrzynka pocztowa w Hongkongu, co na liście od niego.

Z windy wyszła starsza kobieta, ściskająca szarą

torebkę. Mijając ich, ukłoniła się sztywno dozorczy. Z zaciekawieniem przypatrywała się Jake'owi i Cynthii.

- Ten list będzie mi potrzebny. Do swoich potrzeb może pan zachować kserokopię, a kiedy uporamy się z tą sprawą, zwrócimy oryginał - powiedział Jake.

- Oczywiście, oczywiście.

Nerwowość dozorczy minęła. Teraz był po prostu zadowolony, że uczestniczy w śledztwie FBI. Kiedy przechodzili z holu do niewielkiego kantorka, Jake zastanawiał się, kto mógł zabrać rzeczy Harrisona. I dokąd. Mogło to nie mieć ze sprawą najmniejszego związku, ale przecucie mówiło mu co innego.

Jake przyglądał się, jak pulchne palce dozorczy otwierają niezamkniętą na klucz metalową gablotę i kartkują stos dokumentów. Naraz na twarzy mężczyzny pojawiło się napięcie. Jeszcze raz przejrzał papiery, tym razem wolniej, by potrząsnąć gwałtownie głową.

- Nie rozumiem. To pismo powinno tu być. - Podniósł wzrok, pot zrosił mu twarz. - Żona musiała je gdzieś przełożyć. Proszę tu poczekać, zapytam ją.

Jake skinął głową, wiedząc, że pismo wcale się nie zawieruszyło. Zniknęło na potwierdzenie faktu, że miało jednak związek ze sprawą.

Kilka minut później szarpanie dozorczy wyrwało ze snu malutką, korpulentną kobietę. Powtórzył się proces bezowocnego poszukiwania zaginionego dokumentu.

- Nie rozumiem - wykrzyknęła na koniec.

Małe, duszne pomieszczenie biurowe było wyposażone tylko w dwa krzesła i błyskawicznie robiło się w nim tłoczno. Jake chciał już wyjść, żegnając się z ostatnim tropem, gdy „panna Smith” zaproponowała z życzliwym uśmiechem:

- Może przejdziemy do państwa i na chwilę usiądziemy?

- Tak. Zrobię kawę - zaofiarowała się żona.

Jake spojrzął na Cyn, ale ona zbyła go zdawkowym uśmiechem. Oj, dostanie za swoje!

- Co ty wyrabiasz? - zażądał wyjaśnień gniewnym półgłosem, kiedy przemierzali hol w kierunku mieszkania zarządcy.

- Deprymujesz ich. Jeżeli się rozluźnią, może coś sobie przypomną.

Boże, broń przed amatorami!

Cała czwórka siedziała na wymuskanych krzesłach w stylu kolonialnym i popijała herbatę z chińskich filiżanek. Na ciemnym stoliku stał półmisek starannie ułożonych kruchych ciasteczek, ale nikt się nie częstował. Jeżeli tylko uda im się stąd wydostać w tym stuleciu, panna Smith nieźle oberwie.

- A teraz - odezwała się Cyn - proszę nam powiedzieć wszystko, co sobie przypominacie z wizyty tamtych ludzi.

- No, więc - zaczęła żona - byli w marynarkach i wyglądali na miłych biznesmenów.

- Jakiego wzrostu? - zapytał Jake.

Miał poczucie, że to beznadziejne, ale postanowił, że spróbuje zdobyć przy tej herbatce jakieś użyteczne informacje.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Średniego. Byli zupełnie przeciętni, naprawdę. Och, byłabym zapomniała: jeden z nich miał włosy na dłoniach.

Ta informacja załatwiała sprawę.

- Dziękuję za poświęcony nam czas. - Jake podniósł się i chwycił Cyn za łokieć, by i ją postawić na nogi. Para starsuszków również wstała. - Jeżeli cokolwiek się państwu przypomni, proszę do mnie dzwonić. O każdej porze dnia i nocy. - Wręczył im wizytówkę.

- Dziękuję. Herbata była wyborna - powiedziała Cyn.

Uśmiechnęła się do gospodarzy tak, jakby właśnie pomogli im rozwiązać dziesięć najtrudniejszych dla FBI spraw.

- Nie ma za co, skarbie. To miłe spotkać dobrze wychowanych młodych ludzi. Mamy zadzwonić, kiedy ci ludzie wrócą po samochód pana Harrisona?

Rozdział dziewiąty

- Samochód?

- Tak - potwierdził dozorca. - Nie mieli upoważnienia na to auto ani kluczyków, więc nie mogliśmy im wydać pojazdu pana Harrisona. Powiedzieli, że wróca.

Cyn i Jake spojrzeli po sobie.

- Chcę zajrzeć do tego samochodu.

- Jasne. Tędy. - Dozorca poprowadził ich wyjściem ewakuacyjnym na klatkę schodową, prowadzącą na niestrzeżony podziemny parking. - Auto pana Harrisona jest tam, to złote.

Jake od razu je zauważył. Złoty lexus sedan. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Złoty lexus z uchylonymi drzwiami od strony kierowcy. Jakiś młodociany cwaniaczek w sportowym obuwiu próbował uruchomić samochód Harrisona, skręcając kable zapłonowe.

Nie słyszał ich. Jake uśmiechnął się szelmowsko. Za chwilę dojdzie do przesłuchania podejrzanego numer jeden, czy sobie tego życzył, czy nie. Wyciągnął swojego

gnata, nakazał Cynthii zostać z tyłu. i bezszelestnie zbliżył się do samochodu.

- Hej - krzyknął dozorca, zanim Jake zdążył go powstrzymać. - Odejdź od tego auta!

Z wnętrza samochodu wychyliła się raptownie głowa młodego mężczyzny o długich włosach.

- FBI, nie ruszaj się! - wrzasnął Jake. widząc, że chłopak ma broń. - Na ziemię! - krzyknął tym razem do dozorca, złapał Cyn i wypchnął na schody.

Kiedy skoczył pod ścianę klatki schodowej, usłyszał warkot silnika. Upadł, przycupnął i wymierzył w tył samochodu. Zapiszczały opony. Łobuz nacisnął gaz do dechy i ruszył prosto na niego.

Jake skrył się za jedną z cementowych kolumn. Gdzieś nad głową usłyszał głuchy odgłos rozpryskującego się pocisku. Wyskoczył i oddał strzał, zanim lexus zdążył wydostać się zakosami z garażu.

Musiał dobiec do swojego samochodu.

- Nie ruszaj się stąd - wrzasnął do Cyn, żałując, że nie miał czasu związać jej w mieszkaniu dozorca i uchronić przed kłopotami.

Jake wypadł z podziemnego garażu i ruszył w kierunku auta. Cyn wydostała się głównym wejściem i, stukając przeraźliwie szpilem o chodnik, w kusej spódnicy odslaniającej uda, również popędziła w to samo miejsce.

- Nie! - wrzasnął Jake, ale nie miał czasu na kłótnie ani rękoczynny.

Boże, to najbardziej uparta kobieta, jaką stworzyłeś! Biegli co sił w nogach, a Cyn wcale nie odstawała. Odblokował pilotem automatyczny zamek, a ona otworzyła drzwi od strony pasażera, zanim jeszcze zdążył wskoczyć na siedzenie kierowcy.

- Pojechał w prawo - wysapała, kiedy z piskiem opon wyskoczyli z parkingu dla gości.

- Jesteś szalona - oświadczył. - Wiesz o tym?

- Mogę cię pilotować.

- Zapnij pas i trzymaj się.

- Teraz skręca w lewo. Trzy ulice przed nami.

Widzieli przed sobą niewyraźny, błyszczący kształt i słyszeli pisk opon na zakręcie.

- Zadzwoń po gliniarzy. Powiedz im, że FBI prosi o wsparcie. Podaj im lokalizację i opis pojazdu. Wygląda na to, że kieruje się na autostradę.

Podczas gdy ona przekopywała torebkę w poszukiwaniu telefonu, on skoncentrował się na jeździe. Starał się nie tracić kontaktu wzrokowego z lexusem i nie prowokować dzieciaka, by ten nie zrobił czegoś głupiego. Już samo obserwowanie samochodu wymagało od niego szaleńczej pogoni po spokojnych ulicach. Jakaś ciężarówka zaczęła się wytaczać z boku, ale przeciągły dźwięk klaksonu Jake'a zatrzymał ją.

Kiedy Cyn skończyła rozmawiać przez telefon, zauważył, że jej oddech, zamiast się uspokoić, stał się szybszy. Musiał ją mocno wystraszyć.

- Trzymaj się, mała - powiedział łagodnie, kiedy udało im się wziąć zakręt, nie odrywając kół od jezdni.

- Tego chłopaka trzeba złapać. Trzeba się dowiedzieć, kto stał za wyprowadzką Harrisona.

Daleko przed nimi lexus wykonał kolejny gwałtowny zwrot. Jake nie słyszał syren. Nie próbował żadnych ryzykownych manewrów, ale dystans między samochodami zaczął maleć. Wpadł w ten sam zakręt co lexus kilka chwil wcześniej.

- Cholera! - wrzasnął Jake.

- Jake, stój! - niemal równocześnie zawołała Cyn.

Ale on już naciskał na hamulec. Opony zawyły i auto zatrzymało się gwałtownie. Przed nimi przechodziły dzieci ze szkoły. Zaklął znowu w poczuciu bezradności. Złoty lexus skręcił raptownie w następną aleję.

- No, prędzej, prędzej! - popędzał ostatniego maruderę, małą dziewczynkę w czerwonym płaszczyku i tego samego koloru butach, która nie nadażała za klasą.

Widział, jak nauczyciel ją pogania i musiał to chyba robić zbyt natarczywie, bo upuściła woreczek z drugim śniadaniem. Kiedy nauczyciel podniósł wreszcie kanapki, a jej udało się dotrzeć na drugą stronę, Jake wiedział już, że pościg dobiegł końca.

- Może złapie go policja - powiedziała Cyn bez tchu, kiedy wjechali w opustoszałą aleję.

- Tak, może. Chyba że nie pojechał wcale na autostradę.

Przez najbliższe pół godziny krążyli po okolicy w nadziei, że dojrzą gdzieś skradzionego lexusa, ale nie mieli szczęścia. Wreszcie musieli przyznać się do porażki.

- Odwiozę cię do twojego samochodu.

- Powinieneś wrócić i aresztować tego dozorcę - powiedziała, a jej głos odzwierciedlał całą jego frustrację.

- Dobrze się spisałaś - oświadczył.

Kiedy wracali pod centrum handlowe, zauważył, że jej oddech nadal był przyspieszony. Może nie była wcale tak twarda, jak myślał.

- Hej, już po wszystkim - pocieszył ją.

Wyciągnął rękę, by ją pocieszyć, i poczuł, że cała płonie. Zerknął na jej rozpalone policzki i szeroko rozwarłte oczy. Wsunął dłoń między jej uda.

- Ty się wcale nie boisz. Jesteś po prostu napalona.

- Przepraszam - westchnęła. - Nic na to nie poradzę.

- To adrenalina. Różnie na ludzi działa - wyjaśnił. Zamiast jednak wyjąć dłoń spomiędzy jej ud, wcisnął ją jeszcze głębiej. - Niebezpieczeństwo cię rajcuje.

- A ciebie nie? - wyszeptwała.

W odpowiedzi ujął jej lewą dłoń i położył na swoim kroczu. Tak prawdę mówiąc, nie był to wpływ adrenaliny, lecz reakcja na jej podniecenie.

Spojrzała na niego namiętnie.

- Muszę wrócić do domu i wziąć prysznic.

Prysznic. Ciepła woda obmywająca kaskadami jej nagą skórę, perląca się na jej sutkach. Kawałek mydła w jego rękach.

- Możemy wykąpać się wspólnie.

- Czy prowadzenie samochodu jedną ręką nie jest niebezpieczne?

- Nie tak niebezpieczne, jak jazda z niedotlenionym mózgiem. Cała krew odpłynęła mi gdzieś w dół.

Wchodząc jeszcze tego ranka do budynku Oceanic, Cynthia czuła się jak kryminalistka, która wymknęła się stąd w środku nocy przez ogrodzenie.

Wszystko było po staremu. Znużona recepcjonistka malowała długie na cal paznokcie, przeglądając żurnal dla młodych panien. Praca Cyn była monotonna jak zawsze, a Agnes szara jak zwykle.

Po rannych wrazeniach, których kulminacyjnym punktem okazał się prysznic, jakiego jeszcze nigdy nie brała, nawet ciężki w księgowości koniec miesiąca nie popsuje jej samopoczucia. Starła się koncentrować na swojej pracy, ale już samo przebywanie w Oceanic przywodziło jej na myśl wydarzenia ostatniej nocy.

Wizje seksu w magazynie ciągle pojawiały się między

szeregami liczb na ekranie komputera i znowu zapomniała, co było do zrobienia. Dopadło ją przerażające przeświadczenie, że jakiś przedmiot - ślad namiętności - mógł zostać między skrzyniami. Szminka, a może coś z ubrania.

Wiedziała, że dopóki tego nie sprawdzi, nie będzie mogła spokojnie pracować. W końcu znalazła wymówkę, żeby wrócić do magazynu. Wybrała taki moment, kiedy ludzie zwykle robili sobie przerwę na lunch. Wślizgnęła się tam, próbując zachować spokój. Gdyby ci faceci wiedzieli, co ona tam ostatniej nocy wyprawiała!

Tak, jak się spodziewała, wszyscy siedzieli przy odra-panym stole, przeżuając kanapki i siorbiąc wodę mineralną. Z rechotu, który usłyszała zaraz przy wejściu, domyśliła się, że ktoś opowiadał jakiś sprośny dowcip.

- Cześć, Cyn! Wyglądasz bombowo!

Może i w tych ciuchach wyglądała bombowo, ale marzła. Poza tym miała nieprzyjemne uczucie, że sutki jej piersi sterczą z zimna. Bluzka była zrobiona z jakiegoś obcisłego materiału w szaro-czarne geometryczne wzory. Nałożyła ją, kiedy stwierdziła, że czarne rajstopy są do niczego, a w górnej szufladzie komody znalazła tylko paczkę pończoch w takie właśnie wzory. Dopasowała jeszcze do kompletu równie ekstrawagancie kolczyki z galerii sztuki i krótką, ciemną, obcisłą spódniczkę.

- Dzięki. Fajna czapeczka baseballowa. - Roześmiali się serdecznie. - Muszę coś sprawdzić. - Zamachała fakturą.

Nikogo to nie obchodziło, zwłaszcza że mieli przerwę. Poszła między skrzynie, pudła i jakieś urządzenia, w teatralny sposób odczytując opisy na niektórych dostawach

i porównując je ze swoją fakturą. Wreszcie dotarła do skrzyni, którą ostatniej nocy przeszukiwali z Jake'em.

Na szczęście wyglądała na nietkniętą. Zrobiła jeszcze jeden krok i jej spojrzenie powędrowało w dół, w miejsce, w którym się kochali. Dalej nie szła z obawy przed tamtym szczurem.

Rozluźniła mięśnie ramion. Nigdzie nie zauważyła żadnej zagubionej szminki ani bielizny. Jednak na posadzce dostrzegła kawałek pomiętego papieru z oderwanym rogiem.

Przyjrzała mu się bliżej i aż oczy wyszły jej z wrażenia na wierzch. To skrawek opakowania, który odciął Jake, by zawinąć weń rozłupane pałeczki. Gdyby ktoś go zobaczył, zaczęłby się zastanawiać, skąd się tu wziął, i mógłby dojść do wniosku, że pewnie ktoś dobierał się do skrzyni.

Oblał ją zimny pot.

W kącie magazynu był pojemnik na śmieci. Może uda jej się zmiąć ten strzępek i wyrzucić. Wszyscy byli zajęci dowcipkowaniem i pogaduszkami. Nikt się nie zorientuje. Schyliła się i podniosła go. Zaszleścił w jej dłoni, kiedy go mięła.

- No proszę. Cynthia! Pani ponętne biodra rozpoznałbym wszędzie - dobiegł ją z tyłu donośny głos Neville'a Percivalda.

Ogarnęła ją panika. Zakołysała prowokująco biodrami, starając się improwizować. Jednocześnie nerwowym ruchem wepchnęła papier pod drewnianą paletę.

Wyprostowała się i odwróciła, posyłając Neville'owi najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki ją było stać. Zrewanżował się stonowanym uśmiechem prezentera telewizyjnego.

- Wykonuje pani jakieś ćwiczenia, moja droga? - zapytał, spoglądając na nią jak prawdziwy dżentelmen.

- Nie - zachichotała i spuściła oczy. Patrząc na jego reakcję, doszła do wniosku, że była w tym naprawdę niezła. - Poprawiałam pończochy. - Wydeła usta najmocniej jak potrafiła. - Trochę mi się przesunęły.

Ruszyła w jego kierunku, oddalając się możliwie najbardziej od skrzyni, którą otwierali z Jake'em.

Neville nie spuszczał oka z jej nóg.

- Rozumiem, co ma pani na myśli - powiedział, gdy stanęła przed nim. - Może ja pomogę. - I zanim zdążyła się zorientować, już klęczał u jej stóp, gładząc po nogach.

W pierwszej chwili chciała go kopnąć w podbródek, tak by odcisnąć na nim elegancką klamerkę przy bucie, ale powstrzymała się. Nie przestała się nawet uśmiechać, choć robiła to z zaciśniętymi zębami.

Podniósł się, a na jego policzkach pojawiły się lekkie rumieńce.

- Co panią tu dziś ponownie sprowadza?

Nadarzała się okazja wydobyć z niego informacji, wypytania w taki sposób, że nawet się nie spostrzeże. Jake'owi został już tylko tydzień, więc nie mogła przepuścić żadnej sposobności.

Posłała Neville'owi nieśmiały uśmieszek.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy liczba skrzyń z tej dostawy zgadza się z fakturą, to wszystko.

Między brwiami Neville'a pojawiła się zmarszczka.

- Od tego są ci chłopcy, moja droga. Pani nie musi liczyć skrzyń.

Znowu zachichotała. Boże, sama sobie zaczynała już działać na nerwy. Jak mężczyźni mogą wytrzymywać z takimi kobietami? Ale na Neville'a to działało. Na jego oblicze wrócił stonowany uśmiech.

- Wiem, że nie muszę, ale wyglądało na to, że w komputerze coś nie gra. To pewnie moja wina.

Percivald oparł się swobodnie o skrzynię.

- Wspaniale jest mieć kogoś tak sumiennego i pełnego poświęcenia.

- Cóż, staram się. Jestem tylko wszystkiego ciekawa. -I to była jej szansa. Będzie miała oczy i uszy otwarte na każde drżenie głosu, na każdą nieopatrznie wypowiedzianą wskazówkę. - To znaczy, dlaczego zdecydował się pan sprowadzać... - zamachała w nieokreślony sposób rękami - ...pałeczki z Ameryki Południowej?

Uśmiechnął się do niej i założył ręce na piersi.

- Taka strategia firmy. Drzewa południowoamerykańskie rosną szybciej ze względu na klimat, jak pani wie, a ponieważ tamtejszy pieniądz został zdevaluowany, dostajemy bardzo dobre ceny. Potem sprzedajemy te same pałeczki naszym klientom w Stanach i nieźle na tym wychodzimy.

- Och.

Była zawiedziona. Spodziewała się, że Neville zacznie coś kręcić, ale jego wyjaśnienie naprawdę miało sens.

Po wydarzeniach ostatniej nocy chciała doprowadzić zabójców Hanka przez wymiar sprawiedliwości tak samo jak Jake. Ale coraz bardziej prawdopodobne wydawało się, że szukali nie tam, gdzie trzeba. Nic nie wskazywało na to, by Oceanic prowadził aż tak ciemne interesy. Były tu pewne nieprawidłowości, ale nic podpadającego pod kodeks karny.

Program emerytalno-rentowy firmy, na przykład, był do kitu. Mieli tylu emerytów, że program się nie bilansował, a zarząd musiał się ostro gimnastykować, żeby obciążenia nie pogrążyły firmy. Wątpiła, czy w funduszu

emerytalnym jest wystarczająco dużo pieniędzy na zabezpieczenie emerytur osób takich jak Agnes, kiedy nadejdzie ich pora. Gdyby Cynthia zdecydowała się zostać w tej firmie dłużej, musiałaby pomóc kierownictwu poprawić system finansowania świadczeń.

Nie było to równie emocjonujące jak chwywanie przestępców, pomyślała z westchnieniem, ale jako księgowa była naprawdę dobra. Wiedziała, że potrafiłaby im pomóc. Dopiero wtedy mogłaby opuścić Oceanic z podniesioną głową.

Zmieniła taktykę.

- Pańskie statki muszą pływać po całym świecie. Uważam, że to strasznie ekscytujące. Zawsze chciałam podróżować. - Przynajmniej to było prawdą.

- I pewnie chciałyby pani przeżyć wiele przygód.

Nie chciała rozmawiać o wymagowanych przygodach. Potrzebowała informacji na temat statków. Szczerze mówiąc, nie sądziła, by Neville był aż tak naiwny.

- Czy one naprawdę płyną po całym świecie?

- Nasze statki? - Aha! Czy to tylko wymysł jej wyobraźni, czy na jego twarzy pojawił się wyraz przebiegłości? Znowu się uśmiechnął. - Nie mamy własnej floty. Wynajmujemy firmy przewozowe, które własnymi statkami wożą nasze towary.

Cynthia zmarszczyła czoło.

- Ale jestem pewna, że w aktywach firmy widziałam jakiś statek.

- O, była pani bardzo pilna. Zapewne chodzi o „Pacific Princess”, jacht wycieczkowy, którym zwykle zabieramy naszych klientów na ryby. Będzie pani miała okazję zobaczyć go w następane wakacje, kiedy wypłyniemy

w doroczny rejs dla personelu. Chyba że będzie pani grzeczna i zorganizuję niedługo jakiś rejs tylko dla nas.

A niech to!

Jej zapał jeszcze raz został ostudzony. "Pacific Princess" nie był najwyraźniej trawlerem, na który zaciągnął się przyjaciel Jake'a - na swoją zgubę.

Gdyby tylko mogła znaleźć jakiś dowód, cokolwiek...

Neville spojrzał na zegarek. O, nie! Trzeba coś wymyślić, by podtrzymać rozmowę. Musi się czegoś dowiedzieć, nawet gdyby miała to z niego wytrząsać.

- Ja naprawdę chcę zrozumieć mechanizm działania tej firmy. Będę bardzo wdzięczna, jeśli zechce mi pan go wyjaśnić - adorowała go.

Wyprężył pierś jak tokująca mewa.

- Z przyjemnością. Muszę teraz pędzić na spotkanie, ale mógłbym odpowiedzieć na pani wszystkie pytania, gdy znajdziemy trochę wolnego czasu.

Zrobiła tę swoją smutną minę.

- Byłoby wspaniale.

- Powiedzmy, w sobotę wieczorem podczas kolacji?

Mimowolnie cofnęła się o krok, zawadzając biodrem o ostrą krawędź jakiejś skrzyni.

- Podczas kolacji? - Musiała odchrząknąć. - W sobotę wieczorem? - No, przecież chciała go wziąć na spytki, czyż nie? - Och. jasne. Dziękuję.

Wracała do biura osłupiała, plując sobie przez całą drogę w brodę, że się nie wykręciła. Nie chciała iść w sobotę na randkę z Neville'em Percivaldem. Chciała się umówić z Jake'em.

Jednakże parę godzin niezakończonego spotkania z Neville'em Percivaldem mogło zaowocować zdobyciem pożytecznych dla FBI informacji. Nie chciała oczywiście

Neville'a uwodzić, niezależnie od tego, że Jake ją kiedyś do tego namawiał. Kiedy jednak po paru drinkach jej szef się rozluźni, może zdradzi jakieś tajemnice.

Zastanawiała się, co Jake powie na tę „randkę” z Neville'em. Gdyby kilka tygodni temu ktoś jej powiedział, że będzie o nią zabiegać dwóch mężczyzn, roześmiałyby mu się w twarz.

Opadła na krzesło za biurkiem i zauważyła, że na automatycznej sekretarce ma nową wiadomość. Odsłuchiwała ją i aż stęknęła.

Zabiegało o nią trzech mężczyzn.

Walter też zapraszał ją w sobotę na kolację.

Ukryła głowę w dłoniach.

- Nie mogę się umawiać z trzema mężczyznami!
- jęknęła żałośnie, na głos.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, Cynthio - pokornie zaczęła Agnes, przerywając jej rozmyślenia.

- Nie, jeśli nie chcesz umówić się ze mną na randkę.

- O, to doskonały pomysł - zachichotała radośnie Agnes. - Cóż, zdaje się, że w pewnym sensie przyszłam tu właśnie w tej sprawie. Chodzi mi o nasze wyjście do fryzjera. Zamówiłaś wizytę?

- Fryzjer. A, tak! Jasne, że zamówiłam. Przyjadę po ciebie w sobotę rano.

- Cudownie. Czuję się jak... ach, nieważne.

- Agnes, usłyszałem twój głos.

W progu za Agnes stanął starszy mężczyzna, którego Cyn nie znała.

Cyn przyglądała się transformacji, jakiej ulega twarz Agnes. Zrobiła się czerwona, potem biała jak kreda. Drżącą ręką poprawiła swe mysioszare włosy, po czym jej rysy znowu przybrały wyraz pokory. Odwróciła się i powiedziała:

- Cześć, George. Nie spodziewaliśmy się ciebie w tym tygodniu.

- Musiałem się upewnić, czy nie uciekłaś z jakimś marynarzem, kiedy mnie nie było - wypalił przybysz dźwięcznym głosem.

Agnes uśmiechnęła się w ten swój smutny sposób.

- Naprawdę, George?

A więc to był ojczym Neville'a. Cyn spodobało się jego spojrzenie. Przypominało jej pewnego aktora brytyjskiego, z tą jego siwizną, wojskowym wąsikiem, przenikliwym spojrzeniem błękitnych oczu - znacznie głębszym niż Neville'a - i ogorzałym obliczem. Jego ubranie było starannie dobrane, a maniery dworskie. Miał w sobie tę osobowość i energię, której brakowało Agnes. I, o ile Cynthia się nie myliła, biedna kobieta darzyła tego mężczyznę głębokim uczuciem.

- Kto kto?

Agnes odsunęła się, by Percivald senior mógł wejść do środka z wyciągniętą w powitalnym geście ręką.

- Jestem Cynthia Baxter - odpowiedziała, odruchowo podając do uścisku swą dłoń.

- Hmm? A gdzie jest Harrison?

- Zdaje się, że w Hongkongu. Dostałam tę pracę po nim, więc go nie znam.

- Hongkong? A dlaczego? Pewnie z powodu jakiejś kobiety - odpowiedział na własne pytanie. - Cóż, to był dobry człowiek, ale twój widok sprawia oczom większą przyjemność.

Puścił do niej oko, a ona odpowiedziała uśmiechem. Był dużo starszy, ale polubiła Percivalda seniora bardziej niż jego oziębłego pasierba.

- A gdzie jest Percivald junior?

Ponieważ Agnes wpatrywała się w niego jak w obraz i myślami była zupełnie gdzie indziej, odpowiedzi udzieliła Cyn:

- Neville? Zdaje się, że na spotkaniu.

- Aha. Cóż, poczekam zatem w jego biurze. Agnes, moja droga, zlitujesz się nad starym, samotnym człowiekiem i pozwolisz się zaprosić w sobotę na kolację?

- Hmm? Och, tak. Dziękuję.

- W porządku. To ja znikam.

Cynthia z trudem powstrzymała swoje emocje, dopóki Percivald senior nie odszedł na bezpieczną odległość.

- Agnes! Ty to masz tajemnice!

- Nie mam żadnych tajemnic, choć bardzo bym chciała mieć.

- Ale przecież dopiero co wierna kopia Laurence'a Oliviera umówiła się z tobą na randkę.

- Co? Och, nie - westchnęła smutno. - Kiedy jest w Seattle, zwykle zaprasza mnie na kolację. Opowiadam mu różne rzeczy. To trochę tak, jakby umawiał się na randkę z Oceanic. - Jej głos załamał się. - Zazwyczaj prosi mnie o rady dotyczące swojej aktualnej przyjaciółki.

- Aktualnej przyjaciółki? To ile ich było?

Agnes uśmiechnęła się słabo.

- Straciłam rachubę.

- Ale to... podłe! Przecież ty go kochasz. Każdy głupiec by to zauważył.

Na skórze Agnes pojawiły się różowe wypryski.

- Kocham go? To niedorzeczne...

Opadła na jedyne w gabinecie Cynthii krzesło dla interesantów i rozpłakała się.

Cynthia zamknęła drzwi i wyciągnęła paczkę chusteczek.

- On mnie nawet nie zauważa. Przez te wszystkie lata

byłam jedyną osobą, której ufał, z którą omawiał różne sprawy. Pomogłam mu się pozbierać po śmierci żony. I czekałam. Miałam nadzieję, że kiedyś... - Szlochała spazmatycznie. - Równie dobrze mogłabym być biurowym meblem.

Po raz kolejny Cyn doznała przygnębiającego wrażenia, że to mogła być ona, gdyby jej życie nie uległo nagłej zmianie. Może dla Agnes było już za późno?

- Agnes, czas, by Percivald dowiedział się, co do niego czujesz.

- Przecież on myśli, że jestem tylko żalowaną, starą kobietą.

- Rozpaczliwe położenie wymaga rozpaczliwych działań.

Agnes westchnęła.

- Wytoczymy największe działa.

Agnes pociągnęła nosem.

- Tu chodzi już nie tylko o zmianę wyglądu.

Agnes dmuchnęła w chusteczkę.

- Musimy sprawić, by Percivald cię zauważył - zobaczył w tobie atrakcyjną kobietę.

- Nie widział we mnie atrakcyjnej kobiety trzydzieści lat temu, to jak mam mu się spodobać teraz?

- Seks. - Cynthia zignorowała wybuch zdławionego śmiechu Agnes. - Chodzi tylko o seks.

- Ale seks jest taki... - Agnes wzdrygnęła się lekko, przywołując Cynthii obraz Waltera.

- Okropny? Nie musi taki być. Ja też przez to przechodziłam.

Agnes otworzyła szeroko oczy.

- Ty też przez to... Ale ty jesteś taka... Daruj, że to mówię, ale ty jesteś taka... seksowna!

Cynthia nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Spójrz na to - powiedziała, wyciągając swoje prawo jazdy. - Wiesz, kto to jest?

Agnes przetarła oczy, zanim przyjrzała się małej fotografii.

- Tak wyglądałam, kiedy byłam młoda.

- To ja.

- Przestań stroić sobie ze mnie żarty w takiej chwili.

- Mówię poważnie, Agnes. Spójrz na to zdjęcie i na nazwisko w prawie jazdy. Zmieniłam wygląd i tyle. Ale oprócz tego zafundowałam też sobie nowe podejście do życia.

I trochę szalonego seksu, chciała dodać, ale postanowiła oszczędzić swej nowej przyjaciółce nadmiaru wrażeń. Może napiszą z Percivaldem seniorem "ich własny erotyczny scenariusz prowadzący do orgii niewyobrażalnych orgazmów"? On pewnie byłby wniebowzięty, mogąc odegrać rolę w większości z gier proponowanych w "Raunch". Najważniejsze, by Agnes nabrała wiary w siebie i uwierzyła, że to możliwe.

Skoro Jake Wheeler nie mógł się oprzeć Cynthii Baxter, wszystko było możliwe.

- No dalej, Agnes. W sobotę zrobimy ci nową fryzurę i nowy image. Znam taki... sklep, do którego musisz zajrzeć.

Zdecydowała nie zdradzać na razie, że chodzi o sex-shop ani tego, że kupią tamten numer "Raunch". Cyn i tak się tam wybierała. Musiała sobie kupić parę drobiazgów.

Rozdział dziesiąty

Cynthia przejechała bez pośpiechu koło domu Jake'a. Ciemno i głucho - dziwne. Kiedy wracała z pracy, jego samochód stał zawsze zaparkowany na podjeździe. A niech to! Musiała się z nim zobaczyć, żeby zdać relację z tego, co się wydarzyło. Że podejrzany zaprosił ją na kolację.

Och, kogo ona chciała oszukać? Po prostu chciała się z nim zobaczyć.

Nawet przez chwilę nie sądziła, by informacja o randce z Neville'em mogła wzbudzić w nim zazdrość. Jeśli jednak... Uśmiechnęła się powoli. Następnym razem, kiedy przyjdzie mu ochota się z nią zobaczyć, będzie musiał się wcześniej zapowiedzieć.

Tak, jej nijakie życie naprawdę nabrało wyrazu. Neville zaprosił ją na kolację w sobotę, a kiedy oddzwoniła do Waltera, dowiedziała się, że zamierza ją zabrać do restauracji, o której zawsze marzyła - również w sobotni wieczór.

Już sam fakt, że i Walter widział w niej teraz kobietę,

którą się zabiera do drogich restauracji, a nie kuchennego kocmołucha, wystarczył, by Cynthia mu wybaczyła i życzyła szczęścia. Zgodziła się na kolację w niedzielę. Miała teraz dwie randki w jeden weekend, z dwoma różnymi mężczyznami.

Jedyny szkopuł w tym, że mężczyzna, z którym naprawdę chciała się spotkać, nie zapraszał jej. Zdała sobie sprawę, że Jake nigdy jej nigdzie nie zaprosił. Jasne, że należał do facetów, którzy działali pod wpływem impulsu, ale czasem mógłby dać jej znać, że będzie chciał się z nią zobaczyć.

Na przykład w tym momencie mógł po ciemku czekać u niej w domu, z zamiarem zaskoczenia jej jakąś nową fantazją seksualną, nie zadając nawet pytania, czy i ona ma na to ochotę. Pociągnęła nosem oburzona i na ostatnich metrach przyspieszyła.

W oknie pani Lawrence poruszyła się zasłonka, więc Cyn pomachała ręką wiedząc, że każdy jej przyjazd jest przez sąsiadkę uważnie obserwowany.

W napięciu otworzyła drzwi i unieruchomiła alarm. Gdzie on się mógł ukryć? Jakież lubieżne atrakcje przygotował? Ale podniecenie szybko osłabło, gdy pospieszny obchód domu nie wykazał jego obecności. Jake'a tu nie było.

Wobec tego, dobrze. W końcu nie była na jego zawołanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Spokojna noc w domu - tego właśnie potrzebowała. Zrobi sobie omlet i wcześniej położy się do łóżka. A może nawet trochę wymoczy w wannie.

Powinna chyba sprawdzić nagrane wiadomości jeszcze przed kolacją.

Nie było żadnych.

Poczuła się nieswojo. Miała dla Jake'a ważną informację. Główny podejrzany zaprosił ją na randkę.

Pewnie powinna mieć na sobie podsłuch!

Takie rzeczy wymagają planowania.

Ogryzała przez chwilę paznokiec, zastanawiając się, czy to kwalifikuje się jako nagły wypadek. W sobotni wieczór nadarza się okazja dowiedzieć się czegoś od obu Percivaldów, seniora i juniora. Nałoży coś wystrzałowego i dzięki zręcznie zadawanym pytaniom wyciągnie od nich mniej lub bardziej przydatne wskazówki. Czas uciekał, musiał nastąpić przełom.

Dzwonienie do Jake'a i zgłaszanie nagłego przypadku byłoby lekką przesadą. Mimo wszystko chciałyby się z nim zobaczyć. Potrzebowała tylko wiarygodnej wymówki, by do niego pójść. Zastanawiała się przez chwilę i nagle doznała olśnienia. Czy nie wspominał ostatnio o cieście? Odwróciła się do półki z książką kucharską. Była kobietą, która sama nadawała kształt własnemu życiu, więc tym razem ona wykona pierwszy krok, i po krzyku.

Kiedy ciasto się piekło, zrobiła sobie omlet, wiedząc, że nie może opaść z sił, dopóki nie zrealizuje swoich zamiarów.

Mmm. Nie mogła uwierzyć, że znowu myśli o seksie. Jej ciało było jeszcze w niektórych miejscach obolałe po ostatnich eskapadach, ale wystarczyło, że wyobraziła sobie dotyk Jake'a, a zaczynała drzeć z pożądania. Czuła się jak ktoś, kto długi czas głodował i kiedy widzi jedzenie, nie potrafi się opanować.

Wpadała w seksualny nałóg.

Wzruszyła ramionami. No to co? Nikogo w ten sposób nie krzywdziła. Przynajmniej na razie. Wiedziała, że musi

się przygotować na dużą dawkę cierpienia, kiedy sprawa Oceanic dobiegnie końca i agent specjalny Wheeler zajmie się innym zadaniem.

Znała cenę i nie zamierzała się uskarżać. W ciągu tych paru tygodni miała więcej rozrywki niż przez trzydzieści parę lat razem wziętych. Nie będzie lamentować, kiedy ta szalona zabawa dobiegnie końca. Zamierza wykorzystać każdą chwilę pasji i namiętności, która jej jeszcze została. A jeżeli będzie miała złamane serce, cóż, warto zaznać tego bólu choćby dla cudownych wspomnień.

Może jej serce na tym ucierpi, ale, do licha, zamierzała sprawić, by i jemu zostało trochę niepowtarzalnych wspomnień. Dzisiejszy wieczór zdawał się stwarzać po temu doskonałą okazję.

Poszła do sypialni i drżąc już z podniecenia, nałożyła frywolną bieliznę. Zdaje się, że Jake takie właśnie figi lubił. Ciekawe, jak zareaguje na gorset, który jeszcze kilka tygodni temu był dla niej jedynie teatralnym rekwizytem.

Umyła zęby, poprawiła włosy i nałożyła delikatny makijaż. Rozpyliła w powietrzu perfumy i przeszła przez aromatyczny obłok. Na koniec nałożyła krótką, obcisłą sukienkę, mającą w sobie mniej więcej tyle subtelności co tatuaż z napisem: „Weź mnie!”.

Mrucząc sobie jakąś melodię, wyjęła ciasto i sprawdziła na zegarze, czy nadeszła odpowiednia pora. Poczekała, aż pani Lawrence zejdzie z posterunku, by obejrzeć teleturniej „Va bank”. Nie żeby Cynthia miała coś przeciwko pogawędkom ze starszą sąsiadką, bo zwykle je lubiła. Nie chciała po prostu, by staruszka za bardzo wypytywała o rozkład jej wieczornych zajęć.

Jej strategia okazała się skuteczna. Kiedy owinięta

płaszczem zapukała do drzwi sąsiadki, pani Lawrence od razu się zjawiła. Udawała zaskoczoną przybyciem Cyn, jak gdyby nie obserwowała jej od chwili wyjścia z domu.

- Witaj, Cynthio!

- Dobry wieczór, pani Lawrence. Mam prośbę. Upiekłam ciasto dla naszego nowego sąsiada, ale nie ma go w domu. Czy nadal ma pani ten zapasowy klucz od pani Jorgensen?

- Dobry Boże, zupełnie o nim zapomniałam. Tak, skarbie, mam. Wejdz. Przyniosę go.

- Dziękuję.

Weszła, nie zdejmując płaszcza. Nie chciała, żeby pani Lawrence oglądała jej wyzywającą kreację. Ten widok przeznaczony był tylko dla Jake'a.

- Pomyślałam, że zostawię mu to ciasto na stole w kuchni jako niespodziankę.

Cóż, przynajmniej częściowo była to prawda, próbowała się usprawiedliwić przed samą sobą. Tyle że niespodzianka miała się składać z dwóch części. Ciasto było pierwszą, a Cyn drugą. Jake nie mógł narzekać na uczynność sąsiadów.

- To taki miły młody człowiek. - powiedziała pani Lawrence, wracając z kluczem. - Wyczyścił mi któregoś dnia rynny, a potem ucieliśmy sobie pogawędkę. Zadawał mnóstwo pytań na pani temat. - Oczy starej kobiety rozblęskły. - Zdaje się, że on się panią interesuje.

- Pytał o mnie? - Cyn odwzajemniła uśmiech, mając nadzieję, że aparat słuchowy pani Lawrence nie wyłapał zgrzytania zębami. - Ale o co?

- Wypytywał przede wszystkim o innych mężczyzn, z którymi widywała się pani w przeszłości. Oczywiście oświadczyłam mu, że nie interesuję się tym, co robią sąsiedzi.

- Dziękuję.

Podąła kobiecie prawą dłoń, balansując ciastem na lewej. To byłoby po prostu straszne, gdyby sąsiadka powiedziała mu prawdę. Ze nigdy nie odwiedził jej żaden inny mężczyzna poza Walterem.

Z otwartych drzwi wejściowych dobiegł skowyt psa.

- To Gruber. Nie lubi oglądać „Va bank” w samotności.

Jakby na potwierdzenie słów pani Lawrence z telewizora doleciały znajome dźwięki czołówki tego programu.

- Pójdę już. Klucz oddam jutro.

Cynthia pokonała niewielką odległość do domu Jake'a i weszła frontowym wejściem, dziękując Bogu, że nie miał żadnego systemu alarmowego. Była prawie pewna, że nic nie wiedział o zapasowym kluczu u pani Lawrence.

Postawiła ciasto na ladzie w kuchni, zastanawiając się, kiedy się za nie ziorą. Rozważała pomysł rozebrania się i zaczekania w jego łóżku, ale wtedy odpadłby efekt z jej seksowną nową sukienką i bielizną. Rozsiadła się więc wygodnie na skórzanej kanapie w salonie. Czekać tu na niego po ciemku? Ale kiedy on wróci? Ściągnęła żaluzje, zapaliła światło i zajęła się czytaniem gazety. Już dawno nie sprawdzała notowań giełdowych.

Pomijając szelest gazety i skrzywienie typowe dla starego domu, wszędzie panowała cisza. Kiedy już się zorientowała, ile są warte jej akcje, wróciła do wiadomości ogólnych, by zatrzymać się na artykule o zamordowanym właśnie lokalnym handlarzu narkotyków. Zwykle pomijała tego typu nieprzyjemne doniesienia, ale ostatnio zaczęła się interesować handlem narkotykami. Według gazety nazywał się Dominic Torreo i Cynthia mogłaby przysiąc, że gdzieś już się z tym nazwiskiem zetknęła. Ale gdzie?

Usłyszała jakiś odgłos. To samochód skręcający na podjazd przed domem Jake'a. Wyłączyła światło i czekała. Jak zareaguje na jej widok? Co sobie pomyśli? Nastawiła uszu, ale nic nie słyszała. Nie wchodził. Może powinna go poszukać.

Nagle krzyknęła z przerażenia. Usłyszała groźny, metaliczny szczęk i poczuła na skroni ucisk zimnego, cylindrycznego przedmiotu. Odskoczyła jak najdalej, a z jej ust wydobył się jeszcze jeden krzyk.

- Jake, to ja.

- Cyn? - Opuścił broń.

- O mój Boże, Jake. Ale mnie przestraszyłeś!

- Mało brakowało, a odstrzeliłbym ci głowę. Co ty tu robisz?

- Upiekłam ci ciasto.

- A więc stąd ten zapach. - Zapalił światło i przyjrzał się jej uważnie. Jego spojrzenie zatrzymało się na sukience. Przełknął ślinę, a kiedy ponownie przemówił, jego głos brzmiał bardziej ochryple. - A to twój fartuszek?

Oblizła wargi, mając nadzieję, że robi to z wdziękiem i że bardziej przypomina ponętną gwiazdę z Hollywood niż spragnioną jaszczurkę na pustyni Gobi.

- Nie. - Podniosła się powoli. - Chcę tylko, by spełniły się twoje fantazje.

Jake przypatrywał jej się wprawdzie z kamienną twarzą, ale ona wiedziała, że pod tą maską cały aż kipi. Ponownie oblizła usta, tym razem wolniej i bardziej zmysłowo. Potem odważyła się obejrzeć go sobie od stóp do głów. Bardzo jej się ten widok podobał.

- Masz jakąś fantazję? - zapytała Cyn z pozorną pewnością siebie.

Starła się przypomnieć sobie wszystkie fantazje

z „Raunch”, nawet te dla seksualnych orłów, mając nadzieję, że będzie potrafiła odtworzyć całe scenariusze.

Zbliżył się o krok.

- O, tak - przyznał powoli głosem barwy równie nieokreślonej, jak stara whisky. - Mam fantazję. - Wyciągnął ręce przed siebie i położył jej na ramionach. Czuła żar przenikający jej cienką, jedwabną sukienkę. - Miewam tę fantazję niemal codziennie.

Zaczyna się, pomyślała, mając nadzieję, że chodzi o scenariusz, który ostatnio czytała.

Tym razem odezwał się głosem bardzo stanowczym:

- Mam taką fantazję, że nadchodzi dzień, kiedy robisz, co ci mówię. - Jeszcze mocniej ścisnęła przeguby jej dłoni. - Wyobrażam sobie, że słuchasz moich poleceń. Na przykład, że trzymasz się z dala od mojego domu. - O rany. Sprawy szły zupełnie nie tak, jak to sobie zaplanowała. Przysunął swe marsowe oblicze ku niej. - I że przestajesz węszyć po firmie - tak perwersyjna jest moja fantazja!

Ręce by jej opadły, gdyby nie obawa, że piersi wbiłyby się przez to jeszcze mocniej w gorset. Musiała go za mocno ściągnąć. Teraz, kiedy jej serce biło jak szalone, z trudem łapała oddech.

Tym razem, gdy zwilżyła językiem wargi, zrobiła to z tylko nerwów.

- Wydarzyło się coś ważnego.

Jego dłonie jeszcze mocniej zacisnęły się na jej nadgarstkach.

- Gdybym nie poczuł zapachu czekolady, najpierw bym cię uszkodził, a potem zapytał o zdanie. Nie chcę cię skrzywdzić, Cyn. Nie ciebie.

- Przepraszam.

Widziała na jego twarzy prawdziwą troskę. Zależało mu na niej. Nie wiedziała, jak bardzo, ale na pewno zależało. Powinna była zdawać sobie sprawę, że on inaczej traktuje niezapowiedziane odwiedziny. Następnym razem na pewno najpierw zadzwoni.

- Co to za nagły wypadek?

- Neville Percivald zaprosił mnie na kolację - wyrwało się jej. Nie tak zamierzała mu o tym powiedzieć.

- Włamałaś się do mojego domu, żeby mi powiedzieć, że jakiś palant zaprosił cię na kolację?

- Nie jakiś palant! Myślałam, że on...

- I dałaś mu kosza, tak? - przerwał jej.

- Nie.

Nie wyglądał na zadowolonego.

- Powiedz, że mu odmówiłaś.

- Zgodziłam się - oświadczyła odważnie. - To podejrzany. Mogłabym wziąć ze sobą mikrofon.

W jego błękitnych oczach pojawiło się rozbawienie.

- I co byś z nim zrobiła?

"Wsadziłabym ci w tyłek" nie było chyba najwłaściwszą odpowiedzią, chociaż jako pierwsze przyszło jej do głowy.

- Skłoniłabym go do mówienia i zdobyła dowody winy, a ty byś go aresztował.

- Wyskakując z furgonetki „Pralnia Chemiczna” zaparkowanej dokładnie przed wejściem?

Podniosła brodę do góry i przymrużyła oczy.

- Tak się to robi w filmach.

Atmosfera zmieniała się. Jego palce zluzowały uścisk i zaczęły masować jej nadgarstki.

- Jeżeli zbierzesz dowody winy, mając na sobie mikrofon, będę cię musiał przesłuchać.

Położył nacisk na słowo „przesłuchać” i oczom Cyn ukazał się obraz Jake'a przykładającego ucho do najbardziej intymnych części jej ciała. Spojrzała na niego i stwierdziła, że to nie żarty, bo w jego oczach pojawił się niepokojący błysk. Jej serce zaczęło bić mocniej.

- A już ja potrafię przesłuchiwać świeżo zwerbowanych agentów.

- Naprawdę? - Jej głos był cienki i słaby jak westchnienie.

- Po pierwsze, muszę dostać aparaturę podsłuchową z powrotem. - Przesunął jednym palcem po koronkowej oblamówce dekoltu sukienki, kierując go w zagłębienie między jej piersiami.

- Mogłabym pójść do toalety i ją zdjąć.

Pokręcił głową.

- W sądzie by to nie przeszło. Ktoś mógłby podmienić dowody. Nie, ani na chwilę nie mógłbym cię spuścić z oka - dopiero po zdjęciu kabli, przesłuchaniu i kontroli osobistej.

- Kontroli osobistej? - podniosła głos.

Skinał głową z powagą, ale też z tym niepokojącym błyskiem, który działał na nią jak zapłon na mieszankę wybuchową w silniku.

- Ten fragment zwykle w filmach pomijają.

Zaschło jej w gardle.

- To prawda, nigdy tego nie widziałam.

- A moje kontrole osobiste są bardzo dokładne. Pod tym względem jestem precyzyjny jak aptekarz.

- Czego właściwie będziesz szukał?

- Nie wiem, dopóki nie znajdę. I dlatego ta kontrola musi być taka dokładna. Może teraz zrobimy próbę na sucho, żebyś miała czas zastanowić się nad rezygnacją z akcji.

Na sucho? Wolne żarty! Była mokra już na samą myśl o tym, co będzie robił z jej nagim ciałem. A lubieżny uśmiezek czający się w kącikach jego ust nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Jak to się stało, że znowu był górą? Postanowiła tak łatwo się nie poddawać. Znowu uniosła podbródek.

- Ale ja nie mam na sobie żadnych kabli.

- Jesteś pewna? - Przyłożył palec wskazujący poniżej jej piersi i przesunął po drucianym usztywniaczu stanika.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, a sutki stwardniały, jak wielkie krople gotowe do spijania.

O technikach seksualnych tego mężczyzny wiedziała przynajmniej tyle, że nigdy nie dawał jej tego, czego chciała, gdy tego naprawdę chciała. Zgodnie z oczekiwaniami zignorował jej piersi, a jego palce zajęły się guzikami sukienki. Och, rozpinął guziki, jak dobrze! Wszystkie, oprócz jednego, tego na piersiach, który najbardziej pragnął zostać rozpięty.

- Kiedy masz na sobie podsłuch, najważniejsze, żeby nie okazywać zdenerwowania ani emocji. - Jake rozpiął ostatni guzik, a ona przełknęła głośno ślinę. - Ty tego nie okazujesz, tak?

- Hmm?

- Zdenerwowania... ani emocji? - Przyłożył dłoń do jej piersi, by wyczuć bicie serca, które waliło jak młotem. - Trochę szybko - mruknął wyraźnie ubawiony. - Może się położysz?

- O, tak. - To naprawdę bardzo dobry pomysł.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę. Drewniane schody skrzypiały i trzeszczały, kiedy się po nich wspinali. Pragnęła go tak bardzo, że najchętniej pobiegłaby co tchu, jednocześnie zrywając z siebie ubranie. Jednak jakaś

dziwna wstydlivość powstrzymała ją. A poza tym odgrywali przecież jego fantazję. Musiała to wreszcie przyznać: ten mężczyzna lubił gry na własnych zasadach. Wiedziała jednak z całą pewnością, że on zawsze się upewni, czy i jej to sprawia przyjemność.

Sypialnia ciągle jeszcze nosiła ślady skandynawskiego stylu pani Jorgensen - niebieskie ściany i nagie deski - ale Jake trochę tu pozmieniał, uzyskując efekt typowo męskiego pokoju. Każdy wiking czułby się tu dobrze, rzucając się na swą napaloną kobietę po wielu miesiącach spędzonych na morzu. Z jednego powodu - Jake wymienił ascetyczne łóżko pani Jorgensen.

- To łóżko jest ogromne - powiedziała Cyn.

Rzeczywiście, zdominowało sypialnię.

- To królewskie łożo. Jestem niepoprawnym śpiochem. I przewracam się w nocy.

- Zauważyłam.

Tył i przód łóżka były wykonane z drewna sosnowego; nie były tak wymyślne, jak podpory baldachimu u Cyn, ale wystarczająco solidne, by przywiązać... O czym ona znowu myślała? Z trudem skoncentrowała się na granatowo-białej kołdrze okrywającej gigantyczny mebel, a potem na sosnowym stoliku nocnym.

Jake włączył lampkę. Potem zgasił górne światło. W pokoju zapanował półmrok. Zbliżył się do niej na tyle, by znaleźć się w jej osobistej przestrzeni. Wystarczająco blisko, by czuć jego zapach. Jedną dłońią podparł z tyłu jej głowę, a drugą zsunął ramiączka sukienki, odsłaniając górną część wykończonego koronką stanika. Jego wargi muskały jej usta, policzek, skroń, by zakopać się we włosach.

Wsuwając jej dłoń pod spódnicę, między nogi, uśmiechnął się i nagle jego dłoń zamarła i zeszywniała.

- Nie masz na sobie majtek?

- Nie nałożyłam.

Jego dłoń była ciepła i twarda, niemal skórzana, kiedy penetrowała jej miękkie podbrzusze i wewnętrzną stronę ud na wysokości podwiązek. Ten cały absurdalny zestaw musiał być niewygodny do noszenia na co dzień, ale był niezwykle kobiecy i seksowny w sytuacjach takich jak ta.

- To potwierdza jedynie moje poglądy na temat amateerek.

- Kogo nazywasz amatorką? - Cyn starała się, by jej głos wyrażał oburzenie, ale kiedy jego dłoń znowu zaczęła się poruszać, straciła wątek.

- Przepisy FBI mówią, że każdy ma nosić majtki. Przykro mi, ale będę cię tam musiał gruntownie przeszukać.

- Obiecuję współpracować.

Zrobiła krok w tył, kiedy sukienka zsunęła się z niej na podłogę, tworząc kopczyk nie większy od jedwabnej chusteczki. Z zachwytu aż zagwizdał.

- To mi się podoba.

Obrócił ją w jedną, potem w drugą stronę, powiódł oczami wzdłuż pończoch do miejsca, gdzie nie zakrywały już nagiej skóry.

- Nie chciałam zniszczyć kolejnych rajstop.

- Kłamczucha - powiedział Jake miękko, wsuwając w nią bez pośpiechu dwa palce.

Szczęście, że lewą ręką trzymał ją mocno w pasie, bo w trakcie jego niespodziewanej penetracji nie ustałaby na tak drżących nogach i upadła. Jego palce wbijały się i wysuwały w wolnym tempie, podczas gdy kciuk pocierał łechtaczkę. Chciała mu zdjąć koszulkę, ale dłonie odmówiły jej posłuszeństwa. Po prostu do niego przywarła,

czując szybko rosnące napięcie, słysząc w oddali własne jęki, nim jej głowa opadła do tyłu i nim wydała ostatni krzyk przed nadejściem fali spełnienia.

Chwiała się na nogach. Wziął więc ją na ręce i zaniósł do łóżka. Rozebrał się, potem wyłączył nocną lampkę, zostawiając niezastłonięte okna, by mógł do nich zaglądać bliski pełni księżyc. Niespiesznie zaczął rozsupływać gorset, dotykając i pieszcząc każdy skrawek nowo odkrywanego ciała. W blasku księżycy wszystko zdawało się mienić. Jej piersi, jej zęby, jego bicepsy, kiedy się nad nią pochylał, jego piękne oczy, kiedy się w nią wpatrywał.

Coś się wydarzyło.

Coś wspaniałego i zatrważającego, równie urzekającego jak księżycowy blask. Patrzyli sobie prosto w oczy. Cynthia czuła wyraźnie, że dokonała wielkiego odkrycia. To ty, pomyślała, to naprawdę ty.

Uniosła dłoń, by dotknąć jego twarzy. Wodziła palcami po jego ustach, podczas gdy on ułożył się między jej udami. Wszedł w nią wolno, a jej ciało powitało go z radością. Było to tak oczywiste i cudowne, jak zawinięcie statku do macierzystego portu, jak wprowadzenie samochodu do garażu... Był w domu. Jego ciało należało do niej. Należeli do siebie. Zdumienie odebrało jej na chwilę oddech, a oczy zrobiły się wilgotne.

Kochała go.

Nie mogła mu tego powiedzieć. Zostawiła więc słowa dla siebie, ale postanowiła okazywać swoje uczucie w każdej innej formie. Każdym dotykiem, każdym ruchem bioder wychodzącym naprzeciw jego pchnięciom, każdym pocałunkiem, westchnieniem i oddechem mówiła mu: kocham cię.

Jego spojrzenie było chmurne i poważne - nieodgad-

nione. Ale nie było w nim nic prowokującego, żadnego odgrywania roli w przedstawieniu. Czy i on to czuł? Czy i on miał świadomość, że powinni być ze sobą? Czy aura miłości, roztaczająca się w tym pokoju, była tylko jej dziełem, czy może on również miał w tym swój udział?

Nie wiedziała, a bała się odezwać, by czar nie prysnął. Zachowała więc spokój i kochała go każdą cząstką ciała. Słyszała jego ochryple jęki. Krew zaczęła dudnić jej w uszach coraz głośniej i głośniej. Wtuliła się w jego naprężone ramiona, znajdując tam jedyne oparcie w rozkołysanym wszechświecie.

A potem nic już nie mogło jej zatrzymać. Poszybowała w przestworza, świetlista jak księżyc, rozśpiewana jak gwiazdy. W oddali usłyszała jego krzyk, po którym osunął się na nią. Kocham cię, poruszyła bezgłośnie ustami.

Kiedy ją obudził, na fosforyzującej tarczy jego zegarka była czwarta nad ranem.

- Cooo...?
 - Chcę, żebyś wróciła do domu, zanim wstanie świt.
 - Martwisz się tym, że ktoś z Oceanic mnie szpieguje?
 - wymamrotała, kiedy wreszcie udało jej się otworzyć oczy.
 - Nie. Martwię tym, że sąsiedzi mnie szpiegują.
- Zachichotała zmęczonym głosem.
- Oczywiście, że cię szpiegują. Ale nie przejmuj się, nie jesteś aż taką atrakcją jak dostawca pizzy.
 - Wyświadcz mi przysługę i odwołaj kolację.
 - Nie zamawiałam pizzy.
 - Mówię o twoim spotkaniu z Percivaldem. Odwołaj je, proszę.
 - Nie chcesz, żebym założyła sobie podsłuch?

- Obląś egzamin.

Nawet jeśli żartował z tym egzaminem, wiedziała, że nie pozwoliłby jej założyć na to spotkanie żadnej aparatury podsłuchowej. Poczwała się dotknięta.

- W takim razie, po co zwracałeś sobie głowę wciąganiem mnie w tę sprawę?

- Żeby się z tobą przespać.

- Och.

Schlebiało jej to tak bardzo, że postanowiła zapomnieć o podsłuchu. Nie potrzebowała wyrafinowanych urządzeń FBI. Miała stary magnetofon ojca - może zmieści się do torebki.

- Odwołasz tę schadzkę? - Jego głos zabrzmiał srogo.

Uniosła podbródek. Kochała go, ale nie miała zamiaru pozwolić mu na takie traktowanie.

- My, wolontariusze, możemy robić co nam się żywnie podoba.

- Ustap mi.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, kiedy sięgała po ubranie.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że jestem zazdrosny.

I pocałował ją w rozchylone usta, a potem wypchnął w mrok przedświt. Wiedziała, że nie pozwoliłby jej nic więcej powiedzieć, no, bo co by było, gdyby za śmietnikiem czaili się agenci KGB! Ruszyła na krótki spacer, zastanawiając się nad jego ostatnim oświadczeniem. Jego słowa miały niby brzmieć żartobliwie, ale... jeśli on naprawdę był zazdrosny?

Fakt, że jeszcze nigdy w życiu jej się coś takiego nie przytrafiło, nie oznaczał jeszcze, że to niemożliwe.

- Ona też przyjechała z Moskwy? - wyszeptał zdesperowany Michael, kiedy w sobotni rano Cyn wprowadziła Agnes do jego salonu.

Przytaknęła, robiąc konspiracyjną minę.

- Tak, ale nie wspominaj o tym. Jest bardzo wrażliwa. Szczególnie w kwestii swojego wyglądu. Będzie cię prosiła o coś nudnego i przeciętnego, ale jeśli uważasz się za patriotę, nie posłuchasz jej. Ma za sobą długi okres służby w przebraniu.

- To znaczy, że ona była...

Położyła ostrzegawczo palec na ustach.

- Sza! To tajne. Mogę ci jedynie powiedzieć, że aby wykonać kolejne zadanie, będzie musiała uwieść znanego brytyjskiego dyplomata.

- Skarbie, nie jestem cudotwórcą.

- O nie, Michael. - Z uśmiechem przypomniała sobie, jak nowa powierzchowność zmieniła jej życie. - Jesteś.

Westchnął ciężko i zaprosił Agnes na swoje stanowisko. Wziął w palce jej puszyste włosy, a na jego twarzy odmalowała się beznadziejna rezygnacja.

- Może wystarczy strzyżenie - pisnęła niepewnie Agnes, zerkając nerwowo na swe szare, opadające bezładnie pukle.

Ale nikt jej słuchał. Cynthia przyglądała się z zapartym tchem poczynaniom Michaela, na którego obliczu poczucie beznadziejności zaczęło ustępować miejsca zachwytowi.

- Włosy są wspaniałe. Widzę je na blond. Jak u dojrzałej Ingrid Bergman.

- Naprawdę?

Nie odpowiedział. Jego oczy zwęziły się. Podnosił i obracał jej loki, co chwila obserwując efekty w lustrze.

Agnes była zbyt onieśmielona, by się odzywać.

- Zachowamy mniej więcej tę długość. - Poklepał Agnes uspokajająco po ramieniu i skinał na dziewczynę, która miała jej umyć głowę. - Ale wierz mi, kiedy skończę, sama siebie nie poznasz.

- Tego się właśnie obawiam - jęknęła Agnes i ruszyła potulnie za dziewczyną o błękitnych włosach.

- A co dla pani, *madame*? - Michael wskazał Cyn swój fotel.

- Ja naprawdę potrzebuję tylko strzyżenia.

- Jak ci się podoba ten kolor?

- Doskonały.

- Jak dla ciebie jest za mało ekspresyjny. Co powiesz na odrobinę platyny?

- Może następnym razem. Dzisiaj chcę, żebyś się zajął przede wszystkim Agnes.

Rzucił jej lekko spanikowane spojrzenie.

- Dużo was tam jeszcze jest?

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie, już więcej nie ma.

Spodziewała się poprawy w prezencji Agnes, ale kiedy po trzech godzinach wróciła do swojej przyjaciółki, aż ją zatkało ze zdumienia.

- Twoje włosy są... są przepiękne.

Agnes miała w sobie wdzięk Kopciuszka, którego dobra wróżka zmieniła w księżniczkę. Nie mogła oderwać od siebie wzroku w lustrze, obracając się w lewo i w prawo. Jej włosy, teraz subtelnie złocone, były zebrane w gustowny kok, a artystyczny makijaż dopełniał wrażenia cudu, podkreślając błękit oczu. ożywiając policzki, a szminką uwypuklając usta.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Głos Agnes był ledwo dosłyszalny, raczej ze zdumienia niż z płochliwości.

- Teraz potrzebujemy tylko paru nowych ciuchów i jakichś, hm, dodatków, abyś była zupełnie gotowa na wieczorną randkę.

- Tak właściwie, to nie jest randka.

- Może teraz nie jest. Ale poczekaj do wieczora. Mam przeczucie, że to ty zostaniesz aktualną przyjaciółką, nad której urokami będzie się rozwodził Percivald.

Podczas gdy Agnes stawiała się bóstwem, Cyn wpadła do tego samego sklepu, w którym zaczęła się jej przemiana. Tam dowiedziała się, dokąd zabrać pięćdziesięcioparoletnią kobietę poszukującą nowego wizerunku.

Wepchnęła ciagle olśnioną swoim wyglądem Agnes do samochodu i zawiozła do ekskluzywnego butik. Agnes przystanęła w progu.

- Och, sama nie wiem. Wygląda na bardzo drogi.

- Nie chcę się wtrącać, ale na co ty wydajesz swoje pieniądze?

- Cóż, mój kot jest dosyć rozpieszczony... - Agnes spojrzała i najwyraźniej uznała, że nie o to chodziło.

- Wspomagam kilka organizacji dobroczynnych, hm...

- Większość oszczędzasz, prawda?

Agnes skinęła głową zmieszana.

- Kiedy umrę, mój bratanek i jego rodzina odziedziczą po mnie całkiem pokaźną sumkę.

- Ile masz lat, pięćdziesiąt pięć?

- Pięćdziesiąt dwa.

- Twój bratanek będzie musiał poczekać, bo teraz trochę zaszalejesz. - Cyn zmierzyła Agnes ognistym spojrzeniem. - I to od zaraz. Idziemy.

Wcale nie było tak źle, zwłaszcza że Agnes złapała bakcyła przygody. Wychodziły z butiku, szczebiocąc jak nastolatki, obładowane sześcioroma torbami, a sprzedawczyni kłaniała im się do samych drzwi.

- Jak się czujesz? - zapytała Cynthia.

- Jestem oszołomiona. I zachwycona.

- Odważna?

- Aż zanadto.

- W porządku. Ja jestem Dzielna Cyn, a ciebie pasuję na Śmiałą Agnes.

- Dobrze.

Nie chciała mówić Agnes, dokąd wybiorą się teraz, uznając, że będzie potrzebowała całej nowo nabytej śmiałości, by w ogóle przekroczyć próg sklepu, którego jesienną wystawę zdobiła dmuchana lalka na kupie opadłych liści. Kiedy Cyn podjechała na wolne miejsce parkingowe przed sklepem, wychodził z niego akurat pewien klient z pełną torbą zakupów.

Co Neville Percivald robił w sex-shopie? Myślała, że jest stateczny i uprzejmy, może czasem trochę niepokojący, ale w sumie nieszkodliwy. Tymczasem jak mógł być nieszkodliwy, skoro rano kupował cały worek erotycznych gadżetów, a wieczorem miał się z nią spotkać?

- Wszystko w porządku, Cynthia? Wydałaś z siebie bardzo śmieszny dźwięk - stwierdziła Agnes.

- W porządku. - Odsapnęła. - W porządku. Właśnie wpadłam na doskonały pomysł. Obie spotykamy się wieczorem z Percivalami. Może więc połączymy nasze randki?

- Podwójna randka? Ale...

- Będzie fajnie. Kiedy twoja zmieniona osobowość

rzuci już seniora na kolana, ja zadbam o to, by się dowiedział, jakie prowadzisz ożywione życie towarzyskie.

- To przecież nieprawda.

- Na razie. Wiem, że na kolację idziemy do „La Parisienne”, ponieważ Neville zapytał mnie, czy nie mam nic przeciwko temu. Musisz tylko powiedzieć jego ojczymowi, że chętnie byś się tam wybrała.

- Cóż... Byłabym spokojniejsza, gdybyś ty też tam była. W nowej fryzurze i tych nowych ciuchach czuję się jakoś dziwnie. - Agnes zrobiła przerwę. - Ale czy on nie pomyśli, że za dużo sobie pozwalam?

- Oczywiście, że nie. Jesteś przecież osobą, która żyje na całego. Powinnaś znać każdą dobrą knajpę.

- Chciałabym, żeby tak było.

- Zaufaj mi, proszę. - Cynthia chciała być dla Agnes wsparciem, ale i sama czułaby się lepiej w czteroosobowym towarzystwie. Mogła mieć pewność, że w większym gronie Percivald junior będzie trzymał ręce - i swoje erotyczne zabawki - przy sobie.

Rozdział jedenasty

Cynthia weszła majestatycznym krokiem do eleganckiej restauracji u boku Neville'a Percivalda. W napięciu rozglądała się dokoła, by stwierdzić z ulgą, że Agnes nie zawiodła. Siedziała w przytulnym zakątku z Percivaldem seniorem.

Kątem oka zauważyła, że Neville się czerwieni i robi instynktowny krok wstecz, w kierunku drzwi. Nie był jednak dostatecznie szybki dla kierownika sali we fraku, który pospieszył ku niemu z przymilnym uśmiechem.

- Ach, pan Percivald, miło mi pana powitać.

Jego silny francuski akcent sprawił, że trzysylabowe nazwisko Neville'a zabrzmiało jak muzyka. Usłyszał ją ojczym i uniósł głowę.

- Mój chłopcze! - zawołał. - Cóż za niespodzianka! Chodź, przyłącz się do nas.

Neville spochmurniał jeszcze bardziej, kiedy każdy z gości restauracji obrócił się w jego kierunku.

- Ten cholerny dureń wydziera się jak na targowisku. Przepraszam cię.

- W porządku, naprawdę - odparła Cynthia.

Nie miał pojęcia, jak bardzo w porządku. Zajechał po nią limuzyną, twierdząc, że kiedy pije, nie prowadzi. Miała jednak wrażenie, że po prostu nie chciał mieć zajętych rąk, kiedy ona znajdowała się tuż obok.

Z przesadną kurtuazją poprawiał jej szal na ramionach, obmacując przy tym dyskretnie. Potem chwycił jej pas bezpieczeństwa, nim sama zdążyła to zrobić, i odpinając go, niemal się na niej położył. Gdyby to nie była tajna misja FBI, walnęłaby go torebką, obciążoną starym magnetofonem ojca. Ponieważ jednak miał to być wieczór zdobywania informacji, zachichotała i odsunęła jego rękę pozornie zawstydzona.

Neville z trudem opanował swoją irytację i oświadczył, że bardzo chętnie przyłączy się do ojczyrna, by zjeść kolację we czwórkę. Podążając za kierownikiem sali, słyszała całkiem głośne i wyraźne narzekania: "Stary nudziarz... tak schrzanić wieczór..."

Musiała zagryźć wargi, by się powstrzymać od szelmowskiego uśmieszku. Ale po chwili miała niekłamana przyjemność uśmiechania się do George'a Percivalda, który wstał i pocałował ją w policzek. Nalegał, by usiadła obok niego, przez co znalazła się naprzeciwko swego dzisiejszego partnera, który z kolei zajął miejsce przy Agnes.

Neville był na tyle zirytowany, że nawet nie zauważył nowego wizerunku Agnes. Za to jego ojczym na pewno zauważył. Nie odrywał od niej oczu, a na jego twarzy malowało się zmieszanie i rozczarowanie, jak gdyby w jakiś sposób zawiódł się na Agnes.

O co tu chodziło? Kobieta stawała na głowie, żeby wyglądać oszałamiająco, a on był zawiedziony? Jeżeli

Cyn kiedykolwiek wydawało się, że rozumie mężczyzn, to myliła się kompletnie. I to żałosne spojrzenie Agnes, które łamało jej serce. Cynthia zrobiła wiele, by pomóc, a zdaje się, że zaszkodziła.

Przy stole panowała nieznośna cisza, którą zakłócił kelner, przyjmując zamówienie na aperitif. Zarówno Agnes, jak i jej towarzysz sączyli już martini. Neville poprosił o to samo i chociaż Cyn nie przepadała za alkoholem i nigdy nie piła martini, też je zamówiła. Była zbyt zajęta szukaniem odpowiedzi na pytanie, co zaszło między Agnes a George'em, by przejmować się aperitifem.

Rozmawiała o nim z Jake'em, który był przekonany, że Percivald senior prowadził firmę w sposób czysty i uczciwy. Pogłoski o narkotykach pojawiły się wraz z przejęciem interesu przez jego pasierba. Byłoby wspaniale dla Agnes, gdyby spełniło się pragnienie jej życia, tym bardziej, że już wkrótce może nadejść taki dzień, w którym George będzie potrzebował jej pomocy. Świadomość, że przybrany syn jest kryminalistą, będzie z pewnością wstrząsem.

Cyn dostała swój cocktail, schłodzony i kryształowo klarowny, z wielką zieloną oliwką na frymuśnej srebrnej pice. Pociągnęła łyk, zastanawiając się, czy Neville jej nie rozszyfrował i nie dosypał trucizny. Martini zaczęło palić ją w gardle, a w oczach stanęły łzy. Chwyciła szklanekę z wodą i piła łapczywie, nie mogąc złapać tchu.

- Trochę zbyt wytrawne - powiedział Percivald.

Wytrawne? Przecież to czysty alkohol.

- Powinam była wstrząsnąć, a nie zamieszać - żartowała słabym głosem.

Za to Agnes nie miała ze swoim drinkiem żadnych problemów. Kończyła już drugiego, ze smutkiem kreśląc

oliwką małe wzorki na kieliszku. George robił mniej więcej to samo.

Neville wychylił swojego drinka jednym haustem i zamówił kolejnego. Cynthia miała wrażenie, że siedzi przy stole z trzema zbiegami z zakładu psychiatrycznego.

- Słyszałam, że zagląda tu wiele gwiazd filmowych, kiedy są w mieście - podjęła raźnie. - *A propos*, nie wiem czy ci mówiłam, Agnes, ale Michael porównał cię do Ingrid Bergman z filmu „Kwiat kaktusa”. Moim zdaniem trochę się w tobie podkochuje.

- Michael, ten z salonu?

Nie zdziwiło jej, że Agnes domagała się wyjaśnień. Ostatecznie Michael żył szczęśliwie na kocią łapę z pewnym striptizerem.

- Na pewno podoba mu się twój nowy image. - Przy najmniej to było prawdą.

- Hm - stwierdził Percivald senior i pociągnął łyk martini.

- Hm - dodała Agnes i pociągnęła łyk martini.

Cynthia miała już tego dość. Jak on mógł nic nie zauważyć? Agnes była w nim taka zakochana. To była jedyna szansa, by mu otworzyć oczy.

- Nie sądzi pan, że Agnes wygląda pięknie, panie Percivald?

- Myślę, że zawsze pięknie wyglądała - odparł z wymuszonym uśmiechem. - I proszę mówić do mnie George, moja droga.

Położył rękę na kolanie Cyn i lekko je ścisnął. Och, była tak zbulwersowana, że miała ochotę zionąć ogniem. Percivald flirtował z nią, podczas gdy jego partnerka siedziała przygnębiona i zalewała smutki alkoholem. Agnes uniosła głowę. Miała wypieki na twarzy.

- On lubi, żeby jego panienki dobrze się prezentowały. Stara Agnes ma być zawsze szara i niepozorna. Jak używana kanapa z zepsutymi sprężynami.

- Ależ Agnes, to nie tak...

- Dostałaś od niego kwiaty? - przerwała Agnes, wpatrując się w Cyn wielkimi oczami i wskazując kciukiem na Neville'a.

- Tak, tuzin białych róż.

- Ja dostałam imbryk. Rozumiesz, o czym mówię? Róże dla panienki, czajnik dla starej kanapy.

- Agnes... - George spojrział z przerażeniem na jej pusty kieliszek. - Moim zdaniem masz już dosyć...

- Racja, mam już tego dosyć. Jestem kobietą, nie starą kanapą. A ty - dodała z animuszem na zakończenie - ty jesteś stary piernik!

Tak trzymać, dziewczyno! Chociaż George Percivald wpatrywał się w Agnes, jak gdyby była jakimś monstrum, Cyn wiedziała, że jest świadkiem narodzin nowej Agnes. Nareszcie stała się prawdziwą kobietą. I nareszcie zrozumiała, że jej beznadziejne zadurzenie w George'u było ni mniej, ni więcej tylko beznadziejne. Podobnie jak ona - sama doszła do wniosku, że Walter po prostu nie był mężczyzną dla niej. To dzięki tej wiedzy stała się silniejsza, zdolna rozpocząć poszukiwania prawdziwego mężczyzny. Tego jedyne.

Mężczyzny takiego, jak Jake.

I nagle Cynthia pojęła, że Jake był tym jedynym. I prawdę mówiąc, jej własne zadurzenie było równie beznadziejne. Agent FBI po prostu miło spędzał czas, uprawiając z nią gry miłosne. Kiedy tylko śledztwo w sprawie Oceanic zostanie zakończone, zajmie się innym zadaniem i... inną panienką.

Oczekiwała, że Agnes wstanie i dumnie opuści restaurację. Właściwie to chyba wszyscy troje tego oczekiwali. Ale Agnes nie zrobiła jeszcze aż tak wielkiego postępu na swej drodze ku kobiecej emancypacji. Po prostu podparła głowę ręką i skubała oliwkę.

- Przyniosłem ci imbryk z najmodniejszej kolekcji ręcznie zdobionej porcelany - odezwał się niepewnie George, na którego twarzy malowało się zdumienie.

- Czy swoim panienom też dajesz czajniki? - powtórzyła z uporem Agnes.

Potarł swe przyprószone siwizną wąsy.

- Nie, ja... zaraz, przecież ja nie mam żadnych panienek.

- Ha! - Agnes wyprostowała się i z brytyjskim akcentem powiedziała: - "Hannah za bardzo mnie osacza, Agnes. Nie wiem co robić. Mówi mi o dzieciach. W moim wieku!" - Oblicze George'a Percivalda z czerwonego stało się purpurowe. Cyn z trudem mogła stłumić śmiech. Gdzie Agnes nauczyła się tak doskonale parodiować innych? Zupełnie jakby słyszała Percivalda. - „A co do Sary, o mój Boże, ależ ona jest nienasycona! Ona mnie wykończy”.

- Na pewno nigdy tak z tobą nie rozmawiałem.

- Ależ rozmawiałeś. Ja byłem tylko Agnes, twoją starą, dobrą kanapą. Kimś, komu można dać w prezencie czajnik. - Wymierzyła swoją piką do martini w jego kierunku. - Ja nawet nie pijam herbaty. Wolę kawę.

- W takim razie, przepraszam. Od dzisiaj nie będę już ci dawał imbryków i...

- ...i imbryków? - Podsunęła mu Agnes uprzejmie.

Uniósł wąsa w niechętnym, lecz bardzo ujmującym uśmiechu.

- Trafiony. Z twojego życia znikną moje imbryki i kłopoty z kobietami.

- Lepiej postaraj się, żeby znikły z twojego. Znajdź sobie kogoś w podobnym wieku. - Agnes aż jęknęła, spłoniła się i teraz wyglądała naprawdę rozpaczliwie. - Nie to chciałam...

- Nie to? - powiedział George miękko, patrząc na nią tak, jakby robił to po raz pierwszy w życiu.

- Przepraszam, nie spodziewałam się, że...

Łzy nabiegły jej do oczu. Zmieszanie pchnęło ją do tego, czego nie uczyniła przedtem desperacja: zerwała się z krzesła i wybiegła z sali.

- Agnes, poczekaj! - George Percivald przeprosił, wstał z miejsca i lawirując między stolikami, ruszył za nią.

Cóż, może nie całkiem poszło tak jak powinno, ale Cyn naprawdę wierzyła w powodzenie swego planu awaryjnego. Niestety, zdaje się, że skomplikował się tym samym scenariusz planu pierwotnego, bo po wyjściu George'a została sam na sam z Neville'em.

Spojrzała na niego. Był znacznie pogodniejszy.

- Przepraszam, moja droga, ojciec zawsze miał skłonność do dramatyzowania. Mam nadzieję, że nie zepsuło ci to apetytu?

Kipiąc ze złości, Jake opadł ciężko na fotel w swoim samochodzie. Dlaczego ta dziewczyna choć raz nie zrobi tego, o co ją prosił?

Miała tylko powiedzieć „Nie”. Odmówić ranki z Neville'em. Ale nie! Widział limuzynę zajeżdżającą pod jej dom i tego bubka kroczącego z eleganckim pakunkiem z kwaciarni. Mógł się założyć o swoją pensję, że w środku były róże. Za grosz polotu!

Jake powinien był ostrzec Cyn, że Neville odwiedza

kluby sadomasochistyczne, ale bał się, że będzie ją to jeszcze bardziej rajcowało. Doskonale odgrywała niewiniątko, ale zaczynał podejrzewać, że jego pierwsze wrażenie było trafne. Była kocicą w skórze kociątka.

Był na tyle głupi, że wskoczył do samochodu i pojechał za nimi do tej restauracji. Uspokoił się, gdy zajrzał przez okno i zobaczył ją w towarzystwie ojczyma Percivalda i jakiejś kobiety. Przynajmniej miała tyle rozumu, by zabrać ze sobą przyzwóitkę.

Myślał o odjeździe, ale na szczęście postanowił trochę poczekać. Po chwili był świadkiem, jak ta druga kobieta wybiega z restauracji, a za nią ojczym tego bubka, Neville'a. Wietrząc kłopoty, Jake sięgnął po broń i wysiadł z samochodu, gotowy w każdej chwili interweniować.

Zanim jednak przeszedł przez ulicę, mężczyzna objął kobietę i zaczął ją namiętnie całować. Daj mu szansę, dziewczyno, całkiem nieźle sobie radzi. Para wsiadła zaraz do srebrnego jaguara i przysłoniła szyby; zachowywali się jak nastolatki.

Było im na pewno dużo cieplej niż jemu. Zajrzał ponownie do restauracji i stwierdził, że w jej przytulnym wnętrzu Cyn i ten bubek rozmawiają o menu, podczas gdy on tu sobie odmraża tyłek.

Wrócił do auta i wyciągnął gazetę, którą już rano przeglądał, starając się zapomnieć o głodzie. To on powinien siedzieć naprzeciw Cyn i robić do niej maślane oczy. Cholera, nie martwił się tylko o jej bezpieczeństwo. Był zazdrosny! Chciał, żeby Cyn poświęcała czas tylko jemu. Żeby wychodziła tylko z nim.

Powinien był wyposażyć ją w podsłuch. Gdyby się za to zabrał z samego rana, zdążyłby załatwić pozwolenie.

Ale się nie zabrał, myśląc, że Cyn odwoła randkę. Przecież to nie jego wina. Wyraził się dostatecznie jasno.

Gdyby była tylko nieposłusznym agentem, miałyby na nią wpływ. Ale co zrobić z nieposłusznym wolontariuszem? Nie załatwił tego jak trzeba. Aż go korciło, żeby tam wejść i wywlec ją z restauracji. Jednak nie pozwoliły mu na to lata szkoleń i dyscyplina. Nie poświęci tego dochodzenia - nawet dla Cyn. Ale wyprowadzi ją stąd, kiedy tylko zostanie sama, a potem zakończy jej karierę w Oceanic.

Tymczasem trzeba było jednak coś zrobić. W restauracji była bezpieczna, ale kiedy usiądzie koło Percivalda w limuzynie, któż to wie, na co się narazi? Był prawdopodobnie groźnym przestępcą, a Cyn nie była przeszkolona, by się bronić w tego rodzaju sytuacjach. Jeżeli zabierze ją do jednego z tych swoich perwersyjnych klubów, Jake będzie miał sporo czasu, żeby ją stamtąd zabrać. Gdyby jednak była na tyle głupia, by pojechać do tego gogusia, groziłoby jej największe niebezpieczeństwo.

Walnął ze złością w kierownicę. A niech to! Musiał działać. Sięgnął po swój telefon.

Cynthia właśnie złożyła zamówienie na jakąś potrawę, której wcale nie chciała jeść, gdy podszedł do niej kierownik sali.

- Przepraszam, *madame*, ale czy pani nazywa się Cynthia Baxter? - Kiedy przytaknęła zdziwiona, oświadczył: - Jest do pani telefon.

- Telefon?

Wpatrywała się w niego bez wyrazu. Agnes. Jej przyjaciółka szlochała pewnie w jakiejś budce telefonicznej i trzeba ją było ratować. Przeprosiła Neville'a, który znowu zrobił kwaśną minę, i podążyła za Francuzem.

Telefon był umiejscowiony w dyskretnym miejscu na końcu baru. Kiedy się odezwała do słuchawki, usłyszała znajomy głos.

- Musisz szybko wracać do domu.

Była wściekła. To nie Agnes, lecz gniewnie brzmiący Jake.

- Jak śmiesz mnie śledzić?

- Ktoś się włamał do twojego domu. Alarm postawił na nogi wszystkich sąsiadów.

- Co? Kiedy to się stało?

- Za jakieś pięć minut, licząc od teraz. Ruszaj się.

- Ani mi się ważyć...

Wyłączył telefon, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

Przez chwilę stała w bezruchu, wpatrując się w rzędy butelek na barowych półkach. A może go zignorować? Ile czasu musiałyby minąć, nim dałby za wygraną i wyłączył alarm?

Znała jednak odpowiedź. Pozwoliłby mu wyć na całą okolicę tak długo, jak długo byłoby to konieczne. Miałaby do czynienia z policją, agencją ochrony i wściekłymi sąsiadami. Zacisnęła zęby, aż poczuła ból w szczęce. Po tym całym śledztwie będzie się chyba musiała umówić na wizytę u ortodonty.

Nie miała wyboru. Jake zmusił ją do zakończenia randki. Nieważne, że pięć minut temu sama łącała sobie głowę, jak skrócić to spotkanie. Jedyne, o czym w tej chwili myślała, to że agent specjalny Jake Wheeler jest despotycznym dupkiem.

Jeżeli sądził, że mu to ujdzie na sucho, to się grubo mylił.

Wróciła do stolika wzburzona.

- Przepraszam, Neville - powiedziała przez zęby.

- Muszę wyjść. Uruchomił się mój alarm domowy.

- O, nie. Mam nadzieję, że to fałszywy alarm.

- Oby.

- Czy nie ma tam nikogo, kto mógłby...

- Nie. To nowy system i nie chciałam obarczać żadnego z moich sąsiadów. - Zwłaszcza że uruchomił go właśnie jeden z sąsiadów. - Nie wstawaj, proszę. Wstała i podała mu rękę. - Wezmę taksówkę.

- W żadnym wypadku. Odwiozę cię do domu, moja droga.

- W porządku. Przepraszam, że zepsułam ci wieczór.

- Nic nie szkodzi - odparł uprzejmie i wezwał kelnera z rachunkiem.

Kiedy jechali do niej limuzyną, jeszcze raz przeprosiła.

- Nawet nic nie zjadłeś.

- Nie przejmuj się. Zatrzymam się, mmm, gdzieś na małą przekąskę w drodze do domu. Któregoś dnia będę musiał cię tam zabrać. Myślę, że dziewczyna z twoim... apetytem, uzna to miejsce za ekscytujące.

Apetytem? O co mu chodziło? O narkotyki? Gdyby tylko mogła się dowiedzieć czegoś o jego narkotykowych melinach, byłoby to bardzo cenne dla śledztwa.

- O jakim apetycie mówisz? - zapytała cicho, próbując robić wrażenie mocno zaciekawionej, chociaż w bezpośredniej bliskości Percivalda cierpiała na klaustrofobię.

- Mam ci o tym opowiedzieć? - W jego niebieskich oczach bez wyrazu pojawił się naraz dziwny błysk. - Przesunął palcem po jej ramieniu. - Jesteś niegrzeczną dziewczynką, Cynthio? Tak niegrzeczną, że trzeba ci dać klapsa?

- Czy takie właśnie rzeczy robi się w tym klubie? Daje się partnerowi klapsy? - zapytała słabym głosem. To musiało być coś z rozdziału dla „Seksualnych orłów”, ale

te zaczerwienione pośladki na zdjęciach nie wyglądały podniecająco.

- To dla początkujących. - Dla początkujących? Cynthia założyła nogę na nogę i przysunęła się bliżej drzwi.
- Dla bardziej wyrafinowanych są większe... atrakcje. Są specjalne pokoje, w których się zabawiamy. Intymnie. Z przyjemnością cię tam zaprowadzę.

Jeżeli miała jakiegokolwiek wątpliwości, że Jake naprawdę włamie się do jej domu, znikły one, kiedy limuzyna skręciła w jej ulicę. Wycie alarmu mogło przyprowadzić o ból zębów. Kiedy podjeżdżali, wszystkie zasłony w oknach sąsiadów trzęsły się, jakby cierpiały na syndrom Tourette'a.

Przed jej domem stał radiowóz z migającymi światłami. Jake oczywiście wetknął głowę do policyjnego auta i rozmawiał z kierowcą.

- No i jestem w domu - powiedziała donośnym głosem, szukając klamki.

Neville chwycił ją i zaczął całować. Otworzyła usta, by krzyknąć z przerażenia i obrzydzenia, a wtedy jego język wcisnął się do jej gardła. Zaparła się o jego ramiona i wepchnęła mu kolano między nogi, próbując dosięgnąć i zgnieść jego rodowe klejnoty.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i Cyn ujrzała przed sobą kamienną twarz Jake'a. Jednym silnym pchnięciem udało jej się wyzwolić z ramion Neville'a i wydostać z limuzyny.

Przepełniona wstrętem do każdej ludzkiej istoty obdarzonej penisem, przeszła obok radiowozu, otworzyła drzwi swego domu i wyłączyła alarm. Zaległa głucha cisza i słyhać było tylko echo policyjnej syreny gdzieś w oddali. Sąsiedzi będą się uskarżać przez parę tygodni - jeszcze jeden powód, by się wściekać na Jake'a.

Zbliżył się do niej policjant w mundurze.

- Obszedłem dom i zdaje się, że zostawiła pani na górze otwarte okno. Pewnie silniejszy powiew wiatru uruchomił czujnik.

Była absolutnie pewna, że kiedy wychodziła, wszystkie okna były zamknięte. Podziękowała policjantowi.

- Proszę mi nie dziękować. Dostanie pani rachunek do zapłacenia. Musieliśmy zacząć obciążać ludzi za fałszywe alarmy.

Za plecami policjanta Jake wzruszył tylko ramionami. Pewnie podobnie zareaguje, kiedy dostanie od niej ten rachunek. Mimo wszystko ulżyło jej. Zaranżował wszystko tak, aby wyglądało na to, że alarm uruchomił się przez jej lekkomyślność. Po co straszyć włamywaczem staruszków w tak bezpiecznej okolicy.

- Przejdę z panią po domu i upewnię się, że wszystko jest w porządku.

- Dziękuję panu. - Odwróciła się do Neville'a, który dołączył do zbiegowiska przed wejściem do jej domu.

- Przykro mi, Neville. - Wyciągnęła rękę tak, by nie miał innego wyjścia i uścisnął ją. - Do zobaczenia w poniedziałek w biurze.

- Czy na pewno nie chcesz, żebym z tobą...

- Na pewno. Jeszcze raz ci dziękuję. Przepraszam za nieudany wieczór.

Ani trochę nie zdziwiło jej, że i Jake przyłączył się do obchodu. Młody policjant akceptował jego obecność, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Zdaje się, że był w równie podłym nastroju co ona. I to ją jeszcze bardziej irytowało.

Odczekali, aż młody policjant wyjdzie, tłumacząc się,

że będzie zmuszony przysłać rachunek. Potem Cyn zatrzasnęła drzwi.

Uniosła do góry palec i otworzyła usta, gotowa przystąpić do natarcia. Odwróciła się do Jake'a i zobaczyła, że przyjął identyczną pozycję.

- Nie pracujesz już nad tą sprawą.

- Jak śmiesz się wtrącać... Co?! - wrzasnęła i urwała, kiedy dotarły do niej jego słowa.

- Powiedziałem, że już nad tą sprawą nie pracujesz - powtórzył, nie podnosząc głosu. Tym dobitniej to zabrzmiało.

- Nie strasz mnie! Mam legalną pracę i nie możesz mi jej odebrać.

- Właśnie, że mogę - odparł spokojnie.

- Nie groź mi! Tu nie chodzi o pracę, ale o władzę. Jesteś megalomanem. Nie możesz znieść braku kontroli nad każdym moim ruchem. Ale wybij to sobie z głowy. Sama jestem panią własnego losu.

- Nie jesteś żadną panią!

Zatkało ją.

- Słucham?

- Nie zgrywaj niewiniątka. Ubiegłej nocy byłem ja, dzisiaj obściskujesz w limuzynie się z tym gogusiem, a jutro znajdą jakiegoś biedaka przykutego do łóżka.

- Co ty wygadujesz?

- Sprawdź w swoim kalendarzyku. Masz randkę w jakiejś włoskiej knajpie.

Chodziło mu pewnie o spotkanie z Walterem.

- Ale to tylko...

- Oszczędź mi tego! - Uniósł ręce. - Nie obchodzi mnie, kim on jest. Zabieram się stąd i wracam do siebie. Moje pierwsze wrażenie było trafne. Jesteś tak dzika, że

powinnaś siedzieć w klatce. Mam już dość odgrywania roli tresera lwów. Idź zabawiać się z Neville'em, z Walterem i z kimkolwiek, kogo jeszcze zamierzasz zwodzić. To koniec. FBI dziękuje ci za twoje starania, ale nie są one już konieczne. Do widzenia, Cyn.

Usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi. Stała przez chwilę, zdumiona, w końcu uchwyciła się poręczy i opadła na drugi stopień schodów. Potem jej głowa powoli opadła na kolana.

Rzucił ją.

Jake właśnie ją rzucił.

I, jeśli się nie przesłyszała, rzucił ją za to, że była dziwką. Był drugim mężczyzną, z jakim w życiu spała. I marzyła, że po nim nie będzie już nikogo. Był mężczyzną, który mógł naprawdę przywrócić jej miłość i wiarę w długie i szczęśliwe wspólne życie.

Był taki zły, tak zraniony. Czy to możliwe, żeby był tak zazdrosny?

Rozdział dwunasty

- Co jest? - warknął do słuchawki Jake.

- Cześć, stary. Coś taki skwaszony? - zapytał Carl, zdecydowanie zbyt pogodny jak na poniedziałkowy rano.

Cynthia Baxter, ot co.

- Nic takiego. Kończę z inwigilacją Oceanic. Adam chce, żebym wrócił do codziennych zajęć, i ma rację. Oceanic jest czysty. Nic tam nie ma.

A już na pewno nie ma już nic między nim a pewną seksowną księgową o cudownych oczach. Znowu pozwolił zrobić z siebie durnia. Najpierw Ashley, teraz Cyn. Jake zaczynał sądzić, że ta cała maskarada z emancypacją niewinnej dziewczicy miała na celu doprowadzenie normalnego, pełnokrwistego mężczyzny do szaleństwa.

To, co wspólnie przeżyli, wydawało się takie prawdziwe... ale okazało się równie złudne jak jego podejrzenia co do Oceanic.

- Uważasz, że nic tam nie ma, co?

- Przestań się zgrywać. Jutro wracam do biura.

- Może jednak posłuchasz, co dla ciebie mam.

Czyżby w głosie Carla wyczuł emocje? Miał nadzieję, że to nie żart, bo nie był w nastroju.

- Co takiego?

- Właśnie przyszły wyniki badań laboratoryjnych tych pałeczek.

- I co wykazały?

- Przede wszystkim drewno.

- Niesamowite. - Ale mimo mało zachęcającego wstępu Jake czuł, że to nie żart. Żołądek podszedł mu do gardła. - Coś jeszcze?

- Mhm. Były na nich pewne substancje szczątkowe. Pałeczki miały kontakt z kokainą.

- Mów dalej.

Na drugim końcu połączenia nastąpiła przerwa. Jake wiedział, że Carl dobiera słowa, by przekazać to, co najważniejsze.

- Potem laboratorium zbadało opakowanie, w które były zawinięte.

- Opakowanie?

- Zgadza się. To całkiem nowy proces, ale chłopaki z laboratorium już się z czymś takim spotkali. Kokainę prasuje się w cegły, w arkusze, a teraz i w materiał pakowy. Psy nie mogą jej wyczuć, na oko też nic nie widać - jest prawie niewykrywalna. Chyba że jakiś mądryła z FBI będzie na tyle uparty, że coś wyniucha. Nie wymienię tu nazwiska, ale pewnie domyślasz się, o kogo mi chodzi.

- Ale cwaniaczki!

Jeżeli będą bardzo ostrożni i dopisze im szczęście, rozpracują całą siatkę, nie tylko pojedynczą firmę - i może schwytać mordercę Hanka.

- Adam zwołał na dzisiaj naradę. Ściąga ludzi od narkotyków, celników i miejscowe gliny.

Jake'a to nie obchodziło. Mogli ściągać nawet zastęp harcerek, jeśli tylko im to pomoże rozpracować organizację. Usłyszał w słuchawce szelest papieru.

- Chcesz, żebym załatwił ci zgodę na podsłuch?

- Tak, dzięki.

- Hej, a czy ty nie masz tam przypadkiem własnej wtyczki?

- Już nie. Muszę lecieć.

Jake nie chciał tracić czasu na telefon. Pobiegł co tchu do Cyn i zaczął się dobijać do drzwi frontowych. Była na tyle uparta, by pójść do pracy, mimo jego zakazów. Musiał ją powstrzymać.

- Szuka pan Cynthii?

Nie, Ducha Świętego.

- Tak - odpowiedział panu Edgarowi, który mieszkał po drugiej stronie ulicy.

- Wyjechała jakieś pół godziny temu. Wcześniej niż zwykle.

- Dziękuję. To nic ważnego.

Pozdrowił sąsiada i chociaż krew się w nim gotowała, niespieszonym krokiem udał się w kierunku swego domu. Spierze ją na kwaśne jabłko!

W poniedziałek Cyn w bojowym nastroju nałożyła dodatkową warstwę makijażu. Kiedy ubrana w czerwony skórzany kostium wolno mijała recepcję, zdała sobie sprawę, że dobór kreacji nie był najtrafniejszy. Mając na sobie ten kostium, nie mogła nie pamiętać o tym, że nałożyła go tego wieczoru, gdy po raz pierwszy kochała się Jake'em.

- Dzień dobry, Marilyn.

Cyn starała się jak mogła, by znaleźć coś na Oceanic, a Jake wcale jej w tych poszukiwaniach nie pomagał. Wręcz przeciwnie. Skarcił ją za próbę sprawdzenia, co kryło się w skrzyniach i zmusił do przerwania randki z Neville'em, zanim miała okazję wydobyć z niego jakieś informacje.

Poza tym złamał jej serce, ale nie zamierzała się nad tym roztkliwiać. Nie tego ranka. Uznała, że wylała już dokładnie tyle łez, ile przypadało na Jake'a Wheelera.

Jednak kiedy pomyślała sobie o tym, że nigdy więcej już się z nim nie zobaczy, i o tym, jak bezpodstawne były jego zarzuty, poczuła swędzenie pod powiekami. Nie! Żadnych łez.

Kiedy w ponurym nastroju weszła do biura, stanęła jak wryta. Ascetyczny dział księgowości wyglądał dzisiaj jak apartament nowożeńców. Wszędzie mnóstwo róż... setki, być może tysiące róż, czerwonych, różowych, żółtych, białych, w wazonach, bukietach, rozłożonych na podłodze i na biurku.

Ich woń oszałamiała.

W środku tego rosarium stała Agnes - zmęczona, ale rozemocjonowana. Plan podstawowy okazał się w sobotę całkowitym niewypałem. Za to, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, plan awaryjny przyniósł niebawmy sukces.

- Od George'a? - zapytała Cynthia.

Zawstydzona Agnes tylko potaknęła. Z naturalnymi wypiekami na twarzy wyglądała lepiej niż po zabiegach upiększających Michaela. Otoczona szklarniowymi kwiatami Agnes sama przypominała Cynthii różę - rosnącą w zapomnieniu gdzieś na uboczu, która teraz ukazała się światu w pełnej krasie.

- Od soboty się nie rozstawaliśmy - wyszeptała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Cyn uśmiechnęła się domyślnie.

- Zdaje się, że oboje dobrze się bawiliście.

Agnes zachichotała. Cyn nigdy nie słyszała, by tak się śmiała.

- To jeden z moich ulubionych - powiedziała, wskazując na imbryk, który służył jako wazon dla kompozycji z róż i lewkonii. W kwiatach była wetknięta wizytówka z napisem: „Przepraszam, kochanie”.

- Powinnaś dać mu szansę - powiedziała Cyn, rozglądając się wokół. - Jeżeli przeprasza, to przeprasza naprawdę. - Zastanawiała się przez chwilę. - A co z tymi, hmm...

- Panienkami? - dokończyła Agnes z figlarnym uśmiechem. - To już przeszłość. Rozmawialiśmy wczoraj godzinami i w końcu przyznał, że jest zmęczony randkami z tymi wszystkimi głupiutkimi stworzeniami.

Westchnęła błogo, tuląc do policzka różowy pączek róży.

- Poprosił mnie o rękę.

Cyn ze łzami w oczach podeszła do przyjaciółki, by ją uściskać.

- Och, Agnes. Jestem taka szczęśliwa.

- Nie wiem, jak ci dziękować. W głębi duszy zawsze wiedziałam, że mu na mnie zależy. Przez lata byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale gdybym nie wzięła życia we własne ręce i gdybym nie pokazała pazurów, nadal by mnie traktował jak własną babkę, spotykając się z podlotkami.

Cyn pokiwała głową. Rozumiała lepiej niż inni, jak działa taki mechanizm.

- To nie fryzura ani ciuchy, ale nastawienie do życia mówiące: „Spójrzcie na mnie, zobaczcie, jaka naprawdę jestem!”.

- Tak.

Agnes pochyliła się do przodu i wsadziła nos w bukiet róż, wetknięty w dzbanek do kawy. Cyn była gotowa założyć się o każde pieniądze, że rozpamiętywała właśnie jakieś wyjątkowo namiętne chwile minionego weekendu.

- Przepraszam, że zostawiłam cię przedwczoraj samą. Jak ci minął tamten wieczór?

- Beznadziejnie. Musiałam wracać do domu, bo uruchomił się mój alarm. - Cyn wzruszyła ramionami. - A potem Neville sobie poszedł.

Agnes odruchowo dotknęła jej ramienia.

- Nie smuć się, skarbie. Wszystko się ułoży.

- Nie, już za późno. - Westchnęła i uniosła głowę, by spojrzeć na swą współpracownicę. Skąd Agnes mogła znać Jake'a? I zrozumiała: ona myśli, że za jej kłopoty sercowe odpowiada ten obleśny Neville. - To znaczy, nie chodzi mi o...

Jak to rozsądnie wytłumaczyć? To nie za Neville'em płakała. To nie do Neville'a wrywały się jej dusza i ciało. To nie Neville'a kochała tak mocno, że aż zgrzytała zębami, gdy o nim myślała. To nie Neville zostawił ją tamtego wieczora - ubraną w te skórzane ciuchy.

Zmusiła się do wesołego uśmiechu i jeszcze raz pogratulowała Agnes.

- Lepiej wezmę się do pracy.

Z westchnieniem zabrała się za dokumenty rozliczające miesiąc. Zaczęła od świadczeń emerytalno-rentowych.

Przeglądała listę wypłat, gdy rzuciło jej się w oczy nazwisko tak znajome, że aż wstrzymała oddech z wraże-

nia, Dominic Torreo. Tak nazywał się jeden ze świadzeniobiorców. Tak też nazywał się zamordowany dealer narkotyków, o którym czytała w gazecie.

Choć jej serce łomotało, a krew pulsowała w skroniach, starała się nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków. W końcu mogło być więcej ludzi o takim nazwisku. A emeryt z Oceanic mógł mieć sto pięć lat i mieszkać w domku kempingowym gdzieś na Florydzie.

Kliknęła myszką, by otworzyć plik zatytułowany „Dane Pracowników Obsługi”, i aż dreszcze przeszły jej po plecach: dostęp do pliku był zabezpieczony hasłem. Wydawało jej się, że otwierała już wszystkie pliki, ale najwyraźniej ten musiała przeoczyć. To w ogóle pierwszy plik chroniony kodem dostępu, z jakim miała do czynienia. Pewnie nie zawierał żadnych ciekawszych informacji poza istotnymi danymi statystycznymi na temat emerytowanych pracowników firmy. Chyba że jego tytuł służył za kamuflaż.

- Weź ode mnie trochę kwiatów. - Do pokoju weszła Agnes, przerywając jej rozmyślenia. - Muszę zrobić trochę miejsca na biurku.

Cyn uśmiechnęła się, odbierając wazon z żółtymi różami. Zanurzyła nos w kwiatkach.

- Pachną cudownie.

- On ma nie po kolei w głowie. Musiało go to kosztować fortunę - Agnes narzekała, ale nie mogła ukryć wyrazu satysfakcji na twarzy.

- Jesteś warta każdego płątka - przypomniała jej z powagą Cyn. - Nie zapominaj o tym. Postawiła wazon na biurku i powiedziała: - Hm, Agnes, próbuję zdobyć jakieś informacje na temat jednego z emerytowanych pracowników firmy, ale mój plik nie chce się otworzyć. Masz dostęp do tego typu plików, prawda?

- Tak, na moim komputerze. Może ja...
- Nie, dziękuję. Przyjdę i sama rzucę okiem.
- O kogo chodzi? - zapytała Agnes.
- Nazywa się Dominic Torreo.

Agnes pokręciła głową.

- Nic mi to nie mówi. Ale kiedy Neville przejął kilka lat temu firmę, zapewnił pełne świadczenia wszystkim emerytom. To wielkoduszny człowiek.

„Wielkoduszny” nie było określeniem, którego w odniesieniu do Neville’a użyłaby w tej chwili Cynthia. Ale nie chciała na razie używać żadnych określeń.

- O ten plik mi chodzi - Cyn wskazała na „Dane Pracowników Obsługi”. - Moim zdaniem jest możliwe, że pan Torreo dostaje zbyt wysokie świadczenia. Chcę to sprawdzić. Tylko nie wspominaj o tym ani George’owi, ani Neville’owi, dobrze? Nie chcę nikomu sprawiać kłopotów, dopóki się nie upewnię.

- Jasne, że nie. Cieszę się, że jesteś taka dokładna. Według mnie jesteś lepszą księgową od swego poprzednika.

- Dzięki. - Cyn wydrukowała cały plik. Bez problemu, bo był dużo mniejszy niż plik o tej samej nazwie w jej komputerze. I nie był chroniony hasłem.

Po powrocie do swego biura przeczytała dane. Dominic Torreo miał mieć sześćdziesiąt siedem lat. Jego emerytura była przelewana bezpośrednio na rachunek bankowy w Seattle. Kiedy przeglądała plik dalej, zdumiała ją duża liczba emerytów, którzy dostawali co miesiąc przelewy na konta w tym samym banku. Zachwycona własną przebiegłością rozparła się w fotelu.

Kiedy jednak nie udało jej się dostać do utajnionych akt Harrisona, blask jej zdolności wywiadowczych znowu przygasł. Ale uparła się, że złamie ten kod. I to dzisiaj.

Wymknęła się tego ranka przed Jake'em, z niejasnym przeświadczeniem, że powinna zrobić ostateczny przegląd dokumentów księgowych Oceanic, jak gdyby było tam coś ważnego, co przeoczyła. I rzeczywiście. Przeoczyła plik z utajnionymi informacjami na temat emerytur. Gdyby udało jej się złamać kod dostępu, wymyślony przez Harrisona, wiedziałaby, że to ona osobiście zadaje cios temu nielegalnemu procederowi.

Nawet jeżeli nic to nie da, rozgryzanie hasła Harrisona odciągało jej myśli od kompletnego fiaska jej życia miłosego. Wzięła gigantyczny kubek z kawą, usiadła przy biurku, przysunęła sobie klawiaturę i zabrała się do pracy. Próbując przechytrzyć kolegę po fachu, musiała zaangażować całą swoją wiedzę i zdolności. Miała wrażenie, że znalazła się w rozległym, podstępny labiryncie. Co chwilę trafiała w jakiś kolejny ślepy zaułek, nie mogąc znaleźć drogi do tajemniczego pliku Harrisona.

Mogło się oczywiście okazać, że ten plik był jedynie zapasową kopią jego domowego budżetu. Ale jakoś nie chciało jej się w to wierzyć.

Wyciągnęła notes i zapisywała w nim każdą kombinację hasła, jakiej próbowała. Otworzyła plik ze starą listą płac i znalazła jego datę urodzenia, drugie imię, adres i numer telefonu. Nic. Popuściła wodze fantazji. Co ona zrobiłaby na miejscu Harrisona?

Wpatrywała się w kolorowe kwiaty na swym biurku i na jej ustach pojawiła się subtelna replika uśmiechu Agnes. Cokolwiek się stanie, zawsze będzie miała tę świadomość, że dzięki niej dwoje ludzi odnalazło miłość. Nie po to została przysłana do Oceanic, ale przynajmniej tyle dobrego mogła zrobić.

Westchnęła i wróciła do łamania szyfru. FBI musi mieć

programy dekodujące. Najprościej byłoby zwrócić się z tym do nich. Oczywiście, jeśli Harrison wiedział co robi i użył kombinacji małych liter, dużych liter i cyfr, nawet najbardziej zaawansowane programy mogły mieć z tym problem. Ale w końcu poznaliby jego tajemnice.

Spojrzała na zegarek. Była czwarta. Da sobie na to jeszcze godzinę, a potem zamelduje o swym odkryciu Jake'owi i jej misja, wprawdzie niewykonana, dobiegnie końca. Gdyby jednak udało jej się wprowadzić właściwe hasło...

Kiedy to dochodzenie przejdzie już do historii, Jake bez wątpienia wyniesie się z domu pani Jorgensen i wróci nie wiadomo nawet dokąd.

Jeżeli on się nie wyprowadzi, ona zrobi to na pewno. Zarzuty, które usłyszała od niego w sobotę wieczorem, i to przekonanie, że „jest szybka i łatwa” - cóż, jeśli uważał, że to możliwe, nie kochał jej tak, jak ona jego. A odrodzona Cyn nie akceptowała miłości bez zaufania. Gdzieś czeka na nią człowiek, który pokocha ją tak, jak na to zasługiwała.

Kto wie, gdzie go znaleźć? Kiedy już skończy swoje zadanie, pójdzie za przykładem Harrisona i wsiądzie do samolotu, który zabierze ją w jakieś egzotyczne miejsce na dobrze zasłużone wakacje. Nie zamierzała zostawać w okolicach Seattle ani chwili dłużej.

Miała swoją dumę.

I ta sama duma kazała jej zdwoić wysiłki dla odgadnięcia hasła Harrisona jeszcze tego dnia.

Główkuj, główkuj, dziewczyno! - dopingowała samą siebie.

Nie poddawała się myśli, że liczba kombinacji jest nieskończona. Wstała i zaczęła chodzić po swym niewiel-

kim biurze. Wiedziała z autopsji, jak trudno jest spamiętać wszystkie hasła. To dlatego ludzie sami się demaskują, wybierając drugie imię albo rocznicę ślubu, używając tego samego hasła do zabezpieczania wszystkiego.

Kombinacja cyfr i liter byłaby trudniejsza do rozszyfrowania, ale tym samym trudniejsza do zapamiętania. W domu przykleiła na odwrocie klawiatury kartkę przypominającą, że jej hasło do rachunku bankowego to szyfr zamka do szafki w szkole średniej i inicjały jej wychowawców w klasie pierwszej i trzeciej. Kto oprócz księgowego pamiętałby po tylu latach takie rzeczy?

A może Harrison miał gdzieś na komputerze małą ściągawkę?

Stuknęła się w czoło. Ze też nie pomyślała o rzeczy tak oczywistej.

Błyskawicznie znalazła się przy komputerze i odwróciła klawiaturę. Nie było tam nic oprócz producenta oraz nazwy i numeru serii komputera. Spróbowała kilku kombinacji tych znaków, ale nic to nie dało.

Zaczęła bębnić palcami po blacie. Myśl! Obejrzała monitor ze wszystkich stron, zajrzała pod spód, a potem przeszukała szuflady biurka w nadziei, że coś znajdzie.

Nic.

Przyjrzała się krzesłu, a później na czworakach zrobiła oględziny siedzenia i podłokietników od spodu. Wreszcie wpełzła pod biurko.

- Cynthia? - Na dźwięk zdziwionego głosu Neville'a uniosła głowę i walnęła się z głośnym hukiem o spód blatu.

- Aua - jęknęła i wyłoniła się spod biurka obolała i ze łzami w oczach.

Mogła sobie wyobrazić, jak wyglądały jej obleczone

w skórę pośladki kołyszące się na boki, kiedy tyłem wpełzała spod biurka... O ile jej kusa spódnica nie zadarła się zbyt wysoko...

Gentleman by się odwrócił. Niestety czuła, jak mało gentlemańskie spojrzenie Neville'a o mało nie wypaliło jej dziury na tyłku. Dla kamuflażu jeszcze mocniej zakołysała biodrami, udając, że szuka jednego ze swych czerwonych kolczyków.

Wreszcie wydostała się i wstała, rozcierając guza na głowie. W drugiej ręce trzymała biżuterię.

- Upadł mi kolczyk - oświadczyła pospiesznie.

Neville pokiwał głową. Spojrzenie miał mętne, a oddech przyspieszony. Poczowała się tak, jakby była największą atrakcją w jakimś tanim peep-show.

- Zdaje się, że randka ojca była bardziej udana od naszej - odezwał się, wskazując głową w kierunku kwaciarni, w jaką zamieniło się biuro przy wejściu do działu księgowego.

- Tak, twój ojczym i Agnes chyba do siebie pasują.

- Miałem przedwczoraj nadzieję, że hm... określenie „pasują do siebie” mogłoby i nas dotyczyć.

Drzwi zatrzęsnęły się za jego plecami i Cyn instynktownie przysunęła się do telefonu. Jeżeli zacznie się do niej dobierać, zadzwoni po strażników, a jeżeli jej się to nie uda, dzieli go słuchawką. Czekwała w pełnej gotowości. To zdumiewające, że sprawiając wrażenie statecznego biznesmena, był w gruncie rzeczy zboczeńcem.

- Tak, cóż. Może innym razem. - Na przykład na świętego Dygdy, co go nie ma nigdy.

Zbliżył się o krok, a jej palce przesunęły się w kierunku słuchawki.

- Może dziś wieczorem?

- Przykro mi, dzisiaj jestem zajęta.

- To może jutro?

Nawet jeśli wcześniej nie myślała o spławianiu go, właśnie to robiła. Zastanawiała się nad wymówką „Nie wiem, czy to dobry pomysł, umawiać się ludźmi z pracy”, ale przecież już raz przyjęła jego zaproszenie - więc ta wymówka odpadała.

Mogła stwierdzić, że zamierza wstąpić do zakonu, co, biorąc pod uwagę jej ostatnie doświadczenia z mężczyznami, nie było wcale takim złym pomysłem. Jednak nie była katoliczką, więc i ten wykręt brzmiał nawet dla niej samej mało przekonująco.

Zawsze można wtrącić coś o lesbijstwie, ale Neville wyglądał na faceta, co to by chętnie popatrzył - jak w stosownych fantazjach z „Raunch” dla „Seksualnych orłów”.

Westchnęła więc tylko i powiedziała:

- Mogę dać ci odpowiedź jutro?

Zacisnął gniewnie usta.

- Jak najbardziej - odparł sztywno.

A niech to! Teraz pewnie myślał, że zgrywała trudną do zdobycia, podczas gdy ona tak naprawdę zamierzała być nie do zdobycia. Nie zamierzała przychodzić więcej do tej pracy - ani jutro, ani żadnego innego dnia.

Aż ją korciło, by wrócić do pliku Harrisona. To jej ostatnia szansa odgadnięcia hasła i udowodnienia... sobie samej, że ma wszystkie przymioty, niezbędne by zostać doskonałym tajnym agentem.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Dziękuję, że wpadłeś, ale naprawdę muszę skończyć rozliczanie tego miesiąca.

Skrzywił się i mruknął:

212 *Nancy Warren*

- Zatem do jutra.

Oprócz wielkiego jak strusie jajo guza na głowie, nie mogła pochwalić się żadnym dokonaniem w kwestii łamania szyfru Harrisona. Pod biurkiem nie było nic, nie licząc paru stwardniałych na kamień kawałków gumy do żucia.

Bez wiary w powodzenie wystukiwała na klawiaturze wszystkie możliwe smaki i marki gumy do żucia, jakie przyszły jej do głowy, ale odpowiedź była ciągle ta sama: „Niewłaściwe hasło”.

Gdyby była bardziej porywcza, wyrzuciłaby już komputer przez okno. Słowa „Niewłaściwe hasło” zdążyły się chyba wyryć na siatkówce jej oczu. Miała wrażenie, że gdy tylko zamknie powieki, będzie je już zawsze widziała.

Czas uciekał. Wiedziała, że potrafi przechytryć Harrisona, jeśli tylko trochę pomyśli. Miała pewnie to hasło przed nosem, tylko nie potrafiła go dostrzec.

Popatrzyła przed siebie. Mrugnęła kilkakrotnie, spoglądając na plakat z Grand Prix, który wisiał na przeciwległej ścianie. Dziwne, pośród wszystkich rzeczy, które mówiono o jej poprzedniku, nie było ani jednego komentarza na temat wyścigów samochodowych. Gdyby zostawała tu na dłużej, zamieniłaby oprawny w ramkę plakat na coś w swoim stylu.

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Czy Harrison był na wyścigach w 1997 roku? Otworzyła szeroko oczy i wzięła głęboki oddech. Duże litery, małe litery, cyfry. To było tak proste, że prostsze już być nie mogło.

Czy to możliwe?

Czy przez tych parę tygodni miała hasło Harrisona stale przed oczyma?

Z przejęciem napisała na klawiaturze: „Grand Prix 1997”.
Niewłaściwe hasło.

„1997 Grand Prix”

Niewłaściwe hasło.

„Grand 1997 Prix”

No, cóż, warto było spróbować.

W ostatniej próbie wstukała cały napis, ale od końca:

„7991 xirPdnarG”.

Jak klucz obracający się bez przeszkód w dobrze naoliwionym zamku, to właśnie hasło otworzyło sekretny plik Harrisona.

Jej okrzyk radości musiał być chyba słyszany w niemieckich delikatesach dwa budynki dalej. Chciało jej się skakać i opowiadać wszystkim o swoim sukcesie. Musiała jednak zasznurować usta, pamiętając, że jej misja jest ściśle tajna. Szybko wyświetliła na ekranie jedno ze swoich sprawozdań finansowych, żeby zakryć mogący wzbudzić podejrzenia plik Harrisona. Po pięciu minutach, gdy w odpowiedzi na jej wrzask nikt się nie zjawił, ośmieliła się zerknąć na to, co zawierał.

Z emocji serce podeszło jej do gardła. Jej palce stukały lekko w klawiaturę, gdy przeglądała kolumny cyfr. Był to komplet ksiąg rachunkowych, to jasne, ale od razu się zorientowała, że zestawienia nie dotyczyły budżetu domowego Harrisona, lecz firmy Oceanic.

Szybko zrozumiała, jak czuł się Aladyn patrząc na skarby Sezamu. Miała przed sobą niezbite dowody. Te sprawozdania zawierały dane nie ujęte w oficjalnych księgach, nad którymi pracowała.

Harrison miał głowę na karku, musiała mu to przyznać. Był wytrawnym i wyrafinowanym księgowym, dzięki czemu udało mu się stworzyć lipne zestawienia, które prawdopodobnie zostały zaakceptowane przez audytorów.

Zagłębiła się w lekturze dokumentu jak namiętny

czytelnik kryminałów w książkowej intrydze. Chwyła notes i zaczęła robić pośpieszne zapiski. Kiedy doszła do końca dokumentu, aż oniemiała z wrażenia. Nie mogła uwierzyć własnym oczom!

Wykaz nazwisk i adresów. Amerykańskich i kolumbijskich.

- Dobranoc, Cynthio. Nie pracuj zbyt długo - powiedziała Agnes, zaglądając przez otwarte drzwi; w rękę trzymała imbryk pełen róż.

- Hmm? - Cyn spojrzała na nią zaskoczona. Czy to możliwe, że dniówka dobiegła już końca? - Och, dobranoc, Agnes.

- Zostałabym, żeby ci pomóc zamknąć miesiąc, ale mam dzisiaj randkę - powiedziała Agnes z nieśmiałością ale i z dumą.

Cyn uśmiechnęła się do niej.

- Zamknąć miesiąc? Och, nie przejmuj się tym. Idź i baw się dobrze.

Kiedy Agnes wyszła, oblicze Cyn nagle spochmurniało. Zdaje się, że pasierb George'a siedział po uszy w szambie, podobnie jak Doug Ormond i Lester Dart. Harrison używał własnego systemu skrótów, ale D.O. i L.D. wyglądało dostatecznie przekonująco.

Nie chcąc wywoływać żadnych podejrzeń pracą po godzinach, Cyn poszła do szafy po kilka czystych dyskiek, by móc przekopiować podejrzane informacje. Zaczynając kopiowanie, postanowiła, że nie będzie się pysznić. Zdanie „A nie mówiłam!” nawet nie przejdzie jej przez gardło. Zachowa się jak chłodna profesjonalistka. Dzielna Cyn nadaje: „Zadanie wykonane”. No, może wyczyści okazałą srebrną paterę swojej matki, by móc dosłownie podać Jake'owi Oceanic na tacy.

Wsadziła pierwszą pełną danych dyskietkę do torebki i umieściła w komputerze drugą. Wszystkie pobliskie biura już opustoszały, i teraz, kiedy napychała torebkę dowodami winy, chciała się wydostać z tego przekłętego miejsca tak szybko, jak tylko możliwe.

- No, dalej, dalej! - zachęcała komputer, jakby dzięki temu mógł pracować wydajniej.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Będzie to wyglądało dziwnie, jeśli zaraz nie wyjdzie. Już, już prawie skończył...

Skończył. Wrzuciła ostatnią dyskietkę do torebki i odetchnęła z ulgą.

Usłyszała pukanie w jej otwarte drzwi. Odwróciła energicznie głowę, by zobaczyć blady uśmiech Neville'a.

- O, Neville - zawołała gromko.

Gwałtownym kliknięciem myszy przywołała na ekranie własne sprawozdanie, by zakryć dowody swego szpiegostwa.

- Długo pracujesz, moja droga - stwierdził to, co oczywiste, podchodząc bliżej.

- Właśnie kończyłam parę rzeczy do comiesięcznego rozliczenia - zaszczębiotała.

Wstała i odwróciła się do niego, zakrywając sobą monitor.

Podszedł jeszcze bliżej i zaczął bawić się ołówkiem na skraju biurka.

- Rozmawiałem chwilę z Agnes, zanim wyszła.

- Z Agnes?

- Tak. - Jego twarz lekko poczerwieniała. - Powiedziała, że płakałaś.

- Wcale nie płakałam.

W każdym razie od dobrych paru godzin. Była zbyt zajęta szpiegowaniem, żeby myśleć o odejściu Jake'a.

- Masz trochę podpuchnięte i zaczerwienione oczy
- stwierdził.

- To wina alergii - zdołała z siebie wydusić.

Opuścił wzrok.

- Agnes miała wrażenie, że to przeze mnie, że zraniłem twoje uczucia, zostawiając cię tamtego wieczora samą.

Och, Agnes, jak mogłaś!

- Nie, oczywiście, że nie. Agnes musiała mnie źle zrozumieć.

Nastała chwila ciszy. A kiedy przemówił ponownie, jego głos brzmiał zupełnie inaczej - jakby należał do innego człowieka.

- Nie tylko ona się pomyliła. - Głos Neville'a był zimny jak stal.

Spojrzała na niego zaskoczona i zobaczyła, że wpatruje się w jej rozłożony na biurku notatnik, w którym spisywała najbardziej obciążające go informacje z pliku Harrisona.

- Neville, to nie tak...

Sięgnęła po notes, ale on przygwoździł jej dłoń z taką siłą, że poczuła ból.

- Myślę, że popełniłaś błąd, skarbie.

Usłyszała głosy na korytarzu. Znała je. Eddie z terminalu i Doug Ormond. Może jej pomogą? W chwili gdy o tym pomyślała, Neville skoczył do drzwi, by ich wezwać.

Kiedy odwrócił się do niej plecami, dopadła telefonu, drżącą ręką próbując wystukać numer Jake'a. Spoczone palce ślizgały się po przyciskach.

- Odłóż to, Cynthio - powiedział Neville tym samym, nieludzkim głosem.

Zerknęła przez ramię. Człowiek, którego uważała kiedyś za zupełnie niegroźnego i sympatycznego, trzymał w dłoni pistolet wymierzony w jej plecy. Za nim stał Eddie i Doug Ormond. Cała trójka wyglądała śmiertelnie poważnie.

Odłożyła słuchawkę.

Rozdział trzynasty

Jake zmagał się z uczuciem rosnącego niepokoju, sącząc letnią kawę, która smakowała jak toksyczne odpady, i próbując się dzięki niej trochę odprężyć.

W sali zgromadziło się kilkunastu agentów, a oprócz nich paru facetów z Agencji do Walki z Handlem Narkotykami, celnicy i miejscowi policjanci. Wszyscy pracowali nad planem takiego poszerzenia sieci, żeby złapało się w nią jak najwięcej ryb.

Jak się spodziewał, z entuzjazmem przyjęli niezbite dowody przeciwko Oceanic. Ale jemu nie to było w głowie - musiał wyciągnąć stamtąd Cyn. Dzisiaj. Zaraz.

Był jednak agentem zbyt zdyscyplinowanym i doświadczonym, by robić głupstwa. Nie mógł zadzwonić do jej biura ani tam pojechać. Musiał poczekać, aż skończy pracę i wyjdzie, a potem upewnić się, że już więcej tam nie wróci. Nikt na spotkaniu się nią nie zainteresował. Może zapomnieli o jej istnieniu - wszyscy oprócz Carla, który spojrzął na niego pytająco kilka razy, ale trzymał gębę na kłódkę.

Cyn była wolontariuszką. Nie było powodu, by narażać ją teraz na niebezpieczeństwo. A nich to diabli! Powinien był ją przykuć rano kajdankami do łóżka, żeby nie wyszła do pracy. Troska, żal i gniew kłębiły się w jego żołądku równie dokuczliwie jak ta koszmarna kawa. Nagle podniósł się, nie mogąc już dłużej wysiedzieć.

Adam spojrział na niego ze zdziwieniem, ale Jake tylko pokręcił głową. Nic nie wniósł do tej narady, ponieważ nie mógł zrozumieć ani słowa, kiedy mówiło dziesięciu naraz. Zerknął na zegarek. Jeszcze kilka godzin i Cyn skończy. Wymknął się niepostrzeżenie. Pewnie myśleli, że idzie do toalety.

On tymczasem odsłuchiwał swoje wiadomości. Ciągłe mdliło go z niepokoju. Żadnej wiadomości od Cyn. Jedna była od Wonga, agenta Interpolu z Hongkongu. Nagrał się Jake'owi i na numer służbowy, i na domowy. Ponieważ Jake nie wiedział za bardzo, która tam może być godzina, zadzwonił od razu.

- David Wong - odezwał się ktoś miękko angielszczyzną już po pierwszym dzwonu.

- Tu agent specjalny Jake Wheeler, FBI.

- Aha, agent Wheeler. To pan zwrócił się do nas z prośbą o informację na temat Thomasa Harrisona?

- Zgadza się.

- Zdaje się, że go mamy. Wczoraj późnym wieczorem w porcie wydobyliśmy zwłoki. Pasują do pańskiego opisu.

Jake zdrętwiał.

- Jak zginął?

- Od kuli w tył głowy.

Egzekucja.

- Jakież ślady tortur?

- W tej chwili nie można już tego stwierdzić.

- Dyskretny kaszel przebył tysiące mil z Hongkongu do Seattle. - Ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu. Może wyniki autopsji coś wykażą.

- Jest pan pewny, że to Harrison?

- Nie. Nie na sto procent. Miał na ręku zegarek z wygrawerowanym własnym nazwiskiem, a nieopodal znaleźliśmy portfel z dowodem osobistym. Ale nie będziemy w stanie potwierdzić jego tożsamości, dopóki nie porównamy danych o uzębieniu. Wiemy na razie, że był to mężczyzna rasy białej, znamy jego wzrost, a ubranie jest zgodne z pańskim opisem. Wydaje mi się, że mamy tu szczątki Thomasa Harrisona.

Jake pomacał się po brzuchu.

- Wygląda na to, że morderców nie obchodziło to, czy zostanie zidentyfikowany. - Może wysyłali w ten sposób jakieś ostrzeżenie? Harrison musiał zdradzić albo nakraść. - Wiadomo, kiedy nastąpiła śmierć?

- Naszym zdaniem kilka tygodni temu. Jak tylko przeprowadzimy wszystkie testy, dostarczę panu pełny raport.

- Dziękuję.

- W zamian - kontynuował pełnym dyplomacji głosem Wong - będę bardzo wdzięczny za wszelkie informacje na temat znanych wam powiązań pana Harrisona.

- Deklaruję całkowitą współpracę, panie Wong. Dziękuję za informacje. Będę w kontakcie.

- Miłego dnia, agencie Wheeler.

Kiedy skończył rozmowę, jedyną częścią jego ciała, która nie drżała, była ręka trzymająca słuchawkę.

Na zebranie już nie zająztał. Za bardzo mu się spieszyło, żeby w tej chwili udzielać zespołowi dodatkowych wyjaśnień. Mógł to zrobić przez telefon.

Wiedział doskonale, że podejmując działanie na własną rękę, łamał przepisy, ale nie mógł się teraz martwić paroma nieżyciowymi formułkami. A skoro o tym mowa, to złamał jeszcze i tę zasadę, że zadzwonił do Cynthii pod jej bezpośredni numer w Oceanic.

- No, dalej, dziecinko. Odbierz - wymamrotał, przeklinając bezsilność, kiedy zgłosiła się automatyczna sekretarka.

Wybrał numer domowy, ale nie zdziwił się, że i tu trafił na automatyczną sekretarkę. Zaklął szpetnie i mocniej nacisnął pedał gazu.

- Słuchaj, mogę to wyjaśnić - zaprotestowała po raz chyba piąty Cynthia, prowadzona do magazynu.

Z zadowoleniem zauważyła, że jej głos był spokojny. Objawy paniki skryła za surrealistycznym wyobrażeniem, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Niemożliwe, żeby człowiek o tak lodowatym spojrzeniu, z jeszcze bardziej lodowatym pistoletem w dłoni, był tym samym człowiekiem o nieszkodliwej powierzchowności prezentera telewizyjnego, jakiego znała. Niemożliwe, że zamierzał zastrzelić ją z zimną krwią. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach... prawda?

Teraz, kiedy potwierdziła udział Harrisona w handlu narkotykami i praniu brudnych pieniędzy, zaczęła się zastanawiać nad tymi jego „wakacjami” w Hongkongu. Nikt nie dostał od niego nawet kartki pocztowej. Czy karierę w Oceanic zakończył, patrząc w lufę śmiertelnej broni, tak jak ona teraz? Zadrżała na całym ciele.

- Czy to Harrison cię przysłał? - zapytał Doug Ormond, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

- Harrison? Chodzi ci o poprzedniego księgowego?

222 *Nancy Warren*

- Tak, o Harrisona. Faceta, co miał drogie hobby i lepkie palce.

Poczuła mrowienie w żołądku i zaczęło jej się robić niedobrze.

- Nie wiem, czy nadażam. Zdaje się, że Harrison był w Hongkongu.

- Był, może z dzień. Dopóki nasi przyjaciele się nim nie zajęli - odpowiedział tym razem Neville, wymachując pistoletem.

- Zabili go? - zapytała piskliwie.

- Obawiam się, że zabili, kochanie. Tak kończy każdy, kto wejdzie nam w drogę. - Spojrzał na nią wymownie.

- Ale w twoim przypadku trochę to potrwa. - Kiwnął na Eddiego. - Zwiąż ją.

- Czym?

Cyn rozejrzała się wokół za czymś, czym mogłaby się bronić, za czymś, co pomogłoby jej uciec - ale niczego takiego nie zauważyła. Z drugiej jednak strony nie zauważyła też niczego, co dałoby się wykorzystać do związania człowieka. Pudła były pozaklejane taśmą, a drewniane skrzynie pozabijane gwoździami. Przy jednej z maszyn był jakiś łańcuch, ale wyglądało na to, że trzeba wiele wysiłku, żeby go odwiązać.

Rozdrażniony Neville przekazał broń Dougowi Ormondowi.

- Zaczekaj tu.

Kiedy poszedł, Cyn uśmiechnęła się poufale.

- Hej, chłopaki, wiem, że Neville żyje teraz w stresie. A może będzie się tak na parę minut odwrócili? Ja sobie czmychnę i wszyscy zapomnimy o całym zdarzeniu.

- Zamknij się - powiedział Ormond.

Cóż, warto było przynajmniej spróbować. Czekali

w milczeniu, a Cynthia miała czas, by żałować, że nie zna boksu ani karate. Po co komu podwodny aerobik, kiedy jego życie wisi na włosku?

Dokoła niej piętrzyły się groźnie pudła i worki. Przez cienkie podeszwy czuła zimny i twardy cement. Ale znacznie bardziej doskwierała jej świadomość, że jej poprzednik został zastrzelony. Nie mogła pozwolić sobie na panikę. Musiała trzeźwo myśleć.

Jaka szkoda, że nie posłuchała Jake'a, kiedy jej radził, by trzymała się od tego z daleka. Kiedy ślad po niej zaginie, przynajmniej mogła liczyć na jego dalsze śledztwo w Oceanic. Coś znajdą. Agnes będzie pamiętała, że Cyn pytała o Dominica Torreo - to jedyny trop, jakiego Jake potrzebował. Była w tym jakaś słaba pociecha, że przynajmniej zostanie pomszczona. Tak jak Hank.

Miała jeszcze jedno niespełnialne życzenie. Chciałaby powiedzieć Jake'owi, że go kocha, zanim będzie za późno. Zdaje się, że już było za późno, bo otworzyły się ciężkie drzwi i ukazał się Neville Percivald, trzymając pod pachą jej torebkę, a w dłoni parę kajdanek.

Na widok kajdanek przełknęła głośno ślinę. Co innego być przykutą do łóżka przed Jake'em, a co innego przed trzema niebezpiecznymi dryblasami.

Kiedy Neville ją pochwycił, opierała się, wierzgała i drapała. Udało jej się kopnąć go w goleń, aż wydał głośny pomruk. Gdyby mu Eddie nie pomógł, miała szansę się wyrwać. Działając jednak we dwóch, przypięli ją kajdanekami za prawą rękę do biegnącej górą rury kanalizacyjnej.

Spojrzała na nich z nienawiścią i uniosła podbródek, zdecydowana nie poddawać się panice uciskającej ją w piersi. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie zastrzelą jej tu w magazynie i że nadal miała wolną drugą pięść i obie stopy.

Poza tym miała rozum. I byłoby dobrze, żeby się nim posłużyła.

Sytuacja była dziwna - kłopotliwa jak brak konwersacji podczas towarzyskiego przyjęcia - nikt za bardzo nie wiedział, jak się zachować. Ormond ciągle w nią celował, ale ręka zaczęła mu już trochę drżeć ze zmęczenia.

Neville przyglądał jej się ostrożnie, stojąc przezornie poza zasięgiem jej nóg.

- Powinienem być przynieść sznur - mruknął. - Myślę, że najlepiej zabrać ją do mnie.

Metalowe kajdanki zadźwięczały o metalową rurę, kiedy szarpnęła się gwałtownie. Wiedziała, do czego zmierza. Jeżeli mu się zdaje, że ją rozbierze i zrobi jej jakieś odrażające rzeczy, to się grubo mylił.

- No, nie wiem. - Eddie szurnał nogą. - Nie mam nic przeciwko temu, by ją sprzątnąć, ale nie chcę mieć nic wspólnego z tymi twoimi chorymi zabawami.

- Tak - przyłączył się Ormond. - Załatwmy sprawę szybko i bez śladów.

Ponieważ to właśnie on trzymał broń, musiała opanować strach i nie zamykać oczu ani nie kulić się przed nim.

- Widziałem, jak coś tam wkładała - oświadczył Neville, podnosząc torebkę Cyn i wysypując jej zawartość na stół kilka kroków przed nią.

Na podrapany plastikowy blat wypadł portfel, miętowe cukierki, kosmetyczka, klucze, stary pilnik do paznokci, otwarta paczka chusteczek i wreszcie - z łoskotem, jaki zwykle robią podejrzane przedmioty - dwie czarne dyskietki.

Neville posłał jej gniewne spojrzenie. Podniósł jedną z dyskietek, obrócił w dłoni i wpatrywał się w nią, jakby próbując przeświecić wzrokiem.

- No i co? - zapytał.

Kiedy w pobliżu był Jake, niebezpieczeństwo działało na nią jak afrodyzjak. Teraz jednak nie podniecało jej ani trochę. Za to wzbierała w niej złość. Ci faceci zamienili dobrą firmę w jakieś bagno. Co się stanie z George'em i Agnes, i Marilyn, i tymi wszystkimi przyzwoitymi ludźmi, którzy tu pracują?

Niech to diabli! Nie podda się bez walki!

Dość szybko zorientują się, co jest na tych dyskietkach. Jedyne co mogła zrobić, to grać na zwłokę, jak długo się da. I czekać na odpowiedni moment do ucieczki.

- To, hmm... - wzruszyła ramionami - ...tylko trochę danych do rozliczenia miesięcznego. Chciałam nad nimi popracować w domu.

- Przynies laptopa - polecił Neville Ormondowi. Ten odłożył broń na stół, rozmasował swój prawy biceps, po czym bez słowa wyszedł.

Powoli odetchnęła z ulgą. Bez wymierzonej w człowieka broni myśli się lepiej. Znowu przeciwników było dwóch, więc jej szanse poprawiły się o jedną trzecią, ale pozostał stary problem - nadal była przypięta kajdankami do tej cholernej rury.

- Czy mogę skorzystać z toalety? Proszę... - zwróciła się do Eddiego, w którym jej zdaniem łatwiej było wzbudzić współczucie. Chociaż jednak Eddie zaczerwienił się i zająknął, Neville odpowiedział:

- Nie.

Czas mijał, a Percivald skorzystał z okazji, by przetrząsnąć jej kosmetyczkę. Kiedy patrzyła, jak szpera w jej drobiazgach, nie mogła uwierzyć, że miała go za gentlemana. Zaczynała tracić czucie w ręce. Zaciskała palce, by pobudzić krążenie krwi.

- Harrison był twoim facetem? - zapytał Neville, odkręcając szminkę.

- Nie. Już ci mówiłam, że go nie znam.

Czy on naprawdę nie żył? Czy ci przerażający ludzie zabili swego księgowego?

- Niech zgadnę. Miał zadzwonić z Hongkongu, a kiedy tego nie zrobił, pomyślałaś sobie, że zdradził, i postanowiłaś działać na własną rękę.

- Nie, to wszystko nieprawda. - W głębi duszy była zadowolona przynajmniej z tego, że nie mieli pojęcia, co ona tu właściwie robiła. Postanowiła chronić Jake'a i jego operację. - Wzięłam tę pracę, bo potrzebowałam zmiany. Kiedy ślęczałam nad comiesięcznym rozliczeniem, po prostu, hmm, znalazłam ten plik, który nie pasował do pozostałych. Widział go pan na ekranie mojego komputera. Jestem bardzo skrupulatnym pracownikiem.

- Obawiam się, że trochę zbyt skrupulatnym.

- Ale nie rozumiem, co Harrison właściwie zrobił?

Neville wpatrywał się w nią przez chwilę, by wreszcie wzruszyć ramionami.

- Jak już pewnie wiesz, Harrison zaczął podbierać towar sprowadzany przez nas z Kolumbii, popadając w nałóg.

- Był uzależniony od narkotyków?

- To drogie uzależnienie. Potem postanowił robić na boku własne interesy. Musiał się zorientować, że go namierzyliśmy, bo zwinął nam całkiem niezłą sumkę i wyjechał za granicę - wyjaśnił zwięźle Neville.

Próbując prowadzić na boku własny interes, Harrison nie mógł działać sam. Elementy układanki zaczynały do siebie pasować.

- I to samo przytrafiło się Dominicowi Torreo, hand-

larzowi narkotyków, którego zamordowano? On też wszedł wam w drogę?

- Proszę, proszę, jaka mądra dziewczynka, no nie, Doug? Dominic też wpadł. Współpracował z Harrisonem. I obaj marnie skończyli. Nie wiem tylko, jaka jest w tym twoja rola i czy nie pojawi się tu jeszcze jakiś nieproszony gość.

- Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Nawet ich nie znam. I zupełnie nic nie wiem - oświadczyła Cyn, plując sobie w brodę, że na głos skojarzyła Harrisona z zamordowanym handlarzem narkotyków. Zdaje się, że jej umysł nie pracował na normalnym poziomie.

Neville uruchomił komputer i włożył dyskietkę. Nie minęła minuta, a na ekranie przed nią pojawiły się dane o podejrzanych emeryturach.

- Nie wiedziałem, że zachował dla siebie kopię wszystkich operacji - wymamrotał, śledząc na monitorze kolumny cyfr i zerkając gniewnie na Cynthię. - A może nie chodziło ci wcale o prochy, co, Cyn? Szantaż?

- Nie. Po prostu natknęłam się na ten plik i zaczęłam główkować, co to takiego.

- Akurat! To po co zabierałaś go do domu? - Spojrzał na nią badawczo.

- Chciałam go w domu przejrzeć. Wolałam zbyt pochopnie nie formułować zarzutów wobec mojego poprzednika.

- Jesteś z Armii Zbawienia? Nie chciałaś sobie załatwić pokazniejszego wpływu na własny fundusz emerytalny, za to, że będziesz trzymać gębę na kłódkę na temat naszych operacji?

- Jakich operacji? Wiem tylko, że program socjalny jest nieefektywny. Mam kilka pomysłów, żeby go usprawnić.

- Hej, stary- odezwał się Eddie - może ona rzeczywiście nic nie wie...

Pomruk niedowierzania uciszył go.

- Już zapomniałeś o kawałku papieru pod paletą? - przypomniał mu Neville, wskazując podbródkiem miejsce, gdzie ona i Jake sprawdzali partię pałeczek.

- Chodzi wam o papier z opakowania? Co, zapomniałam wyrzucić go do kosza? - Zaczęła się zastanawiać, czy tylko jej prawe ramię jest niedokrwione, czy może głowa też. Nic tu się nie trzymało kupy.

- Nie zgrywaj się, Cynthio. To ci nie przystoi. Powiedzmy, że my tu w Oceanic bardzo dbamy o powtórne wykorzystanie materiałów odpadowych. Arkusze papieru pakowego, w którym przywozimy towary z Kolumbii, są przetwarzane w laboratorium w wysokiej jakości kokainę. Kokainę o wielomilionowej czarnorynkowej wartości. Ale ty o tym już wiedziałaś. Zróbmy tak: ty nam powiesz, kto jest twoim wspólnikiem, a my puścimy ten przykry incydent w niepamięć. Żadnych nieprzyjemnych doznań.

Żadnych nieprzyjemnych doznań? Doznawała właśnie nieprzyjemnego uczucia, że skończy jako pokarm dla ryb. Gdyby udało jej się skłonić ich, by ją rozkuli, nawet jeśli planowali zawieźć ją do domu Neville'a, miałyby przynajmniej szansę ucieczki. Nie był to może jakiś oszałamiający plan, ale tylko na taki było ją teraz stać.

Starła się wyglądać na przestraszoną, co w tych okolicznościach nie było wcale takie trudne. Zagryzła wargi i rozejrzała się wokoło.

- Jeżeli wam powiem, zabijecie mnie.

- Powiedz nam wszystko, co wiesz, a my się zastanowimy, czy nam się nie przydasz.

Jako obciążenie do wyrzucanych za burtę śmieci? Próbowała wyglądać na uspokojoną i trochę naiwną.

- Nie puszcę ani pary z ust, Neville. Możesz mnie rozkuć?

- Najpierw powiesz nam, co wiesz.

- Hej, patrz, herbatniki w czekoladzie.

Ormondowi znudziło się już to przesłuchanie i zaczął przetrząsać szuflady. Torebka zaszeleściła, kiedy wetknął do niej swoją mięsistą łapę i wyciągnął ciastko. Cyn zwróciła uwagę na zarost na jego dłoniach i przypomniały jej się słowa żony dozorca, opisującej jednego z ludzi od przeprowadzki. Szkoda, że dopiero teraz to skojarzyła.

- Mmm, uwielbiam herbatniki w czekoladzie - oświadczył, głośno mlaskając.

- Może zająłbyś się pistoletem! - upomniał go Neville.

- A tak, przepraszam. - Doug osunął się na krzesło i zaczął wywijać bronią w różnych kierunkach. Druga ręka, ta, w której trzymał świeże ciasteczko, zwiślała bezwładnie tuż nad ziemią.

Kątem oka Cyn zauważyła, że po ziemi coś biegnie. Coś czarnego, owłosionego, z długim, cienkim ogonem. Kiedy myślała, że już gorzej być nie może, do imprezy przyłączył się ten przekłety szczur. Z jej ust wydobył się stłumiony krzyk. Wolną ręką wskazała na zbliżającego się do ciastka gryzonia. Zwabił go szelest torebki, który brzmiał dla niego jak gong obiadowy.

- Co?

Ormond obrócił głowę we wskazanym kierunku i nagle rozpętało się piekło. Zapiszczał z przerażenia, jeśli można to tak nazwać w przypadku gangstera w średnim wieku z nadwagą. A szczur, który był już przy ciastku, chybił celu i ugryzł Ormonda w palec. Ten, szalejąc

z wściekłości, poderwał rękę tak, że szczur wyleciał w powietrze. Pistolet wypalił.

Cynthia zamknęła oczy, kuląc się instynktownie, by stanowić jak najmniejszy cel. Czy to już teraz? Czy jej życie miało dobiec końca w tym okropnym magazynie?

Powietrze przeszył ochrypły krzyk - ale to nie ona krzyczała. Otworzyła szeroko oczy i stwierdziła, że to Eddie. Upadł na ziemię, trzymając się za krwawiące udo.

- Ty sukinsynu, postrzeliłeś mnie.

I w tym samym momencie przy wejściu do budynku nastąpiła eksplozja. Niemal natychmiast zawył alarm.

Szczur popędził z czekoladowym herbatnikiem Ormonda między skrzynie.

- Co do cholery... - Neville spojrzał na Cynthię, a zamiast oczu miał dwie tryskające nienawiścią szpary. - Uważaj na nią - polecił jęczącemu Eddiemu i z kieszeni marynarki wyciągnął pistolet. - Idziemy! - rozkazał z kolei Ormondowi, który podążył za nim, ssąc palec i klnąc siarczyście.

Cyn nawet się nie zastanawiała, czy eksplozję wywołali sprzymierzeńcy, czy wrogowie. Najważniejsze w tej chwili było wykorzystać jedyną szansę ucieczki, jaką dostała.

Na stole, wraz z całą zawartością torebki, leżały jej klucze. Był wśród nich mały srebrzysty kluczyk, który zdawał się do niej mrugać jak niedosięgła gwiazdka. To ten dopięty przez Jake'a. Kluczyk od kajdanek z sex-shopu. Wiedziała, że Neville zaopatruje się tam również. Czy to możliwe, żeby tam kupił kajdanki, które krępowały jej prawą dłoń? Spojrzała na rękę i na rurę. Kajdanki wyglądały na identyczne z tymi, które miała w domu. Czy będzie pasował do nich ten sam kluczyk?

Nie miała pojęcia, ale to był jej najlepszy pomysł na ucieczkę.

Eddie pojękiwał. Bardziej zajmował go własny problem niż jego więzień. Gdyby tylko udało jej się go pozbyć...

- Eddie, pomóż mi.

Wymamrotał jakieś przekleństwo.

- Bo się tu wykrwawisz. Tamtych dwóch po prostu uciekło i cię zostawiło. Rozepnij kajdanki, a ja opatrę twoją nogę.

- Nie mam kluczyka. - Wpatrywał się bezradnie w swe obficie krwawiące udo.

Zaufać czy nie zaufać? Spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że przecież miał w ręku broń.

- Musisz zrobić sobie opatrunek. Zdaje się, że w łazience są ręczniki, może i apteczka.

Popatrzył na nią, niewątpliwie oceniając ryzyko zostawienia jej tu samej. Ale było jasne, że bez klucza do kajdanek Cynthia nigdzie stąd nie pójdzie. Jęcząc i stękając, podniósł się z trudem i pokuśtykał w bólach do łazienki.

Prędeż, prędeż, dopingowała go w duchu, wiedząc, że pozostali dwaj mogą w każdej chwili wrócić.

Eddiemu udało się dotrzeć do łazienki, ale nie zamknął za sobą drzwi. Nie widział jej, jednak zdawała sobie sprawę, że od czasu do czasu będzie wyglądał. Szybko pochyliła się i wysunęła przed siebie wolną rękę. Szarpała się i wyciągała jak długa, ale dobre piętnaście centymetrów dzieliło końce jej palców od krawędzi stołu.

Naśladowując filmy akcji, uniosła ręce, chwyciła się rury i rozkołysała, by sięgać nogami jak najdalej przed siebie. Od razu dowiedziała się, że kaskaderzy występujący

w tego typu filmach musieli wcześniej wykonać dużo więcej przysiadów niż ona. Mięśnie brzucha aż krzyknęły w proteście, kiedy podjęła próbę zahaczenia stopą o nogę od stołu. Nie dosięgła i opadła z gracją worka kartofli.

Załkała z bezsilności i spróbowała ponownie. I znowu się nie udało.

- FBI! Nie ruszać się! - Nawet przez tak grube drzwi rozpoznawała ten głos.

- Jake! - krzyknęła drżącym głosem, czując ulgę. On tu był! Uratuje ją. Wszystko będzie dobrze.

Wywiązała się wymiana ognia.

Chwilę później ktoś wyłączył alarm,

- O mój Boże! Jake! Nie!

Nie mógłby sam wyłączyć alarmu. Musiał to zatem zrobić Neville. Co oznaczało, że Jake jest ranny, może krwawić, może jej potrzebuje. Cynthia wzięła głęboki wdech i jeszcze raz się rozhuściła, zaciskając zęby. Zahaczyła palcami u nóg o nogę od stołu i naprężając każdy mięsień udręczonego ciała, przyciągnęła stół do siebie o kilkanaście morderczych centymetrów.

Zasapana pochyliła się do przodu i tym razem była już w stanie dosięgnąć kluczy, przypiętych do breloka Stowarzyszenia Księgowych Północno-Zachodniego Wybrzeża Pacyfiku. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, czy całe to grzechotanie nie zaalarmowało Eddiego. Chwyciła mały srebrzysty kluczyk i włożyła go do zamka. Wilgotna od potu dłoń drżała. Gmerała w zamku, ale nie mogła go otworzyć.

- Proszę, proszę... - szeptała niecierpliwie, ze zdenerwowania prawie zanosząc się łzami.

Jake jej potrzebował. Musiała się do niego dostać.

Gorączkowo, rozdygotanymi palcami przekręcała klu-

czyk w lewo i w prawo. Kiedy już była niemal pewna, że nie pasował, usłyszała zgrzyt poddającego się zamka. Pomyślała, że ten metaliczny szczęk to najcudowniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała.

Uwolniła rękę i pobiegła przed siebie. Kiedy mijała łazienkę, zajrzała do środka i na podłodze zobaczyła Eddiego. Przez chwilę wahała się, ale Jake też mógł leżeć w kałuży krwi. Nie miała wątpliwości, komu najpierw powinna udzielić pomocy.

Pędząc w kierunku drzwi, przypomniała sobie o szafce z narzędziami koło jednego z hydraulicznych podnośników. Pomyślała, że może potrzebować broni, i chwyciła wielki płaski klucz. Znowu się zawahała. Eddie miał broń, więc mogła wrócić i mu ją zabrać. Potem pomyślała, że przecież nawet nie wie, jak się nią posługiwać.

Być może wobec arsenału walczących przy wejściu ten jej łom nie znaczył wiele, ale było jej raźniej, kiedy czuła w dłoni jego ciężar.

Otworzyła drzwi na tyle, by móc zajrzeć przez szparę. W biurze zarządu było ciemno. Jedyne światła awaryjne rzucały słabą poświatę, dzięki której mogła cokolwiek widzieć. Przemknęła korytarzem, wypatrując sobie oczy i nasłuchując najmniejszego szelestu. Nie słyszała nic poza buczeniem pomp systemu grzewczego i szuraniem własnych butów po wykładzinie.

Doszła do zakrętu i usłyszała głosy.

- Pytam po raz ostatni. Gdzie jest ten bydlak?

To głos Jake'a, gniewny, napastliwy i bardzo, bardzo żywotny. Serce waliło jej jak młotem, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Był cały i zdrowy. Musieli się stąd wy dostać. Powie mu o swoim uczuciu, kiedy już będzie po wszystkim.

Pokonała szybko korytarz i zatrzymała się niedaleko nich. Oto i Jake: silny i dominujący, ze swą wielką, przerażająco czarną spluwą skierowaną w krocze skulonego Ormonda.

- Kto?

Obaj stali do niej bokiem. Widziała nerwowe spojrzenie Ormonda. Jake musiał odszukać Neville'a. Gdzie był Neville?

Kiedy otwierała usta, by ostrzec Jake'a, Ormond powiedział:

- Ona nie...

- Ona nie żyje. - Neville wyrósł nagle za Jake'em, przystawiając mu pistolet do pleców.

- Nie - powiedział Jake łagodnie, by za chwilę wrzasnąć: - Nie!

- Niestety, już za późno, chłopie.

Twarz Jake'a zrobiła się w jednej chwili popielata.

- Nie... nie Cynthia!

- Nie przejmuj się, kochasiu. Niedługo do niej dołączysz - zaśmiał się Neville sardonicznie. - Przechytryła mnie. Myślałem, że pracuje dla Harrisona, podczas gdy przez cały czas była wtyczką FBI. To bardzo wygodne.

Jake potrząsnął głową, jak gdyby koło ucha latała mu jakaś nieznośna mucha. Widziała, jak próbuje wziąć się w garść, przywdziewając granitową maskę, która miała zakryć jego cierpienie.

- Rzuć broń i załóż ręce na głowę! - polecił Neville'owi.

- Ani mi się śni.

Jake energicznym ruchem wskazał na Ormonda.

- W takim razie twój przyjaciel zaśpiewa sopranem.

- Neville, na litość boską! - Ormond był przerażony.

Stał z rękami założonymi na głowie, a Cyn obserwowała, jak rozpaczliwie krzyżuje nogi, by się zasłonić.

- Niech zaśpiewa - odparł Neville, ignorując protesty Ormonda. - Ty zastrzelisz jego, a ja ciebie. Potem upozoruję wszystko w taki sposób, jakby to Ormond zabił funkcjonariusza FBI i był wplątany w przemyt, podczas gdy ja o niczym nie wiedziałem. Będę oczywiście bardzo zdenerwowany i gotowy do pełnej współpracy z FBI. Zamówię sobie też nowy garnitur u krawca. Coś, co mógłbym włożyć na wasz pogrzeb.

Zrób coś, Jake! - błagała go w duchu Cynthia. Powiedz coś!

Ale on nie wyglądał na zbyt przytomnego.

- Powiedz mi, co zrobiłeś Cynthia - odezwał się w końcu.

I w tamtej chwili już wiedziała, że ją kocha. Tak bardzo, że nie kalkulował chłodno nawet wówczas, gdy jego własne życie było w niebezpieczeństwie. Łzy stanęły jej w oczach.

- Nic mi nie zrobił - powiedziała głośno i donośnie, ruszając do przodu i rzucając w Neville'a kluczem.

- Na ziemię! - krzyknął Jake, gdy tylko zauważył, że broń Percivalda przesuwają się w jej kierunku.

Obserwowała lot płaskiego klucza - w zwolnionym tempie, jak to się pokazuje kiepskie rzuty na zawodach - a potem usłyszała dwa wystrzały. Upadła na podłogę, słysząc nad sobą świst przelatującego pocisku. Neville'a odrzuciło do tyłu. Z jękiem chwycił się za ramię i przewrócił.

Jake z powrotem wymierzył w Ormonda, ale ten ani drgnął. Wyglądał tak, jakby ta strzelanina go nie dotyczyła. Bez przerwy wpatrywał się w Neville'a.

- Był gotów mnie poświęcić. Myślałem, że jesteśmy partnerami.

W dwóch susach Jake znalazł się przy Neville'u, wykopał mu pistolet spod bezwładnej dłoni, a potem go podniósł.

- Wszystko w porządku? - zawołał do Cyn.

Pokiwała głową, nie ufając własnemu głosowi.

- Czy on... nie żyje? - odważyła się zapytać, a jej głos drżał równie mocno jak nogi.

Pokręcił głową.

- Wprawdzie na to nie zasłużył, ale żyje.

Rozglądając się wokół, podszedł do komputera i wyciągnął z niego jeden koniec kabla, a drugi z gniazda w ścianie. Potem błyskawicznie związał jej byłego szefa. Neville otworzył oczy i jęknął. Cyn odłączyła drugi kabel i podała go Jake'owi. Wziął go bez słowa i spętał Ormonda.

Drżenie, które zaczęło się od nóg, obejmowało coraz większą powierzchnię jej ciała. Otuliła się rękami, próbując wyregulować oddech. Jake nie zwracał na nią uwagi i robił swoje. Wyciągnął telefon, wybrał kilka numerów i wydał instrukcje. Dobiegały ją różne słowa - karetka, lokalna policja, spece od narkotyków - ale jej umysł nie był w stanie ich rozszyfrować. Poczuła się tak, jakby woda dostała się jej do uszu.

Spojrzała na Neville'a, jęczącego na ziemi. Na koszuli z przodu miał wielką, czerwoną plamę. Odwróciła wzrok. Widok rany postrzałowej przypomniał jej o Eddiem w łazience.

- Eddie jest ranny.

- Kto?

Dygotała tak bardzo, że ledwie mogła się utrzymać na nogach.

- Eddie.

- Gdzie on jest...

Jake spojrzał na Cyn i w jednej chwili był przy niej.

- Trzymaj się, Cyn, tylko mi nie mdlej. - Chwyć ją w ramiona, ciepłe i silne. - Hej, dziecinko. Już dobrze. Już po wszystkim. - Głaskał ją po rękach.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Za nią następna. Zapiszczała przestraszona, potem na czarnych kurtkach zauważyła emblematy FBI.

- Eddie jest w łazience na terenie magazynu - powiedziała słabym głosem do Jake'a, nie chcąc rozmawiać z nikim innym ani opuszczać jego ramion.

- Zajmiemy się nim. W porządku?

- Tak.

- To dobrze. - Wypuścił ją ze swoich objęć. - Wyślę kogoś, żeby zawiózł cię do domu. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Moje klucze, moja torebka. Są w magazynie.

Jake wydał stanowczym tonem polecenia ponad jej plecami i zanim się obejrzała, wyprowadzono ją z budynku i wsadzono do samochodu.

Słabo pamiętała jazdę z młodziutkim agentem, który najwyraźniej aż się palił do tego, by jak najszybciej wrócić do Oceanic, i nie było mu w smak, że musiał odgrywać rolę szofera. Mimo to, kiedy dotarli do jej domu, otworzył drzwi wejściowe i kiedy już wyłączyła alarm, wprowadził ją do środka.

- To zbyteczne - zapewniła go.

Oficjalny obchód tylko przypominałby tę noc, kiedy robiła to z policjantem, a zaraz potem Jake ją rzucił. Sceptyczne spojrzenie nowicjusza mówiło jej, że absolutnie się z nią zgadza.

- Takie mam polecenie od Jake'a, proszę pani.

Wolałaby raczej, żeby to Jake osobiście eskortował ją do domu - ale przynajmniej myślał o tym, by była bezpieczna.

- Może zrobię pani herbaty albo coś innego do picia?

- zaproponował chłopak, przestępując z nogi na nogę.

- Nie. - Uśmiechnęła się życzliwie. - Nic mi nie jest. Wezmę gorącą kąpiel i pójdę wcześniej spać. Ale dziękuję. Lepiej tam wracaj.

- Jest pani pewna?

- Jestem pewna. Dziękuję, że mnie odwiozłeś.

Zniknął w ułamku sekundy i została sama. Czuła się słaba i pusta w środku.

Podgrzała puszkę zupy i zmusiła się do jedzenia, mając nadzieję, że poczuje się lepiej. Potem ugotowała dzbanek herbaty rumiankowej i wlała trochę bladobrazowego płynu do filiżanki.

Po takim dniu?!

Podeszła do szafki z alkoholami i zaczęła grzebać pośród zakurzonych butelek, aż natrafiła na brandy, przypuszczalnie starsze od niej. Solidna dawka dodała mocy ziołowemu naparowi i ciepło zaczęło się rozchodzić po całym jej ciele.

Potem wpełzła na górę, odczuwając ból w każdym mięśniu, i puściła gorącą wodę, aż wanna napełniła się po same brzegi. Kryształki lawendy aromatyzowały parę unoszącą się nad kąpielą. Westchnęła i zanurzyła ciało w cudownym wrzątku.

Popijając zakrapianą herbatę, wróciła myślami do Neville'a Percivalda i aż się wzdrygnęła. Gorąca woda wokół niej, rozgrzewający alkohol w niej, a ona nadal się trzęsła. Próbując zająć swój umysł czymś innym, przypomniała

sobie tę chwilę, w której Jake dowiedział się o jej rzekomej śmierci.

Kiedy ta historia się skończy, może zaczną od nowa. Może umówią się na prawdziwą randkę i będą ze sobą romansować jak normalni ludzie. Ta myśl sprawiła jej wielką przyjemność. Jake był jej winien etap podrywania.

Parująca woda zaczęła ją rozluźniać. Westchnęła głęboko, oddychając aromatem lawendy. Im szybciej sprawa Oceanic zostanie zamknięta, tym szybciej będą mogli zająć się sobą. Teraz, kiedy mieli tajny plik Harrisona, nie powinno być problemów z wytropieniem całej szajki i zgromadzeniem dowodów winy Neville'a i jego kumpli. Fragmenty pliku Harrisona przemykały jej przed oczami jak nocne zwiidy.

Usiadła. Woda z wanny przelała się na posadzkę. O Boże! Jake nie wiedział o jej odkryciu. Nie miała mu kiedy o nim powiedzieć.

Wyskoczyła z wanny i zarzuciła szlafrok na mokre ciało. Po szybkich, nerwowych poszukiwaniach znalazła torebkę i wszystko z niej wysypała. W porządku, ktokolwiek pakował ją w magazynie, włożył do środka również dyskietki z danymi na temat emerytur.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Był szalony, ale mógł się powieść.

Rozdział czternasty

Półów nie był wcale taki zły: wpadła jedna przesyłka koki i zlikwidowano jeden element łańcucha - Oceanic. Ale na tym nie koniec. Jake miał nadzieję rozprawić się z całą siatką.

W ciemnościach przedświt wślizgnął się do domu Cyn. Wiedział, że śpi, ale musiał to sprawdzić. Musiał zobaczyć, jak śpi, popatrzeć na jej unoszącą się i opadającą pierś, musiał się przekonać, że żyje. Kiedy przypomniał sobie chwilę, gdy dowiedział się, że ją stracił, serce w nim zamarło. Nigdy więcej nie chciałby przeżyć czegoś równie wstrząsającego.

Przetarł zmęczone oczy. Kiedy to się stało? Kiedy zakochał się w tej wyuzdanej, upartej, irytującej... Westchnął. Nie miało sensu zastanawiać się, kiedy zmyliła jego czujność. Zakochał się, i tyle. Ta kobieta opanowała jego serce, a on nawet nie podjął walki.

Westchnął ciężko i zaczął skradać się do jej sypialni. W gabinecie paliło się światło. Pomyślał, że albo zapomniała je zgasić, albo bała się ciemności.

Nie spała. Siedziała przy komputerze otulona białym szlafrokiem frotte. Włosy sterczały jej we wszystkie strony, jak gdyby tylko wytarła je ręcznikiem i nie rozczesała. Kiedy patrzył, jak zapamiętałe stuka w klawiaturę, poczuł w sercu płomień miłości. Miłości do tej odważnej, trochę szalonej kobiety, potrafiącej zarówno zrobić bilans, jak i przyjść innym z pomocą.

Lekki uśmiech - ni to z podziwu, ni to z frustracji - wykrzywił jego usta. Dlaczego, po tym co przeszła, nie była teraz pogrążona w głębokim śnie? Co też takiego ważnego robiła? Może pisała skargę do jego szefa.

Zrobił już w życiu wiele głupot, ale wystawienie Cynthii na niebezpieczeństwo było wszelkie rekordy. Nie miał wątpliwości, że gdyby opowiedziała w FBI swoją historię, czekałaby go zasłużona komisja dyscyplinarna. Mogliby zrobić z nim wszystko, z odebraniem odznaki włącznie. Ale co mu tam! Najważniejsze, że ona żyła.

Była nadzieja, że dzięki tym swoim karkołomnym popisom będzie miał jeszcze jedną szansę u jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochał.

- Cześć - powiedział cicho, żeby jej nie spłoszyć.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, poczuł gorąco. Przesunął dłonią po nieogolonej twarzy. Musiał być bardziej zmęczony niż myślał. Nie cierpiał spartaczonych akcji, a za tę czuł się odpowiedzialny osobiście. To on inicjował działania i był zdeterminowany udowodnić, że kolejnym celem FBI powinien być Oceanic. Udowodnił, że się nie myli, i jeszcze tego samego dnia schrzanił wszystko dokumentnie. To o takich chwilach mówi się, że zwycięstwo przeszło komuś koło nosa.

- Cześć.

Miała oczy podkrążone od wpatrywania się w ekran i z braku snu. Była blada, bez makijażu. Włosy w kompletnym nieładzie. Ale jemu wydało się, że nigdy nie widział czegoś równie pięknego jak uśmiech, który rozkwitł na jej ustach.

Dawniej szczycił się samokontrolą i zdyscyplinowaniem, jednak w tej chwili wiedział, że to już przeszłość. Nie mógł wytrzymać bez jej ust ani też przestać jej kochać. W ułamku sekundy obrócił jej fotel, aż znaleźli się z nią twarzą w twarz. Wtedy pochylił się do pocałunku.

Kiedy dotknął jej ust, wydała pomruk zadowolenia i lekko je rozchyliła. Całe jego zmęczenie ustąpiło pod naporem nagłej fali tak silnego pożądania, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Objęła go za szyję obiema rękami, a jej szlafrok rozchylił się. Wsunął dłoń pod jego poły i dotknął jędrnych, kragłych piersi. Sutki zeszywniały pod wpływem pieszczot. Była taka ciepła i, Bogu dzięki, żywa. Każde uderzenie jej serca, każde westchnienie, każde przyspieszenie pulsu uświadamiały mu, ile w niej było życia. A to życie stało się dla niego bardzo cenne.

Poczuł drżenie i zdał sobie sprawę, że to on tak drży.

- Myślałem już, że cię straciłem - wymamrotał jej w usta.

- A ja myślałam, że on cię zastrzeli.

- Przepraszam.

- Ja też.

- Pragnę cię.

- Och, tak. - Pachniała lawendą i kobietą. Jej skóra pod szlafrokiem była ciepła i jedwabista. Nie chciał się spie-

szyc, chciał się delektować każdym cudownie żywym skrawkiem jej ciała. Ale cierpliwość porzuciła go, podobnie jak samokontrola. Pospiesznie rozchylił kolanami uda Cyn i zsunął dłoń po jej brzuchu, docierając do wilgotnego i gotowego na wszystko celu swoich pragnień.

Już dłużej nie wytrzyma - musi w nią wejść, głęboko, do końca. Chwycił ją pod pachy i postawił na nogi, by rozłożyć na blacie biurka.

Gdy on rozpinał pasek i spodnie, ona odsunęła na bok klawiaturę. Mimo podniecenia zauważył z rozbawieniem, że pamiętała, by wcisnąć klawisz zapisujący zmiany. Chwycił wysoko jej uda, rozsunał na boki i wdarł się w nią, jęcząc głośno, gdy jego penis ogarnął śliski żar.

Oczy Cyntii rozszerzyły się nagle. Po chwili stracił z nimi kontakt, bo odchyliła głowę do tyłu. Jej nogi oplótły mu się wokół bioder, a wsparte jedynie na dłoniach ciało wygięło pod nim w łuk. Szlafrok rozchylił się i tylko pasek opasywał luźno jej obnażony brzuch. Rozsunał klapy na boki, by móc obserwować jej podbrzusze i piersi, kiedy wyginała się ku niemu.

Próbował się powstrzymywać, zwolnić tempo, by nie wytrysnąć w trzy sekundy, ale jego starania były z góry skazane na porażkę. Ona dostosowała się do tego szaleńczego rytmu. A kiedy stracił już zupełnie panowanie nad sobą i dał za wygraną - przeżył ekstazę.

Jego jęk tylko spotęgował jej orgazm. Patrzył zahipnotyzowany, jak targa nią wstrząs za wstrząsem, podczas gdy z gardła falami wydobywały się wibrujące okrzyki.

Opadł na fotel, ciągnąc ją za sobą tak, że rozłożyła się

na laptopie. Jej nogi zwisały bezwładnie przez oparcie fotela, głowa wspierała się na jego ramieniu, a ręce jeszcze raz objęły go za szyję.

- Kocham cię - zamruczał jej we włosy.

Ona z kolei westchnęła mu w szyję, a potem w to miejsce pocałowała.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała z drzeniem w głosie.

Pozostawali w tej pozycji przez kilka minut, a on myślał sobie, że nigdy nie był taki... taki zadowolony, taki spełniony.

- Tamtej nocy zachowałem się jak dupek. Przepraszam.

Poruszyła się lekko, a jej włosy połaskotały go w brodę.

- Chciałam ci wszystko wyjaśnić, ale mi nie pozwoliłeś. Nie jestem żadną kocicą, tylko udawałam. Neville wepchnął mi język do gardła, zanim zdążyłam się wydostać z limuzyny. - Jake aż się wzdrygnął ze wstrętem, mając nadzieję, że minie sporo czasu, zanim jęczący z bólu Neville dostanie jakiś środek znieczulający. - A osobą, która zaprosiła mnie na wczorajszą kolację, był Walter. Ma nową dziewczynę i ona poradziła mu, żeby naprawił każde zło ze swej przeszłości.

- Co?

Cynthia zachichotała.

- Zdaje mi się, że jest pod wpływem New Age.

- Kłamiesz - stwierdził z przekonaniem.

- Co?

Zazwyczaj mówiła „słucham” albo „proszę”. Udało mu się jednak sprawić, że się nastroszyła. Miała lekko rozchyłone usta z oburzenia, a na twarzy wyraz zdumienia i złości.

- Powiedziałaś, że nie jesteś kocicą. To nieprawda, droga panno. Jesteś najbardziej namiętną kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Gniew zamienił się w promienny uśmiech, a policzki oblały pąsem.

- Naprawdę?

Nie mógł się powstrzymać i znowu ją pocałował.

Westchnęła i wsparła głowę z powrotem na jego ramieniu. Była w siódmym niebie. Przez chwilę po prostu siedzieli na fotelu w jej gabinecie, przytuleni do siebie, zadowoleni. Po kilku minutach Cyn poruszyła się.

- Rozmawiałaś z George'em Percivaldem?

Jake westchnął ciężko. Nie chciał się nad tym rozwodzić, ale miała prawo wiedzieć.

- Tak. Był naprawdę wściekły, ale mam wrażenie, że mu ulżyło. Moim zdaniem, podejrzewał, że coś jest nie tak, ale za bardzo ufał swojemu pasierbowi.

- Nic mu nie będzie?

- Jest z nim Agnes.

Cynthia pokiwała głową, rozumiejąc, co ma na myśli. Nie musiał więc opowiadać, jak to Agnes trzymała Percivalda seniora za rękę, a potem wymknęła się, by zrobić herbatę. Kiedy wróciła, Jake poznał, że musiała w kuchni wylać wiele łez. Był jednak pewien, że dla dobra swojego ukochanego pozostanie silna.

- Zrobi, co w jego mocy, aby pomóc w śledztwie. Na niewiele się to zda, chyba że udałoby mu się skłonić Neville'a i Ormonda do zeznań. - Jake ziewnął, oparł się wygodnie i zamknął oczy, czując, że jest zupełnie wyczerpany. - Powinniśmy się położyć.

- Mam pomysł - poinformowała go Cyn głosem na tyle donośnym, że ona na pewno nie była senna.

- Myślę, że jestem zbyt zmęczony. - Otworzył jedno oko i zerknął w dół, na jej odsłoniętą pierś. - Chyba że ty będziesz na górze. Wtedy... może.

Zachichotała.

- Nie chodzi mi o seks. Nie miałam okazji ci o tym powiedzieć, ale znalazłam prawdziwe księgi rachunkowe firmy. Harrison przechowywał ich tajną kopię. Bardzo obciążający materiał.

Mówiła jak gliniarz, co wywołało pełen rozczulenia uśmiech na ustach Jake'a. Nagle dotarło do niego, co właściwie powiedziała, i wyprostował się do pozycji siedzącej tak gwałtownie, że omal nie zepchnął jej na podłogę.

- Znalazłaś dowody?

- I listę nazwisk - oświadczyła, bardzo z siebie zadowolona. - Jestem też prawie pewna, że fundusz emerytalno-rentowy był w jakiś sposób wykorzystywany do prania brudnych pieniędzy. Właśnie nad tym pracowałam, kiedy wszedłeś i hm... przerwałeś mi. Mam zamiar jutro dokładniej sprawdzić akta personalnie.

- Zabrałaś je do domu?

Rzuciła mu spojrzenie, do którego zaczynał się przyzwyczajać. Oznaczało ono, że w zasadzie chodziło jej o coś innego.

- Sprawdzę jutro w biurze.

- W żadnym wypadku!

Zeskoczyła z jego kolan i spojrzała mu uważnie w oczy.

- Zastanawiałam się nad tym, Jake. Moim zdaniem, powinniśmy wysłać tę partię towaru, jak gdyby nigdy nic. Agnes, George i ja dbalibyśmy na bieżąco o interesy, a gdyby kto pytał, mówiłoby się, że Eddie jest na

zwolnieniu lekarskim, a Neville z Ormondem w podróży służbowej. Oczywiście oryginalny papier pakowy zastąpilibyśmy podróbką. Śledzilibyśmy przesyłki i cierpliwie czekali. - Zapał rozświetlał jej spojrzenie. - W tym czasie zaczęlibyśmy śledzić niektórych emerytów i sprawdzać nazwiska innych, wymienionych przez Harrisona osób.

- Ale ty...

- Jeżeli zamkniecie firmę, pozostali zaczną coś podejrzewać. Będą mieli sporo czasu, żeby się ulotnić. Ale jeśli będziemy udawali, że wszystko gra, ty i reszta zespołu będziecie mogli spokojnie robić swoje. Może dojdziecie do tego, kto zabił twój przyjaciela. - Zadarła podbródek i spojrzała na Jake'a. - Zamierzam jutro wrócić do mojego gabinetu.

Zerwał się z fotela i pogroził jej palcem.

- Tej nocy o mało nie zginęłaś. Nie masz odpowiedniego przeszkolenia.

- Ty mnie zwerbowałaś, Jake - odparła spokojnie, co jeszcze bardziej go rozzłościło. - Poza tym ty też o mało nie zginęłaś. A jesteś przeszkolony.

- To co innego.

- Bo jesteś mężczyzną?

- Bo umieram ze strachu o ciebie, przez co nie mogę wykonywać swojej pracy.

Westchnęła i poprawiła szlafrok. Spojrzała na niego gniewnie, a jej oblicze znowu przybrało wyraz, który go zaniepokoił.

- Dużo na ten temat myślałam, Jake. Sądzę, że znalazłam dla siebie właściwe zajęcie.

- Agentka? - wyjęczał.

- Nie, księgowa w randze eksperta FBI. Jestem

naprawdę doskonałą księgową, tyle że znudzoną. Uważam, że mogę wykorzystywać moje umiejętności i mieć przy tym odrobinę emocji. - Obdarzyła go figlarnym spojrzeniem, i od razu wiedział, że znowu musi się mieć na baczności. - Szepniesz, gdzie trzeba, słówko w mojej sprawie?

Aż się zakrztusił.

- Czy muszę ci tłumaczyć, jaki to kiepski pomysł?

- Dlaczego?

Starał się naprędce przytoczyć jakiś logiczny argument.

- W FBI krzywo patrzą na romanse między agentami.

- Nie powiemy im.

- Mogą zacząć coś podejrzewać, kiedy pojawią się dzieci.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę i jej oczy zrobiły się wilgotne.

- Czy ja się nie przesłyszałam?

Westchnął, nie przyzwyczajony do łez.

- Nie przesłyszałaś się. Mówię o naszych dzieciach. Twoich i moich. - Poczuł wielki ciężar w żołądku.

- Chyba chcesz mieć dzieci?

- Oczywiście, że chcę. Ale... - zarumieniła się

- ...czy nie powinniśmy najpierw zrobić czegoś innego?

Był z siebie nad wyraz zadowolony. Ta kobieta po prostu nie była w stanie nad sobą panować, kiedy był w pobliżu.

- Jutro o północy, kochanie. Całą piątkową noc spędzimy na podtrzymywaniu dobrosąsiedzkich stosunków, co może się przeciągnąć na weekend. Przećwiczymy każdą fantazję, jaką opisują w tej twojej gazetce.

Jej oczy błyszczały, ale na czole pojawiła się delikatna zmarszczka.

- Ale... ale, może jest jeszcze coś, co powinniśmy ustalić?

- Chodzi ci o to, gdzie będziemy mieszkać? - Jake wzruszył ramionami. Boże, jaka ona potrafi być czasem męcząca. - U ciebie, u mnie, na jachcie na Morzu Śródziemnym, nieważne.

- Nie, nie o to chodzi...

- Aha, martwisz się o swoją pracę? Pogadam, z kim trzeba. Będiesz doskonałym ekspertem od księgowości.

A już jego w tym głowa, żeby nie dawano jej zbyt niebezpiecznych spraw.

Teraz jednak jej policzki były już zupełnie czerwone. Miał dziwne wrażenie, że mówi nie na temat, ale nie za bardzo wiedział, co właściwie ma powiedzieć. Wreszcie Cynthia wzięła głęboki oddech, jakby zabierała się do czegoś mało wdzięcznego i powiedziała:

- Chodzi mi o to, czy weźmiemy ślub.

- Oczywiście, że tak. Co twoim zdaniem miałem na myśli?

- Nie wiem, po prostu nie wspomniałeś o tym ani słowem.

Uśmiechnął się do niej szczerze, usuwając z jej czoła wszelkie zmarszczki.

- Może lepiej wyrażę to rękami.

Chwycił pasek od szlafroka i przyciągnął ją do siebie.

- A więc zgadzasz się? - zapytał Jake jakiś czas później.

- Jestem zbyt zmęczona - wymruczała Cynthia.

Uszczypnął ją lekko w pierś.

250 *Nancy Warren*

- Wyjdiesz za mnie?
- Mmm, proszę bardzo. - Zachichotała. - A może stworzymy nową tradycję: cała rodzina agentów FBI, co ty na to?
- Gdzie te kajdanki?